

BY ODKRYĆ PRAWDĘ, NAJPIERW TRZEBA POKONAĆ STRACH
I SVOJE NAJWIĘKSZE SŁABOŚCI!



MAŁGORZATA
ROGALA

OSTATNI SKOK

MAŁGORZATA
ROGALA
OSTATNI SKOK



Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Od autorki

Przypisy

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©*Tim Mossholder/unsplash*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2020
© Copyright by Małgorzata Rogala Warszawa 2020

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66195-92-9

Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
tel. 22 425 19 81
03-475 Warszawa
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*O brylantach:
Wzdłuż kolia
diament za diamentem,
toczy się kurant migotów...
Zła to magia,
tęczowa, lecz chciwa.*

(MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA)

*Jesień 2017,
targi jubilerskie w Warszawie*

PIĄTEK

ROZDZIAŁ 1

Igor Bielewicz przechadzał się alejkami hali wystawowej i podziwiał prezentowane w gablotach klejnoty, jednocześnie wyszukując byстрыm okiem okazy kolekcjonerskie z diamentami. Wiedział, że w masowej produkcji biżuterii coraz częściej wykorzystuje się kamienie o poprawianej czystości i barwie, a także syntetyczne, których wartość jest znacznie niższa od naturalnych, powstałych w głębi skorupy ziemskiej na przestrzeni milionów lat. W celu „ulepszenia” diamentów poddawano je działaniu wysokiego ciśnienia i wysokiej temperatury, by wywołać w ich w strukturze krystalicznej drobne zmiany. Nie każdy sprzedawca informował o tym potencjalnego nabywcę i nie każdy klient miał świadomość istnienia tego procederu. „Ulepszone” diamenty nie leżały w kręgu zainteresowań Igora. On chciał mieć to, co było zarezerwowane dla małego grona wybrańców, i konsekwentnie zmierzał do realizacji celu, który sobie wyznaczył.

Przeciskając się pomiędzy ludźmi, Bielewicz przywołał wspomnienie nocy sylwestrowej sprzed kilku lat, która dała początek szalonej, zdawałoby się, wizji. Gdy dotarł na miejsce ulicznej zabawy zorganizowanej przez władze miasta, impreza trwała już na całego. Rozkołysany tłum zajmował każdy metr kwadratowy placu Konstytucji, muzyka rozsadzała głośniki, a wpatrzeni w scenę ludzie tańczyli, pili co popadło, śmiali się i klaskali. Było tak ciasno, że Igor nie miał szansy, żeby dostać się bliżej pełnego

świąteł podwyższenia, gdzie wokalistka zespołu Bajm, wraz z wtórującą jej publicznością, śpiewała mocnym głosem:

Więc teraz serca mam dwa – smutki dwa

I miłość po kres, i radość do łez

Wieczory długie i złe – krótkie dni

Więc całuj mnie częściej

Bo nie wiem, jak będzie¹

Bielewicz zaakceptował fakt, że musi zadowolić się miejscem z boku, i próbował ulec atmosferze wypełnionej radosnym oczekiwaniem i nadzieją, że z wybiciem północy wszystko w życiu się zmieni. Mimo że starał się z całych sił, po pewnym czasie ogarnęło go znużenie. W ulicznych harcach nie towarzyszył mu nikt, z kim mógłby dzielić przekonanie o nadejściu lepszego jutra, nie miał kogo przytulić i obdarzyć pocałunkiem o północy. W poczuciu odizolowania zaczął lustrować okolicę i zauważył szyld sklepu jubilerskiego. Podeszedł więc do witryny i próbował dostrzec coś w zaciemnionym wnętrzu. Potem zerknął przez ramię. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wokół panował gwar, grała muzyka, strzelały fajerwerki.

– *Co mi, Panie, dasz / W ten niepewny czas? / Jakie słowa ukołyszają moją duszę, moją przyszłość / Na tę resztę lat?*² – zaśpiewał wraz z tłumem oraz wokalistką. Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby wybić szybę i nikt by tego nie usłyszał. Gdyby miał dobry plan, oparty na solidnym rekonesansie, stałby się właścicielem kosztownych błyskotek, które zamieniłby na gotówkę. Z taką myślą przywitał Nowy Rok.

Po sylwestrze przez kilka następnych miesięcy Igor każdą wolną chwilę poświęcał na studiowanie tematyki kamieni szlachetnych; czytał artykuły, oglądał zdjęcia i analizował doniesienia z aukcji. Regularnie też odwiedzał sklepy jubilerskie i antykwariaty w całej Polsce: małe i duże, z wejściem od ulicy i usytuowane w centrach handlowych. Sprawdzał ustawienie gablot i umiejscowienie zamków, wsuwał palce pod stoły-wyspy, żeby odnaleźć przyciski alarmowe, notował w pamięci rozmieszczenie kamer. Im dłużej to robił, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że kradzież klejnotów

leży w jego zasięgu. Musiał tylko nawiązać odpowiednie kontakty ze znajomymi się na rzeczy pośrednikami. Kiedy nadeszła następna noc sylwestrowa, wiedział już, co zrobić, a także do kogo później się udać.

W dwa tysiące piętnastym roku Bielewicz zakochał się w kolorowych diamentach, zwanych fantazyjnymi. Strzała Amora trafiła go w maju, gdy obejrzał w telewizji krótką relację z licytacji w genewskiej siedzibie domu aukcyjnego Christie's, a później przestudiował zamieszczone w internecie zdjęcia klejnotu. Osadzony w pierścionku pięciokaratowy kamień w szlifie szmaragdowym, o intensywnie różowej barwie, sprzedano za ponad dziesięć milionów dolarów. W listopadzie tego samego roku trafił pod młotek drugi pierścionek, również z różowym diamentem, tym razem w szlifie poduszkowym, który wylicytowano za kwotę przekraczającą dwadzieścia osiem milionów dolarów. Gdy Igor był pewny, że już nigdy nic go tak nie zachwyci, prasa doniosła o wyniku aukcji w szwajcarskim oddziale Sotheby's, która miała miejsce dzień później. Sprzedano tam niebieski diament o nieskazitelnej czystości, który rozemocjonowany sprawozdawca nazwał „prawdziwym cudem natury”, a jego odcień uznał za „nadzwyczajny i niespotykany”.

Do tamtego dnia sprzed dwóch lat Igor myślał, że diamenty to kamienie bezbarwne. Zdumiony odkrył, że bywają nie tylko różowe i błękitne, ale także żółte, fioletowe czy też czerwone, a popyt na nie wzrasta z roku na rok. Dowiedział się również, że zasoby diamentów są na wyczerpaniu i niedługo może ich zabraknąć. Cena różowych kamieni w ciągu ostatnich kilku lat wzrosła kilkakrotnie, a zapowiadane zamknięcie kopalni w Australii, gdzie je wydobywano, z pewnością spowoduje, że będzie jeszcze wyższa. Kolorowe diamenty były poszukiwane przez kolekcjonerów i pracowników branży jubilerskiej, którzy doceniali ich piękno i rzadkość, a za unikatowe uchodziły te o barwie niebieskiej. Znaczący twierdzili, że naturalne kamienie w tym kolorze stanowią ułamek procenta całkowitego wydobycia diamentów na świecie, więc właściwie można by rzec, że prawie nie istnieją. Miłośnicy niebieskich cudów natury żywili przekonanie, że symbolizują one doskonałość i luksus dostępny

nielicznym. Igor zamierzał dołączyć do tego elitarnego kręgu, zanim nastanie czas, gdy kolorowe diamenty będzie można pozyskać tylko z rynku wtórnego.

– Proszę uważać – rzuciła rudowłosa dziewczyna, powodując, że Bielewicz ocknął się z zamyślenia.

– Że niby co? – Spojrzał w taksujące go zielone oczy.

– Prawie mnie pan staranował, wypadaloby powiedzieć magiczne słowo.

– Słucham? – Z trudem zapanował nad wesołością. – Przepraszam, ale to pani na mnie wpadła – sprostował spokojnie i zszedł jej z drogi. Mimo że zadbał o charakteryzację, która nieco zmieniała mu wygląd, to nie był dobry moment, żeby zwracać na siebie uwagę.

Poszedł dalej, skupiając wzrok na zawartości gablot. Chciał mieć naturalny niebieski diament, przynajmniej jednokaratowy; mógł sobie pozwolić na taki wydatek, zgromadził dość gotówki, żeby ją dobrze zainwestować, ale przywykł już, że za kamienie nie płaci; wręcz przeciwnie, to jemu płacono, by je zdobywał. Dziś jednak wyruszył na łowy w innym celu: trofeum zamierzał przeznaczyć dla siebie.

Bielewicz uważnie przyglądał się kamieniom osadzonym w pierścionkach, kolczykach i bransoletach oraz czytał informacje na umieszczonych przy nich kartkach. Po kilku godzinach, zniechęcony, stracił nadzieję, że na targach znajdzie to, czego szuka. Jednocześnie doszedł do wniosku, że poświęcił zbyt wiele czasu na przepychanie się w tłumie, żeby teraz odejść z pustymi rękami. Trzeba będzie znaleźć nagrodę pocieszenia, pomyślał i wyjął z kieszeni wibrujący telefon.

– Co tam? – rzucił półgłosem.

– Nic.

– U mnie też nic, ale nie tracę nadziei. – Parsknął śmiechem. – Na razie.

Przy stoiskach tłoczyli się ludzie, większość oglądała precjoza, ale byli też tacy, którzy dokonywali zakupów. Po incydencie z gburem, który prawie

wgniótł ją w ścianę, starsza posterunkowa Zofia Maciejka podjęła spacer alejką w kierunku stanowiska rzeczoznawców.

Pod koniec studiów postanowiła pójść w ślady dziadka i ojca i związać swą przyszłość z policją, czym wprawiła w rozpacz matkę, projektantkę biżuterii i miłośniczkę fantastycznych diamentów.

– Byłam pewna, że będę miała w tobie godną następczynię – powiedziała, załamując ręce, Helena Maciejka, eteryczna blondynka z głową wiecznie w chmurach. – Myślałam, że wybierzesz pracę w branży jubilerskiej.

Ojciec również odradzał Zosi jej wybór, ale córka, uparta i rudowłosa jak on sam, myślała o policji już po maturze, a podczas studiów utwierdziła się w przekonaniu, że chce łapać złoczyńców i ulepszać świat. Skończyła Akademię Wychowania Fizycznego, więc egzamin sprawnościowy zdała bez problemu, wyniki licznych badań dowiodły, że dziewczyna jest okazem zdrowia, zaś testy psychologiczne – że żadnej klepki jej nie brakuje. Ostatnią przeszkodę w postaci kilkumiesięcznego kursu w szkole policji w Słupsku pokonała, miewając lepsze i gorsze chwile, a później została oddelegowana do służby w prewencji. Obstawiając mecze i dając odpór bandom kiboli, pilnując porządku na ulicach podczas uroczystości państwowych, a także nadzorując latem nocne życie w miejscowościach nadmorskich, nabrała doświadczenia i zyskała pewność, że pora pójść dalej.

Impulsem do zmiany była wieść o zuchwałym włamaniu do salonu jubilerskiego, skąd skradziono ozdoby z platyny o wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Kolczyki z szafirami cejlońskimi, o masie siedmiu karatów każdy, oddano do oczyszczenia, z zamiarem późniejszego wystawienia ich na aukcję. Śledztwo wykazało, że złodziej, po wcześniejszym rozpoznaniu terenu i przygotowaniu sprzętu, ukrył się w pomieszczeniu gospodarczym centrum handlowego. Poczekał na zamknięcie obiektu, a następnie przeczołgał się przez szyb wentylacyjny nad zapleczem sklepu z precjozami, wyjął kilka paneli sufitowych i opuścił się na linie do jego wnętrza. Zabrał jedynie kolczyki, zostawiając resztę trzymanej w sejfie biżuterii, i z tego powodu Maciejka, śledząc doniesienia

prasowe, uznała, że kradzieży dokonano na zlecenie. Utwierdziła się w tym przekonaniu po lekturze wywiadu z właścicielką kosztownych błyskotek. Z wypowiedzi gwiazdy muzyki popularnej wynikało, że kobieta nie ukrywała swojego stanu posiadania, czego dowiodły również pobieżne oględziny jej profilu na Instagramie. Na jednym z ujęć piosenkarka zaprezentowała się w kolczykach, które dostała od swojego chłopaka, a zdjęcie uzupełniła szczegółowym opisem precjozów. Kilka miesięcy później wokalistka opublikowała fotografię samych kolczyków, spoczywających w pudełku o czarnym wnętrzu, i poinformowała swoich wielbicieli: „Kochani, biżuteria jest wszystkim, co mi zostało po miłości mężczyzny, który deklarował wierność i uczucie po grób, a skorzystał z pierwszej okazji, by zrobić skok w bok z naszą najlepszą przyjaciółką”. Gwiazda postanowiła zamknąć ponury rozdział swojego życia i rozstać się z ozdobami, które przypominały jej o podłej zdradzie kochanka. Zadeklarowała, że po wycenie precjoza zostaną zlicytowane, a dziesięć procent uzyskanej sumy przeznaczone na bliżej nieokreślony, ale szlachetny cel. Po takim oświadczeniu, zamieszczonym na profilu obserwowanym przez kilkaset tysięcy fanów, można było przewidzieć, że ktoś pomoże piosence rozstać się z biżuterią prostszą drogą niż za pośrednictwem domu aukcyjnego.

Starsza posterunkowa Zosia Maciejka złożyła podanie o przeniesienie do wydziału kryminalnego, deklarując chęć tropienia złodziei kosztowności oraz gotowość podniesienia kwalifikacji w celu zdobycia potrzebnej na nowym stanowisku wiedzy. Po wybuchu szyderczego śmiechu i długim namyśle jej przełożony wyraził zgodę na ten – jego zdaniem idiotyczny – pomysł, rzuciwszy jedynie:

– Zobaczysz, jaka to niewdzięczna robota, a jeżeli myślisz, że będziesz ganiać za złodziejami brylantów, szybko się rozczarujesz.

Maciejka przystąpiła do nowych zadań pełna entuzjazmu, który trwał w niezmiennym stanie, mimo że nie zdołała wykryć złodzieja szafirów, a inne sprawy, którymi się zajmowała, rzadko dotyczyły kradzieży biżuterii. Jednak nie traciła nadziei, zwłaszcza że starszy kolega z zespołu twierdził,

że sposób, w jaki dokonano kradzieży kolczyków, pasuje do schematu innych włamań, odnotowywanych od kilku lat w całej Polsce. Za każdym razem złodziej wybierał jedną, dwie, najwyżej trzy sztuki biżuterii o największej wartości, z czystymi, przejrzystymi kamieniami w pięknych szlifach. A później rozpływał się we mgle.

Zosia, zafascynowana opowieścią, postanowiła przyjrzeć się sprawie zagadkowych rabunków. Nie chodziło o to, że miała o sobie zbyt wysokie mniemanie; po prostu była zdania, że ktoś, kto nie zetknął się do tej pory z danym śledztwem, może spojrzeć na nie z zupełnie innej perspektywy i dostrzec to, co zostało pominięte przez starych wyjadaczy. W każdej wolnej chwili wyciągała z szafy opasy segregator i studiowała akta. Czytając, kartka po kartce, o kradzieżach klejnotów, dokształcała się na własną rękę, zasypując matkę pytaniami przy każdej możliwej okazji.

– Jednak masz trochę moich genów. – Rodzicielka z radością udzielała odpowiedzi na temat podaży i popytu w branży, a także wzorów, rodzajów szlifów i kolorów kamieni.

Zosia oglądała fotografie, słuchała o wydarzeniach aukcyjnych i, za namową matki, bywała na wystawach jubilerskich, tak jak ta, na którą dziś przyszła, żeby zamienić kilka słów z rzeczoznawcą poleconym przez Helenę. Ponieważ wcześniej mężczyzna, zajęty rozmową z klientem, poprosił o pół godziny zwłoki, posterunkowa Maciejka postanowiła udać się na krótki spacer i nacieszyć oczy blaskiem szlachetnych precjozów.

Pozwalając się nieść fali zwiedzających, przystawała co pewien czas przy kolejnych stoiskach i z ciekawością zerkła na wystawione klejnoty, do chwili, gdy ponownie ujrzała człowieka, z którym się zderzyła. Od niechcenia zaczęła go obserwować i spostrzegła, że jego zachowanie różni się od zachowania innych ludzi. Spacerował alejkami wzdłuż stoisk, ale jego uwagi nie przykuwały gabloty z biżuterią. Rozglądał się, jakby czegoś szukał, zwalniał przy wejściach za zaplecze, lustrował ściany. Ciekawość Maciejki rosła, a intuicja podpowiadała, że warto nie spuszczać go z oka. Chodziła za nim do chwili, gdy dziwny osobnik skierował swoje kroki

w stronę wyjścia. Wtedy zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że minęła godzina, na którą była umówiona z rzeczoznawcą.

– Kurczę! – mruknęła niezdecydowana, przestępując z nogi na nogę przy drzwiach. Zauważyła, że mężczyzna zapalił papierosa i stanął za drzewem tuż przy parkingu. – Ciekawe na kogo czekasz? – spytała półgłosem. – I dlaczego się chowasz, człowieku?

Ktoś ją popchnął, ktoś inny burknął, że blokuje przejście. Dzień targowy dobiegł końca; z hali zaczęli wychodzić zwiedzający i wkrótce większość zaparkowanych aut zniknęła z placu, a te, które zostały, zapewne należały do wystawców i personelu zatrudnianego przez organizatora. Nie zważając na ten fakt, mężczyzna wciąż tkwił na swoim miejscu. Zosia stanęła przy drugim drzewie i w tym momencie poczuła wibracje telefonu. Dobrze, że zwykle wyciszała dzwonek, żeby nie zwracać na siebie uwagi, w przeciwnym razie osobnik, którego obserwowała, mógłby usłyszeć dźwięk i całą akcję diabli by wzięli. Policjantka spojrzała na wyświetlacz i dotknęła przycisku z zieloną słuchawką.

– Zosiu, mówi mama. – Usłyszała melodyjny głos Heleny. – Czekamy już tylko na ciebie, kiedy będziesz?

– Kiedy będę? – powtórzyła posterunkowa Maciejka, świdrując wzrokiem „obiekt”. – Ale gdzie, mamu?

– Jak to gdzie? – zdziwiła się matka. – Przecież dziś są urodziny taty, przyszli goście, a ty miałaś być godzinę temu, żeby mi pomóc.

– Jasna cholera, mamuś, przepraszam bardzo! – Zosia gorączkowo szukała w głowie wiarygodnego kłamstwa. Zajęta śledzeniem mężczyzny, kompletnie zapomniała o przyjęciu urodzinowym. Zanim jednak wyartykułowała słowo, z hali wyszedł szpakowaty brunet w garniturze i skierował się w stronę zaparkowanych aut. W jednej ręce trzymał telefon komórkowy, a w drugiej niósł przedmiot, który przypominał skrzynkę z narzędziami. Przenośny sejf, pomyślała Maciejka i zerknęła w stronę mężczyzny, którego obserwowała.

– Zosiu? – zabrzmiało w telefonie. – Jesteś tam?

– Mamuś, chwileczkę!

Ciemnowłosa kobieta pojawiła się znikąd. Szła w stronę jubilera, słaniając się na nogach. Jedną rękę przyciskała do klatki piersiowej, a drugą wyciągała w stronę mężczyzny. Jej usta wypowiadały jakieś słowa, ale odległość była zbyt duża, by policjantka mogła coś usłyszeć.

Dziewczyna rzuciła do telefonu:

– Oddzwonię. – Nie czekając na odpowiedź, przerwała połączenie i ruszyła w stronę obserwowanych ludzi.

Jubiler postawił sejf w otwartym bagażniku i odwrócił się na dźwięk głosu.

– Proszę... Szybko, pogotowie... – Kobieta zatoczyła się i chwyciła brzeg bagażnika, żeby nie upaść. – Chyba... mam zawał.

Jubiler złapał ją w objęcia, ratując przed upadkiem, i spojrzał zdezorientowany na Zosię.

– Jestem z policji. – Maciejka machnęła legitymacją i skinęła głową w stronę szatynki, którą mężczyzna próbował posadzić na ziemi. – Co się stało tej pani?

– Trzeba pogotowie, chyba coś z sercem. – Oparł kobietę plecami o samochód i spojrzał na ściskany w dłoni smartfon.

– Już dzwonię. – Zosia wyjęła swój telefon i wybrała numer. – Halo, chciałabym wezwać pogotowie... Zasłabnięcie... Gdzie jestem? – Odruchowo spojrzała w drugą stronę. – Na parkingu przed halą wystawową. – Podała adres i kątem oka dostrzegła cień. Mężczyzna z brodą, który wcześniej stał za drzewem, zmaterializował się tuż obok nich. Złapał sejf za uchwyt i odbiegł, ile sił w nogach.

– Stój! – krzyknęła policjantka.

– Rany boskie, moja biżuteria! – zawołał w tym samym momencie jubiler. – Złodziej! Ten, tam! – Pokazał ręką kierunek, a następnie uderzył pięścią w dach auta. – Kurwa jego mać!

– Niech pan czeka na pogotowie. – Policjantka puściła się w te pędy za rabusiem. Niestety, sprawca kradzieży znał doskonale teren, po którym się poruszał, bowiem nagle zniknął w przejściu między budynkami i przepadł

jak kamień w wodę. Nic nie dało lustrowanie okolicy i przyglądanie się przechodniom. Maciejka musiała przyznać, że w starciu ze złodziejem poniosła klęskę. Doszła do wniosku, że od początku do końca to on rozdawał karty i zrobił ją na szaro jak pięciolatkę.

SOBOTA

ROZDZIAŁ 2

Poprzedniego dnia, po powrocie do wozu, Igor miał czas jedynie na ukrycie sejfu i usunięcie z twarzy charakterystycznej, później zaś musiał włożyć kostium sceniczny i biec do namiotu cyrkowego, żeby nie spóźnić się na występ. Po zakończeniu pokazu Nadia była zbyt blisko niego, żeby zaryzykować próbę otwarcia skrzynki. Spędzili razem wieczór i noc, a po śniadaniu przez kilka godzin znów ćwiczyli swój numer, mimo że potrafiliby go wykonać nawet we śnie. Bielewicz był zdania, że nikt tak ciężko nie pracuje jak cyrkowi artyści, którzy jednak dzięki swojej wytrwałości i bezgranicznemu panowaniu nad ciałem mogą później uwodzić zebraną pod kopułą publiczność i stwarzać złudzenie, że obowiązujące resztę ludzkości prawa fizyki tej grupy zawodowej nie dotyczą.

Dopiero po obiedzie, gdy Nadia poszła do centrum handlowego, żeby skorzystać z dwóch godzin dzielących ich od przedwieczornej próby, Igor miał sposobność obejrzeć zamek sejfu. Nie był zbyt skomplikowany. Uporał się z nim w ciągu pięciu minut i z ciekawością podniósł wieko, aby wreszcie sprawdzić, co kryje wewnątrz schowka. Na wyściełanym welurem dnie leżały cztery damskie zegarki: dwa biżuteryjne, złote, z bransoletami wysadzanych diamentami i rubinami, oraz dwa kieszonkowe: jeden zdobiony szmaragdami, a drugi emalią i motywami kwiatów i liści.

Bielewicz wybrał w telefonie numer.

– Mam kilka stylowych cacek, dla klientów, którzy docenią ducha dawnych lat – rzucił półgłosem.

– Dobra, spotkajmy się wieczorem tam gdzie zawsze, a ja w międzyczasie ustalę, co i jak.

– W takim razie czekam na sygnał.

Igor odłożył komórkę i jeszcze raz zlustrował uważnym wzrokiem metalową skrzynkę. Ponownie zajrzał do środka i już wiedział, co mu nie pasuje w jej wyglądzie. Wnętrze skrytki robiło wrażenie płytszego, niż wynikałoby to z wysokości kasetki. Mężczyzna poświecił latarką i zbadał, centymetr po centymetrze, ściany sejfu, aż trafił na przycisk tak mały, że musiał pomóc sobie szpikulcem. Dno skrytki ukrywało dostęp do jej drugiej części, a tam, również na wyściółce z weluru, lśniła złota bransoleta z diamentami. Bielewicz wciągnął ze świstem powietrze. Obserwując iskrzące się odbicia promieni świetlnych i migotliwe refleksy, rozciągnął usta w uśmiechu. Obejrzał klejnot przez lupę jubilerską i jeszcze raz zadzwonił pod ten sam numer. Gdy skończył rozmowę, wyjął spod łóżka sakwojaż, który kiedyś nabył za grosze na targu staroci, a który krył w swoim wnętrzu kilka przydatnych schowków. Ukrył w nich zegarki i bransoletę, a metalową skrzynkę owinął podniszczonym swetrem i również włożył do torby. W samą porę, ponieważ w drzwiach wozu stanęła Nadia. Drgnął i uderzył głową w drewniany stelaż.

– Szlag by trafił!

– Zapomniałam pieniędzy. – Wzięła ze stołu portmonetkę i zmarszczyła brwi. – Co tam robisz?

– Moneta mi się potoczyła pod łóżko – skłamał na poczekaniu.

– Aha. W takim razie pędzę z powrotem, żeby zdążyć. Będę za godzinę, pa! – Różańska wyszła w pośpiechu, trzaskając drzwiami.

– Pa. – Igor usiadł na podłodze i zrobił głęboki wdech. – Niewiele brakowało – wymamrotał i pomyślał, że poprzedniego wieczoru miał niesamowitego fuksa. Kobieta, która zasłabła, spadła mu wprost z nieba, jakby na potwierdzenie, że Igor popełni błąd, nie wykorzystując okazji, która sama pchała się mu w ręce.

Starsza posterunkowa Maciejka sporządziła szczegółowy raport z przebiegu zdarzenia na parkingu, którego była świadkiem i zarazem uczestnikiem, wzmiankując również o podjętym pościgu za sprawcą. Wydrukowane kartki dołączyła do protokołu z zeznaniem okradzionego mężczyzny. Dobrze, że poszkodowany dysponował fotografiami zrabowanych przedmiotów, pomyślała. Dzięki temu już na drugi dzień zdjęcia zostały wprowadzone do bazy danych oraz przekazane do mediów wraz z informacją o napadzie, jednak Zosia nie miała złudzeń, że do policjantów zgłosi się świadek z informacjami, które skierują dochodzenie na właściwy tor.

Drugą część dnia posterunkowa spędziła w pomieszczeniu ochrony hali wystawowej, oglądając nagrania z monitoringu. Po kilku godzinach, ledwo widząc, potarła zmęczone wpatrywaniem się w ekran oczy.

– To bez sensu – uznała, odwracając się do pracownika, który miał zmianę.

– Mówiłem przecież – odparł mężczyzna, zjadając z apetytem kanapkę z szynką. – Tłumy jak cholera, igły nie da się wcisnąć. Gównno widać i tyle... To znaczy, przepraszam, pani komisarz.

– Starsza posterunkowa – sprostowała Maciejka.

Fakt, zwiedzających i kupujących nie brakowało, ale nie w tym tkwił szkopał. Jakość nagrania pozostawiała wiele do życzenia, obraz był czarno-biały, ziarnisty, i liczba osób w hali niczego nie zmieniała. Zosia, rozczarowana, podziękowała za pomoc i wyszła. Idąc w stronę przystanku, pomyślała o kobiecie, której pomógł jubiler. Lekarz z pogotowia ustalił, że nie miała zawału serca, lecz atak paniki; tak czy inaczej jej relacja, podobnie jak przegląd monitoringu targów, była bezużyteczna. Podczas kradzieży siedziała na ziemi, skupiona na sobie oraz na tym, żeby się nie udusić. Zapamiętała tylko obcego mężczyznę, który wywołał w niej poczucie zagrożenia.

– Kiedyś zostałam napadnięta na pustym parkingu – wyjaśniła z zakłopotaniem w głosie. – I wczoraj, gdy szłam do swojego samochodu, w pewnym momencie zauważyłam, że ktoś się czai za drzewem. Chciałam uciekać, ale nogi miałam ciężkie jak kłody i serce zaczęło mi walić,

myślałam, że wyskoczy mi przez gardło. Naprawdę czułam, że zaraz umrę. Wtedy zobaczyłam, że ktoś idzie do drugiego auta. Otworzył bagażnik i coś tam wkładał do środka. Pomyślałam, że jest normalny, że mi pomoże. – Westchnęła. – Wygląda na to, że wszystko przeze mnie, że złodziej skorzystał z okazji, ponieważ ja... – Urwała, kręcąc głową. – Tak mi wstyd.

– A niech to gęś kopnie! – Maciejka postawiła kołnierz kurtki, żeby chociaż trochę odizolować się od zimnego wiatru, który przenikał przez zbyt ciekłą tkaninę. Po chwili poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu, a gdy doszła do przystanku, padało już na całego. Weszła pod wiatę i potrząsnęła mokrymi włosami, które pod wpływem wilgoci skręciły się w spirale. Sprawdziła godzinę przyjazdu autobusu i omiotła spojrzeniem reklamę umieszczoną za jedną z szyb. Plakat z ogłoszeniem o cyrkowych pokazach przyciągał atrakcyjną grafiką i soczystością barw. Cyrk Oliviera. Zosia nie miała pojęcia, że wrócił do Warszawy i daje jedno z ostatnich w tym sezonie przedstawień. Jeszcze niedawno ten fakt nie uszedłby jej uwagi, ale od pewnego czasu, zbyt pochłonięta pracą, zaniedbywała swoje hobby. Teraz pomyślała, że to idealna okazja, żeby oderwać się od codzienności i zafundować sobie chwilę zapomnienia.

Niektórzy przepowiadali, że cyrk nie przetrwa w konfrontacji z telewizją, kinem oraz internetem, ale byli w błędzie. Magia cyrku wciąż przyciągała takie osoby jak Zofia, chętne, by zobaczyć ludzi pełnych pasji, którzy nigdy nie przestawali doskonalić swoich umiejętności, żeby później, przy akompaniamencie nastrojowej muzyki i w blasku świateł, zachwycać publiczność barwnym widowiskiem: akrobacjami na latających trapezach, saltami kręconymi pod kopułą namiotu, tańcami na linie i pokazami żonglerki.

Tego potrzebowała.

Usiadła na zimnej ławce, wyjęła smartfon i kupiła bilet na wieczorny spektakl.

Igor Bielewicz włożył przylegający do ciała kostium i skontrolował w lustrze swój wygląd. Gładka, elastyczna tkanina uwydatniała posągową budowę akrobata: umięśnione uda, płaski brzuch, szerokie ramiona. Igor wygładził włosy i wciągnął powietrze do płuc, a jego myśli kolejny raz pobiegły w kierunku precjozów, które ukrył w sfatygowanej torbie z podwójnym dnem. Spojrzał na zegarek. Zostało dwadzieścia minut do występu: najpierw w duecie z Nadią, a później w tercecie z Robertem Wójcickim. Mógł jeszcze raz wyjąć swój najnowszy łup i nacieszyć oczy jego widokiem, zanim nazajutrz zamieni zdobycz na gotówkę. Bielewicz, wymknąwszy się z garderoby, pobiegł do wozu. Wyjął klejnot, podniósł rękę w stronę światła lampy i wstrzymał oddech. Diamenty, pełne życia i ognia, zaśniły niczym gwiazdy w czerwcową noc.

– A więc przecucie mnie nie myliło. – Głos Nadii zabrzmiał jak wystrzał.

Igor drgnął i zacisnął palce na biżuterii.

– Przestraszyłaś mnie – rzekł, siląc się na spokój i zwrócił głowę w stronę Różańskiej. W pierwszej chwili chciał schować ozdobę, ale w tym samym momencie zdał sobie sprawę z bezsensowności gestu.

– Boją się ci, którzy mają coś do ukrycia. – Podeszła bliżej i wzięła go za dłoń. Delikatnie odgięła palce. – To diamenty, prawda?

– Tak.

– Skąd masz tę bransoletę? – W głosie Nadii zabrzmiała ostra nuta. – Czy to ta, którą ukradziono wczoraj na parkingu przy hali? Tam gdzie targi jubilerskie? W internecie ludzie trąbią tylko o tym.

– Wszystko ci wyjaśnię, to nie jest tak, jak myślisz.

– A jak? – prychnęła. – To najgłupsze zdanie, jakie mogłeś powiedzieć. Mówi je prawie każdy przyłapany *in flagranti*³, nawet jeśli ma spodnie spuszczone do kostek. – Różańska oparła dłonie na biodrach, okrytych połyskującą materią sukienki. – Może jeszcze dodaj, że to nie jest to, co widzę – zaproponowała tonem pełnym ironii.

– Wiem, wszystko nie wygląda zbyt dobrze, jednak... – Bielewicz przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Właściwie nie wiedział, co mógłby rzec, żeby nie pograżać się jeszcze bardziej. Ostatni raz przeżywał takie emocje w szkole podstawowej, gdy zwinął dziennik z pokoju nauczycielskiego i poszedł z nim do łazienki, żeby dopisać sobie kilka lepszych ocen na pokrycie licznych niedostatecznych. Przejęty i skupiony na ryzykownej czynności, nie usłyszał skrzypienia drzwi, i gdy woźna stanęła mu nad głową, było za późno, żeby ratować tyłek tak w przenośnym, jak i w dosłownym znaczeniu słów, bowiem ojciec spuścił mu w domu takie manto, że chłopak przez kilka dni z trudem siadał na krześle. Wtedy miał lat trzynaście, a teraz przekroczoną trzecią dekadę życia, lecz było mu tak samo głupio jak dwadzieścia lat temu.

– Igor, na miłość boską! – Różańska przerwała ciszę. – Powiedz, że błyskotka nie jest twoja, że ktoś ci podrzucił albo coś. – Wbiła w niego surowe spojrzenie. – Jednak twoja – zawyrokowała, gdy milczał. – Dobrze, że przynajmniej nie próbujesz kłamać. Znów kradniesz? – Świdrowała go wzrokiem. – Obiecałeś, że z tym skończysz. – W oczach Nadii zalśniły łzy. – Obiecałeś, do licha ciężkiego! – Uderzyła go pięściami w pierś.

Obiecał, to fakt, ale nie potrafił zrezygnować z okazji do łatwego zarobku. Wychował się w domu, w którym brakowało na podstawowe rzeczy, ale nie na alkohol. Rodzina korzystała z pomocy opieki społecznej, on zaś dostawał w szkole darmowe obiady, a przed świętami paczki ze słodyczami. Jeden jedyny raz pojawiło się światło w tunelu, gdy skacowana matka, w porywie fantazji, opłaciła kupon w Lotto i niespodziewanie wygrała trzysta tysięcy złotych. Igor, uszczęśliwiony, myślał, że rodzice potraktują uśmiech losu jako życiową szansę, by coś zmienić w swym życiu, ale szybko zdał sobie sprawę, że był w błędzie. Matka z ojcem, obwieszczając wszem i wobec radosną nowinę, zaczęli szastać pieniędzmi na prawo i lewo, bez umiaru. Organizowali imprezy dla kompanów od kieliszka, udzielali pożyczek „przyjaciołom w potrzebie”, robili bezsensowne zakupy. Z każdym tygodniem kolejka chętnych do zabawy na

cudzy koszt rosła i w ten sposób po upływie roku po pieniądzach zostało tylko wspomnienie.

Igor nigdy nie zapraszał nikogo do domu i wiecznie czuł strach na myśl o tym, że któryś z kolegów mógłby się dowiedzieć o libacjach, opiece społecznej i jego podłym życiu. Umarłby ze wstydu, gdyby wyszło na światło dzienne, że korzysta z zapomogi i bezpłatnych posiłków. Wystarczyło, że rówieśnicy wytykali palcami jego skromne ubranie i wydziwiali, że nie ma zabawek, gier i kart, które były modne wśród uczniów, co zresztą szybko ukrócił najprostszą z możliwych metod: sprzął kilku z nich na kwaśne jabłko, dla przykładu. Po rozmowie z pedagogiem szkolnym, podczas której nie tylko usłyszał, że może trafić do placówki wychowawczej, ale również został zachęcony do poszukiwania innej drogi, by zaimponować rówieśnikom, poszedł po rozum do głowy i skupił uwagę na sporcie. Od zawsze kochał aktywność fizyczną, nie czuł lęku przed wysokością ani w przestrzeni, szybko więc zyskał upragniony podziw wśród chłopaków i dziewczyn, popisując się nie tylko na lekcjach wychowania fizycznego, ale i błaznując podczas przerw. Nauczyciele nie docenili jego inwencji, nazywali wygłupy stwarzaniem zagrożenia dla siebie i tych, którzy próbowali go naśladować, a to z kolei przełożyło się na liczne uwagi w dzienniku i wzywaniu skacowanych rodziców do wychowawcy. Przełom nastąpił w momencie, gdy Igor obejrzał pierwsze w życiu przedstawienie w cyrku. Uczęszczał wtedy do szóstej klasy szkoły podstawowej. Po powrocie do domu szczegółowo zaplanował swoją przyszłość i przysiągł, patrząc sobie w oczy przed lustrem, że gdy dorośnie, zrobi wszystko, żeby bieda i życie w oparach wódki stały się dla niego jedynie przykrym wspomnieniem.

– Wiem, Nadia, wiem, że obiecałem, ale... Muszę oszczędzić na czarną godzinę. Przepraszam.

– Igor, nie pojmuję, co do mnie mówisz. – Różańska pokręciła głową z niedowierzaniem i zaczęła przemierzać dystans od ściany do ściany.

– Zabieram tylko tym, którzy na tym nie ucierpią, bo mają dość pieniędzy, żeby przełknąć utratę kilku cacek.

– Pewnie! – prychnęła Nadia. – Może jeszcze dodaj, że rozdajesz biednym, że jesteś takim współczesnym Robin Hoodem.

– Nie, na razie nie – przyznał Bielewicz i spojrzał na zegar. – Ale w przyszłości... – Owinął bransoletę kawałkiem aksamitu. – Musimy już iść, zaraz nasza kolej. – Schował ozdobę do torby. – Możemy później spokojnie porozmawiać?

– Nie ma takiej potrzeby. – Nadia stanęła przed nim i zacisnęła palce na jego ramieniu. – Nigdy nie zaakceptuję tego, że jesteś złodziejem. Musisz oddać wszystko, co ukradłeś. Jutro. Nie wiem, jak to zrobisz, ale jeśli nie oddasz, pójdę na policję.

– Nadia, nic nie rozumiesz.

– To ty nic nie rozumiesz.

– Posłuchaj. – Wziął w ręce jej dłonie. – Kocham cię i robię to dla nas – oświadczył. – Nie spędzimy w cyrku całego życia, nie zarobisz tutaj na godną starość. A z czego będziemy żyć, jeśli któreś z nas złapie kontuzję, która wyłączy ciebie lub mnie z obiegu? Gdy nie będziemy mogli już występować?

– Mam wykupione dwie polisy u dwóch ubezpieczycieli.

– I uważasz, że to wystarczy? Twoje zdrowie nigdy nie powinno zależeć od firm ubezpieczeniowych. – Skrzywił się. – Jak przychodzi co do czego, robią wszystko, żeby wypłacić jak najmniej. Albo nic.

– I to, twoim zdaniem, usprawiedliwia kradzież? Mówisz, że dla nas. Pytałeś, czy chcę? – Różańska podniosła głos. – Nie zadałeś sobie tego trudu. Sam podjąłeś decyzję. Rozmawialiśmy już o tym. – Teraz ona sprawdziła czas. – Wracam za kulisy i czekam tam na ciebie. Zostało nam pięć minut. A jutro musisz oddać biżuterię albo ujawnię, co zrobiłeś. – Urwała na dźwięk pukania.

Bielewicz rzucił spojrzenie w kierunku drzwi.

– Proszę! – zawołał i zrobił krok w stronę partnerki. – Nadia, posłuchaj...

– Dorośnij wreszcie – przerwała mu półgłosem. – Nie zamierzam dłużej cię kryć, rozumiesz? Powiem o wszystkim, również o kolczykach tamtej

piosenkarki.

– Przeszkadzam wam? – W progu stanął Robert Wójcicki, akrobata, trzeci uczestnik układu na latających trapezach, i omiół przyjaciół uważnym spojrzeniem. – Jednak przeszkadzam.

– Nie. – Bielewicz odetchnął z ulgą i pokręcił przecząco głową. Miał nadzieję, że po spektaklu, gdy Nadia ochłonie, będą mogli spokojnie omówić sytuację. – Co tutaj robisz? Zaraz zaczynamy nasz numer.

– Otóż to. Inspicjent cały w nerwach, że was nie ma za kulisami, przyszedłem więc sprawdzić, czy... – Robert zmarszczył brwi. – Coś nie tak?

– Nie, w porządku – burknęła Nadia. – Idę i wam też radzę to samo.

ROZDZIAŁ 3

Różańska trzasnęła drzwiami wozu, ruszyła w stronę oświetlonego namiotu cyrkowego. Pełna żalu i rozczarowania, z trudem panowała nad emocjami. Jak mogła wieść z Igorem wspólne życie bez fundamentu w postaci zaufania? Jak miała mu wierzyć, skoro złamał dane jej słowo? A przecież nie chodziło o drobiazgi.

– Niech to szlag! – Odchyliła głowę i zamruwała, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Cholera, Nadia! – Dyrektor i właściciel cyrku złapał ją za ramiona i tym samym uchronił przed upadkiem.

– Olivier? – Starła pojedynczą łzę z policzka. – Przepraszam cię, nie zauważyłam, że idziesz.

– Płaczesz?

– Nie.

– Jak nie, jak tak. – Adamski odwrócił ją w stronę światła padającego z latarni. – O co chodzi? Nie powinnaś denerwować się przed występem.

– Miałam sprzeczkę z Igorem, ale to bez znaczenia. – Machnęła ręką. – Naprawdę. – Ścisnęła dłoń starszego mężczyzny i zmusiła się do uśmiechu.

– Szukam was wszędzie, i Roberta też, za pięć minut wchodzicie. Gdzie oni są?

– W wozie, ale już idą. – Nadia wytarła drugą łzę.

– Dobrze, w takim razie odprowadzę cię do namiotu. – Olivier otoczył dziewczynę ramieniem. – Cała drżysz.

Stojąc za kulisami, Różańska wytarła nos, zrobiła kilka spokojnych oddechów i próbowała pomyśleć o czymś miłym. Brak koncentracji był najgorszym, co mogło teraz jej się przytrafić. Przez szczelinę w kurtynie powiodła oczami po widowni w poszukiwaniu rodziców, którzy pięć lat

temu zrezygnowali ze sceny i założyli szkołę sztuki cyrkowej, ale gdy Nadia występowała w Warszawie, przychodzili obejrzeć pokaz, a później, po przedstawieniu, zostawali, by pogawędzić ze znajomymi. Na widok matki i ojca dziewczyna uniosła kąciki ust w uśmiechu, mimo że bliscy nie mogli zobaczyć jej twarzy. Następnie przeniosła spojrzenie na kolegę, który dawał popis żonglerki. Znała każdy jego ruch, więc wiedziała, że za chwilę skończy swój występ, a gdy tak się stało i mężczyzna zgiął się w ukłonie, Różańska nagle poczuła lęk.

– Nadia, twoja kolej – powiedział półgłosem inspicjent. – Teraz.

Niczym nieuzasadnione uczucie oplotło ją swoimi mackami, powodując przyspieszony oddech, kołatanie serca i ucisk w okolicy splotu słonecznego.

– Nadia, co z tobą?!

– Już, sekundę. – Różańska poruszyła dłońmi, zimnymi jak dwa kawałki lodu, i wyszła na spowitą mrokiem scenę. Osłonięta peleryną, zatrzymała się na środku areny, a Bielewicz stanął tuż za nią. Nie musiał jej dotykać, żeby wiedziała o jego obecności; wystarczyło bijące od niego ciepło. Był tutaj, pełen skupienia i gotowości do występu. Nie zauważyła, kiedy do niej dołączył. W innych okolicznościach czułaby przyjemne podniecenie na myśl o jego ramionach, które za chwilę zamkną ją w uścisku, ale w obliczu dokonanego odkrycia z trudem panowała nad drżeniem ciała. Blask światła reflektorów wyłonił z ciemności ich postacie. Nadia odrzuciła maskującą szatę, ukazując publiczności biel zwiewnej, ozdobionej cekinami sukienki, i odwróciła się do Igora, ubranego w połyskujący srebrem strój. Z głośnika popłynęły pierwsze takty piosenki:

Nights in white satin

*Never reaching the end...*⁴

Zrobiła podskok w momencie, gdy poczuła na biodrach jego dłonie. Uniósł ją i wyrzucił w powietrze, by po chwili złapać i utulić w objęciach.

Opadli na ziemię, zrobili przewroty, a później Nadia poderwała się i zaczęła biec, wyciągając przed siebie ręce.

Letters I've written

Never meaning to send...

Dogonił ją i próbował zatrzymać, ale ona chwyciła jedną z szarf, które spłynęły spod kopuły do ich stóp i wspięła się po niej jak po linie. Igor owinął przegub ręki drugą szarfą i już mechanizm powoli wciągnął ich na wysokość dziesięciu metrów. Przed oczami Nadii mignął symbol runy Fehu, tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka, który Igor zafundował sobie kilka lat temu z okazji urodzin. Runa miała mu przynieść bogactwo i dobrobyt materialny oraz pomóc w osiągnięciu sukcesu. I przyniosła, o czym Różańska mogła się przekonać przed półgodziną.

Przyciągając się lub odpychając, splatając ręce i nogi albo oddalając je od siebie, kontynuowali w powietrzu miłosny taniec do chwili, gdy znaleźli się wysoko, poza zasięgiem światła. Weszli na platformę, która stanowiła część konstrukcji utrzymującej potrzebne do pokazu przyrządy i gdzie czekał też Robert, gotowy do drugiej części występu. Igor stanął na huśtawce z kwadratową ramą zamiast siedzenia i wprowadził ją w ruch. W tym momencie pod kopułą zajaśniało.

To był jeden z momentów przedstawienia, które Zosia lubiła najbardziej: chwila, gdy w namiocie zapadała ciemność i zaczynała rozbrzmiewać chwytną za serce muzyka. Następnie blask punktowych reflektorów wydobywał z mroku sylwetki artystów i realna rzeczywistość odchodziła w niebyt. Maciejka od zawsze kochała cyrk i mimo upływu lat, ukończenia studiów i podjęcia pracy w policji, jej dziecięca fascynacja trwała w niezmiętej postaci. Jeśli tylko ktoś chciał słuchać, z zapamiętaniem opowiadała o najsłynniejszych zdarzeniach związanych z cyrkową areną, wciąż kolekcjonowała plakaty, spisywała w grubym notesie ciekawostki

z historii cyrku, nazwiska i życiorysy gwiazd występujących na tej jedynej w swoim rodzaju scenie. Niewiele brakowało, a sama znalazłaby się wśród nich, gdyby nie brak zgody rodziców. Państwo Maciejkowie stanowczo zaprotestowali, kiedy ich dwunastoletnia córka wyraziła chęć zdawania w przyszłości egzaminów do szkoły przygotowującej do zawodu akrobaty, żonglera lub tancerki na linie, i trwali w uporze, dopóki Zosia nie uznała, że jednak woli podziwiać sztukę cyrkową z perspektywy widza. Czy tak jest rzeczywiście, miała wątpliwości za każdym razem, gdy siadała na widowni. Podczas zapierających dech pokazów na przyrządach, przeplatanych zabawnymi popisami kłownów, pojawiały się w jej sercu trudna do okiełznania tęsknota i żal, że ustąpiła, ulegając presji rodziców. Presji mającej swoje źródło w obawie o zdrowie i życie jedynaczki.

Tak, jakby nie można było ponieść uszczerbku fizycznego, wykonując wiele innych zawodów, pomyślała teraz Zosia, czując ucisk w piersi. Choćby pracując w policji. Przyłożyła lornetkę do oczu i skierowała ją na postać Nadii Różańskiej. Niewysoka, drobnej budowy ciała artystka właśnie stanęła na podeście, oparła dłoń na poręczy i obserwowała odwróconego do niej plecami Igora Bielewicza. Ten, nie przestając się huścić, usiadł na tylnej części ramy, odchylił się, zsunął i zawisł głową w dół. Drażek tkwił teraz pod jego kolanami, a drugi, równoległy, blokował od góry jego stopy, zabezpieczając je przed wysunięciem. Twarz mężczyzny była zwrócona w stronę kobiety, a jego spojrzenie utkwione w jej postaci. Nadia chwyciła zawieszony na linach trapez. Jej stopy odbiły się od deski i akrobatka poszybowała w powietrze, w kierunku Igora. Dwukrotnie powtórzyli sekwencję huśtania i przelotu, po czym mężczyzna wyciągnął ramiona za głowę, dając znać, że jest gotowy do wykonania nowego układu. W chwili największego pędu Różańska puściła swój drążek, zrobiła obrót i na ułamek sekundy zawisła w powietrzu, by zaraz chwycić nadgarstki Bielewicza. Gdy jego palce objęły przeguby jej dłoni, stali się przez chwilę jednym ciałem. Później ich ręce oddaliły się od siebie, a dziewczyna złapała nadlatujący trapez, by wrócić na swój podest i przygotować się do następnej części pokazu. Zosia westchnęła z zachwytem.

Nadia głęboko odetchnęła, nakazując sobie w myślach skupienie, i ponownie wzbiła się w powietrze. Puściła drążek, zrobiła salto, a Bielewicz złapał ją za nogi w okolicy kolan. Gdy przelecieli z impetem pod kopułą, Różańska zgięła się wół. Z całej siły uchwyciła przedramiona partnera, a wtedy mężczyzna przeniósł dłonie z jej nóg na nadgarstki. Nadia wykonała przewrót, przylegając plecami do jego tułowia, i w tym samym momencie razem znaleźli się w pozycji siedzącej. Dziewczyna wspięła się na ramiona Igora, a następnie na platformę łączącą obydwie stanowiska. Pod osłoną ciemności wróciła na swoje miejsce, złapała rzucony jej przez pomocnika trapez i już w pełnym świetle znów poszybowała na spotkanie z partnerem. Tym razem na huśtawce siedział Robert, który, podobnie do poprzednika, rozbijał sprzęt, opuścił górną część ciała i wyciągnął ręce do dziewczyny.

,Cause I love you

Yes I love you

Oh how I love you...

To była druga część miłosnej historii. Szalone, wbijające widzów w fotele ewolucje Nadii i Roberta odzwierciedlały wojnę, którą toczy ze sobą kobieta rozdarta miłością do dwóch mężczyzn, i walkę „tego drugiego”, który chce dziewczynę przy sobie zatrzymać. Po serii akrobacji, zakończonej efektownym saltem, Różańska miała wrócić w bezpieczne ramiona pierwszego „kochanka”.

Zanim zaczęło się przedstawienie, Maciejka, siedząc już na widowni, wyjęła smartfon i weszła na stronę internetową cyrku. Tam przeczytała, że Różańska wykona potrójne salto, więc teraz, czekając z napięciem na spektakularną końcówkę akrobatycznego show, Zosia poprawiła ostrość

w lornetce i utkwiała spojrzenie w Nadii, która pracowała nad rozhuśtaniem trapezu. Policjantka wiedziała, że potrójne salto w powietrzu wymaga nie tylko nadzwyczajnej precyzji ruchu i zgrania z partnerem, ale również wprowadzenia ciała w lot o prędkości kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Artystka wykonała jeszcze kilka ruchów na trapezie i podjęła decyzję. Puściła drążek i zwinęła się w kłębek. Raz! Dwa! Trzy! Wyprostowała ciało i wyciągnęła ręce, by uchwycić dłonie Wójcickiego, jednak ich palce jedynie otarły się o siebie, a huśtawka z mężczyzną, uczeponym nogami jej ramy, ruszyła w drogę powrotną. Zosia wstrzymała oddech.

– Błagam, dasz radę – wyszeptała, zaciskając palce na lornetce. – Jesteś najlepsza.

Różańska na chwilę zawisła w powietrzu. Poruszała rękami i nogami jak pływak próbujący utrzymać się na powierzchni wody, a potem nadludzkim wysiłkiem woli rzuciła się w stronę nadlatującego trapezu, który posłał w jej stronę Bielewicz. I zaczęła spadać. Maciejka poderwała się z miejsca, a w ślad za nią inne osoby na widowni. Osłupiała, z szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak akrobatka bez powodzenia próbuje odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, a potem odbija się od ramy utrzymującej siatkę zabezpieczającą i upada na deski sceny. W uszach Zosi zabrzmiał krzyk i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ten przeraźliwy dźwięk wydobywa się z jej gardła.

PO WYPADKU

ROZDZIAŁ 4

Podczas długich, ciągnących się w nieskończoność dni i nocy, gdy Różańska była nieprzytomna, Bielewicz siedział, stał lub spacerował przed drzwiami szpitalnej separatki. Kładł rękę na klamce i ją cofał albo wchodził do środka, patrzył na Nadię i wychodził, czując jeszcze większą rozpacz niż w chwilach, gdy zabijał czas, będąc poza kliniką.

– Jak to możliwe? – spytał tamtej nocy, gdy ambulans zabrał Nadię do szpitala, a członkowie zespołu Oliviera usiedli na scenie w opustoszałym namiocie, każdy z pobladłą twarzą i z niedowierzaniem wyzierającym z szeroko otwartych oczu. – Do cholery, jak to możliwe?! Trenowaliśmy ten numer setki razy. Zналиśmy go na pamięć, mogliśmy go robić we śnie.

– Nie wiem. – Robert oparł łokcie na kolanach. – Kurwa, nie mam pojęcia, zrobiłem wszystko jak zawsze. – Objął dłońmi i ścisnął głowę.

– Nie złapałeś jej. – Bielewicz popatrzył oskarżycielsko na Wójcickiego.

Szukał winnego, choć w głębi duszy obwinał siebie. To on znów uległ pokusie i złamał daną dziewczynie obietnicę. To przez niego się pokłócili tuż przed występem. To przez niego Nadia była zdenerwowana i nie mogła się skupić. Nikt poza nim nie ponosił odpowiedzialności za wypadek, ale gdyby ktoś wziął na siebie choć część tego ciężaru, może ucisk, który czuł w piersi, nieco by zelżał?

– Do diabła, wiem, że jej nie złapałem, ale nie było szansy! – Robert, bliski wybuchu, zwinął dłonie w pięści. – Dotknęliśmy się jedynie palcami, nie doleciała, rozumiesz?! – Wójcicki wytrzymał spojrzenie Igora. – Nie doleciała – powtórzył z naciskiem. – Może rozwinęła za małą prędkość? Sam ciągle miałeś wątpliwości co do potrójnego salta, czy nie jest zbyt ryzykowne. Mogłeś ją przekonać, żeby...

– A może to ty miałeś za małą prędkość? – Bielewicz brnął dalej w oskarżenia, mimo coraz gorszego samopoczucia. – Może za mało rozbijałeś huśtawkę? Może...

Robert nie dał Igorowi dokończyć. Zerwał się z miejsca i chwycił go za koszulę. Tamten szarpnął przyjaciela w odwecie i mężczyźni zaczęli okładać się pięściami. Tego potrzebował, bez dwóch zdań. Bielewicz z każdym kolejnym uderzeniem wyrzucał nagromadzone emocje, głuchy na okrzyki kolegów z zespołu. Z pasją wymierzał razy i z chęcią przyjmował ciosy od Wójcickiego. Na czas bójki ból fizyczny zagłuszył cierpienie, które rozdzierało mu trzewia.

– Przestańcie, słyszycie?! Dość tego! – Głos Oliviera przebił się przez wrzawę i w tej samej chwili Bielewicz poczuł szarpnięcie za ramię. Cyrkowcy siłą rozdzielili boksujących się przyjaciół i posadzili ich z dala od siebie. – Na mojej arenie nie ma miejsca na knajpiane burdy, jasne? – Starszy mężczyzna zmarszczył brwi. – Wzajemne oskarżenia do niczego nas nie doprowadzą. Równie dobrze może to być moja wina, jeśli uznamy, że siatka zabezpieczająca ma za małą powierzchnię i nie spełnia wymaganych standardów. – Wstał i spojrzał na nich z góry. – Ale wiemy, że spełnia w każdym punkcie. – Zaczął spacerować po deskach. – To jest cyrk. Ryzykujemy każdego dnia, robimy rzeczy, które zwykłym ludziom wydają się niewykonalne. Przekraczamy granice. I czasem coś nie wyjdzie, bo ktoś ma gorszy dzień. Źle oceni prędkość. Lub odległość. Źle uchwyci drążek trapezu. Ześlizgnie się dłoń lub stopa. – Olivier umilkł, by po chwili kontynuować wątek. – Jutro będzie tutaj policja, sprawdzą wszystko, przesłuchają was i mnie. Artystów i personel techniczny. To standardowa procedura. Nie chcę, żeby ktoś z was miał kłopoty, tylko dlatego, że puściły mu emocje. Jesteśmy zespołem, trzymamy się razem. Mam nadzieję, że Nadia... – załamał mu się głos. – Że wyjdzie z tego. I wy – spojrzał na Igora i Roberta – też musicie w to wierzyć.

Słuchając wywodu Oliviera, Bielewicz, już spokojniejszy, wciągnął powietrze do płuc i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Jednak ulotna myśl, która pojawiła się w jego głowie, nagle zginęła w natłoku innych,

domagających się uwagi. Igor ze wszystkich sił próbował ją zatrzymać, ale uciekła, zostawiając po sobie uczucie rozczarowania i złości. Mężczyzna zacisnął szczęki i, chcąc uniknąć kolejnej utarczki, wstał i burknął, że musi pobyć sam, po czym opuścił namiot.

Gdy Różańska, po skomplikowanej, kilkunastogodzinnej operacji, wróciła wreszcie do świata żywych, medycy uznali to za cud. Igor, dowiedziawszy się, że dziewczyna odzyskała przytomność, zbierał się w sobie podczas następnych dni, by ją odwiedzić i z nią porozmawiać. Trwało to do chwili, gdy kolejny raz tkwiąc przed zamkniętymi drzwiami z dłonią na klamce, usłyszał za plecami znajomy głos.

– Igor?

Opuścił rękę i spojrzał na matkę Nadii, która usiadła na jednym z krzeseł ustawionych wzdłuż ściany.

– Nie mam odwagi tam wejść, boję się, że nie będzie chciała ze mną rozmawiać – powiedział, zajmując miejsce obok. – To moja wina, ten wypadek.

– Co ty za głupstwa opowiadasz? – Barbara zmarszczyła brwi.

– Nie złapała trapezu.

– Nie miała szansy go złapać. Byłam tam, widziałam wszystko co do sekundy.

– A jeśli rzuciłem za słabo albo za późno? – przerwał jej Igor.

– Przestań, to niczyja wina – powtórzyła Różańska stanowczym tonem. – Teraz musimy skupić się na rehabilitacji. Nadia ma szansę z tego wyjść mimo licznych obrażeń, ale musi być rehabilitowana jak najprędzej. My, cyrkowcy, wiemy jak mało kto, że z ciałem można dokonać cudów, ale potrzeba dużo ćwiczeń.

– Co chcecie zrobić?

– Wszystko, co będzie potrzebne, żeby ją z tego wyciągnąć. Mamy swoją szkołę na Gocławiu, jak będzie trzeba, rozszerzymy działalność na pokazy dla firm, naukę żonglerki dla dzieci i tak dalej. Już omawiam z Norbertem różne pomysły. Nadia przez długi czas będzie potrzebować naszej opieki

i pomocy. I pieniędzy. Dużo pieniędzy. – Kobieta przygryzła dolną wargę. – Dobrze, że zmusiłam ją kiedyś do ubezpieczenia się na wszelkie możliwe sposoby, ma dwie polisy, to pomoże nam wystartować. To nie jest łatwa sytuacja, wciąż spłacamy kredyt, który wzięliśmy na otwarcie szkoły. Dajemy radę, ale nasze obecne dochody nie wystarczą, żeby zapewnić Nadii najlepszych rehabilitantów.

– A więc, co chcecie zrobić? – powtórzył Igor i poczuł napięcie w ciele.

Mógłby im pomóc i w ten sposób odkupić swoją winę. Miał pieniądze. Dużo gotówki, którą trzymał w skrytce. Pieniądze, które małymi sumami wpłacał w nieregularnych odstępach czasu na rachunek bankowy. Gdyby Różańscy się zgodzili, pomógłby i im, i sobie.

– Jeszcze nie wiemy, chociaż Norbert jest dobrej myśli. – Przez jej twarz przemknął uśmiech. – Ale mój mąż zazwyczaj widzi wszystko w jasnych barwach i niezmiennie unosi się nad ziemią, choć to nie on tańczył na linie, tylko ja. – Spoważniała i utkwiała spojrzenie w oczach Igora. – Jeśli poszerzymy działalność szkoły, będziemy musieli zatrudnić personel, któremu trzeba zapłacić. W tym momencie nie wiem, czy...

– ...czy zmiana przełoży się na znaczący zysk – dokończył Bielewicz.

– Otóż to – westchnęła Barbara. – Nadii przysługuje dużo pieniędzy z ubezpieczenia i moja w tym głowa, żeby dostała wszystko, co do grosza, jak najprędzej. Ale co, jeśli to nie wystarczy, żeby postawić ją na nogi? – W jej oczach pojawił się strach. – Jest tyle pytań, na które na znam odpowiedzi.

– Powiedziałaś, że jesteście gotowi wszystko zrobić. – Igor położył nacisk na słowo „wszystko”.

– Tak. – Matka Nadii wbiła w niego uważny wzrok.

– Nawet coś, co ociera się o łamanie prawa?

– Igor, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, nie wiedząc nic o szczegółach. – Wzruszyła ramionami. – „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono / Mówię to wam ze swego nieznanego serca”⁵ – zacytowała

poetkę. – Kto wie, co jestem w stanie zrobić, gdy stawką jest życie i zdrowie mojej córki? Czas pokaże.

– Mógłbym wam pomóc – powiedział Igor po chwili wahania.

– W jaki sposób?

– Musielibyście przyjąć mnie na wspólnika. Chciałbym wam coś zaproponować...

– Co ty mówisz, Igor?

– Mam pieniądze, pomogę wam, ale to nie jest dobre miejsce na taką rozmowę. – Ściszył głos na widok pielęgniarki, która minęła ich, popychając wózek z lekami dla pacjentów. – Basiu, porozmawiaj z mężem i spotkajmy się dziś wieczorem w moim wozie. Chcę odejść z cyrku i być przy Nadii, dopóki nie stanie na nogi.

– A później?

– Zobaczymy, czego ona będzie chciała, czy mi wybaczy.

– Wybaczy?

– To wszystko stało się przeze mnie, ja... – Szarpiący ból, umiejscowiony w głębi klatki piersiowej, uniemożliwił mu dokończenie zdania.

– Chcesz odejść z cyrku? – Barbara uniosła brwi. – Nie wytrzymasz tego, kochasz latanie pod kopułą. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Ta magia wciąga, jest jak narkotyk. Udusisz się na ziemi.

– Po tym, co zaszło, nie byłbym w stanie zaufać samemu sobie, a cóż dopiero oczekiwać, że zaufa mi ktoś inny. Postanowione. Odchodzę, chcę pomóc Nadii. I wam.

Różańska przyglądała mu się bez słowa przez długą chwilę, a potem obiecała, że wieczorem porozmawiają o szczegółach. Kiedy wyszła, Igor, pokrzepiony rozmową, wszedł do separatki, w której leżała Nadia, podłączona rurkami i przewodami do aparatów monitorujących funkcje życiowe. Jej oczy były zamknięte, a twarz nosiła ślady wylewów podskórnych. Z zabandażowaną głową po trepanacji czaszki wykonanej w celu odbarczenia krwiaka, z nogą i ręką w gipsie, w niczym nie przypominała dawnej Nadii. Patrząc na nią, Igor pomyślał, że zrobiłby

wszystko, żeby cofnąć czas i postąpić inaczej. Miała rację, zachowywał się jak nieodpowiedzialny gówniarz i był złodziejem. Pora, żeby to przyznał sam przed sobą.

Dziewczyna podniosła powieki i spojrzała na niego.

– Oddałeś bransoletę do sklepu? – Ledwo było ją słychać, ale zrozumiał.

– Nie mogę. Porozmawiamy spokojnie, gdy cię stąd wypuszczą.

– Odejdź i nigdy już nie przychodź.

– Nadia...

– Odejdź – powtórzyła. – Nie chcę spędzić życia z kimś, kto kradnie, a ty nie chcesz męczyć się z kaleką na wózku. Idź stąd.

Spełnił jej prośbę. To nie był czas na przekonywanie i wymianę argumentów. Później wszystko jej wytłumaczy. I już nigdy nie przywłaszczy sobie cudzej własności.

Dwa lata później, jesień 2019

ŚRODA

*Dwadzieścia cztery godziny przed otwarciem targów
jubilerskich w Warszawie*

ROZDZIAŁ 5

Alicja Sadej, współwłaścicielka firmy jubilerskiej „Alice Diamonds”, zlustrowała zawartość małej walizki, upewniając się, że jest w niej wszystko, czego będzie potrzebowała podczas kilkudniowego pobytu w Warszawie. Następnie rzuciła okiem na kosztowności wypełniające wnętrze płaskiego pudełka i otworzyła etui z trzema przegródkami, które mieściło w sobie trzy niebieskie diamenty w szlifie owalnym. Wpatrywała się w nie przez długą chwilę, czując zachwyt i dumę, a potem przełożyła je do aksamitnego woreczka.

– Tak będzie łatwiej je schować – zdecydowała.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebyś zabierała biżuterię ze sobą – zabrzmiał głos Juliana, partnera Alicji w życiu zawodowym i prywatnym. Sadej odwróciła się i napotkała jego zatroskane spojrzenie.

– Znasz powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią? – odparła z uśmiechem i musnęła wargami jego policzek. – Nikomu nie przyjdzie do głowy, że podróżując sama, mam to wszystko przy sobie. – Wskazała głową na precjoza. – Odwozisz mnie przecież na lotnisko. Potem wsiadam do samolotu, a w Warszawie od razu jadę taksówką do hali, żeby zostawić biżuterię w depozycie. Nie ma powodu do zmartwienia.

– Może przesunę klienta na inny dzień? – zastanowił się Obarski, pocierając skórę u nasady nosa. – Coś wymyślę albo powiem po prostu,

że...

– Spławisz go, a on pójdzie do konkurencji – zauważyła Alicja. – To jedyny termin, który mu odpowiadał.

– To może asystentka z tobą pojedzie?

– Edyta też ma swoje życie, nie mogę nagle kazać jej w ciągu godziny stawić się w samolocie, nie pracujemy w korporacji. Lecę sama, postanowione. Ty masz ważne spotkanie, a Domecka posiedzi w sklepie. Dołączycie do mnie jutro, nie widzę problemu. – Sadej zamknęła walizkę i poszła do przedpokoju. – Już pora.

– Jesteś uparta jak mało kto. – Julian podał jej płaszcz i zdjął z wieszaka swój. – Mogłaś chociaż zostawić diamenty. Przywiózłbym je jutro.

– Nie ma mowy. – Alicja owinęła szyję szalem. – Odkąd je od ciebie dostałam, jesteśmy niczym papużki nierozłączki, gdzie one, tam i ja. Myślę o jakiejś gustownej oprawie, co ty na to?

– Naszyjnik i kolczyki? – Obarski otworzył drzwi. – Musimy jechać, bo się spóźnisz. Pogadamy po drodze.

– Pierścionek i kolczyki – zdecydowała Sadej, gdy wsiedli do samochodu. – W Warszawie ma pracownię ten projektant... Jak mu tam? Nigdy nie mogę zapamiętać jego nazwiska. – Spojrzała na partnera, szukając pomocy. – Trzy lata temu zamawialiśmy u niego kolekcję świąteczną, bardzo mi się podobały jego pomysły.

– Pamiętam. – Julian uruchomił silnik i po chwili włączył się do ruchu. – Na lotnisku dam ci jego wizytówkę.

– Świetnie. Zadzwoń i poproszę, żeby wpadł na wystawę. Może podejmie się zaprojektowania dla mnie czegoś wyjątkowego?

– Dlaczego nie? – spytał retorycznie Julian. – A co do wzorów, trzeba by pomyśleć o ciekawej ofercie na te święta. Mamy listopad, czasu nie tak dużo – zauważył. – Właściwie ostatni dzwonek.

Jadąc na lotnisko, omawiali najbliższe plany, poczynawszy od pomysłów na prezentację nowych trendów w biżuterii, a skończywszy na kuponach rabatowych i upominkach dla stałych klientów, w samolocie zaś myśli

Alicji odbiegły w kierunku targów jubilerskich i wystawy kolekcjonerskich kamieni. Snuła plany związane ze spotkaniami biznesowymi i emocjonowała się faktem, że wyraziła zgodę na pokazanie publiczności swoich niebieskich diamentów.

Po wylądowaniu w Warszawie pojechała taksówką do hali, w której nazajutrz rozpoczynała się coroczna impreza dla miłośników kosztownych precjozów. Zarejestrowała obecność „Alice Diamonds” i odebrała karty wejściowe do pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi. Następnie złożyła w przydzielonym jej sejfie pudełka z klejnotami i dopiero wtedy poleciła taksówkarzowi jechać do hotelu.

Po odbyciu trasy europejskiej Cyrk Oliviera zawitał do Warszawy. Na deskach i pod kopułą rozbitego namiotu trwały próby do przedstawienia – jednego z ostatnich przed przerwą zimową, a pracownicy techniczni kolejny raz sprawdzali zabezpieczenia i sprzęt. Olivier Adamski, dyrektor i właściciel przybytku w jednej osobie, przez kilka minut obserwował czteroosobowy zespół, który powtarzał opracowany przez niego układ na trapezach. Robert Wójcicki, zaczepiony nogami, wisiał głową w dół na huśtawce i partnerował trójce artystów: mężczyźnie i dwóm kobietom. Ich ruchy były precyzyjne i pełne gracji, a wykonywane ewolucje zapierały dech w piersiach. Śledząc ich wzrokiem, Olivier mimowolnie przeniósł się myślami wstecz, do początków swojej kariery tancerza na linie.

Gdy był dzieckiem, rodzice zaprowadzili go do cyrku. Po obejrzeniu pierwszego przedstawienia spytał ich, czy może przyjść jeszcze raz nazajutrz. A gdy wozy cyrkowe ruszyły w dalszą trasę, on już wiedział, co chce robić w przyszłości.

– Będę akrobatą – powiedział matce i ojcu, i powtarzał to regularnie do czasu, gdy zaakceptowali jego wybór.

Skończył szkołę cyrkową i przez kilka lat występował na różnych scenach, polskich i europejskich, aż postanowił założyć swój własny

interes. Od początku zrezygnował z numerów z udziałem zwierząt, których obecności w cyrku zawsze się sprzeciwiał, i postawił na pokazy akrobatyczne, żonglerkę i taniec na linie, na tworzenie widowiskowych, wbijających publiczność w fotele pokazów, łamanie praw fizyki, osvajanie niemożliwego. Wędrowny tryb życia, średnio dziewięć miesięcy w trasie, od wiosny do późnej jesieni, całkowicie mu odpowiadał, podobnie jak fizyczna harówka, którą była praca akrobata. Kochał to, kochał występy pod kopułą, uzależnił się od uczucia ekscytacji, które towarzyszyło mu podczas każdego pokazu, a zwiększyło się jeszcze bardziej, gdy zaczął występować z Tamarą. Wspólne spędzanie czasu, wielogodzinne ćwiczenia, praca z ciałem, konieczność zbudowania zaufania, to wszystko sprawiło, że partnerowanie przerodziło się w uczucie. Zostali parą, jak wielu innych wykonawców, na dobre i na złe, pełni gotowości, by dać sobie szczęście i miłość. W cyrku rzadko kiedy dochodziło do rozstań; ludzie nie mieli czasu na rozbijanie cudzych związków, byli zbyt skupieni na codziennej pracy, żeby zajmować się knuciem intryg. Zawsze można było coś udoskonalić, poprawić, zrobić lepiej.

Olivier ocknął się z zamyślenia i przeniósł spojrzenie na dziewczynę, która powtarzała swój numer z chodzeniem na linie. W przeciwieństwie do dwóch braci linoskokczków, którzy występowali w duecie i korzystali z tyczki, ona tańczyła z parasolką, a jej popisowym numerem był taniec do melodii z filmu *Deszczowa piosenka*⁶. Matka Nadii też do niej tańczyła, pomyślał o dawnej koleżance, z którą los go zetknął, a później połączył na długie lata – z nią i jej mężem żonglerem. Do niedawna, gdy cyrk przyjeżdżał do Warszawy, przychodzili na każdy występ swojej córki, wspominał i dla odmiany odbiegł myślami do tamtego tragicznego wieczoru, gdy widział ich po raz ostatni na widowni.

Przez kilka tygodni policja prowadziła śledztwo, żeby ustalić przyczynę tragedii, która stała się udziałem młodej Różańskiej. Personel odpowiedzialny za bezpieczeństwo sprzętu, Igor i Robert jako partnerzy podczas pokazu oraz Olivier jako właściciel i dyrektor cyrku, wszyscy byli wielokrotnie przesłuchiwanie przez śledczych. Stróże prawa przychodzili

bez zapowiedzi, przeszkadzali w próbach i wprowadzali jeszcze bardziej nerwową atmosferę wśród artystów, która i tak nie sprzyjała skupieniu potrzebnemu podczas wieczornych występów. Mimo dramatu, który miał miejsce, przedstawienia musiały się odbywać według harmonogramu, ponieważ nikogo nie było stać na zwrot pieniędzy za sprzedane bilety. Adamski wiedział, że policjanci i tak nie dojdą prawdy, a artyści musieli z czegoś żyć. Przekonał się, że racja leżała po jego stronie, gdy sam odkrył przyczynę zdarzeń. Podzielił się tajemnicą z Tamarą, bowiem zawsze wszystko sobie mówili, jednak ujawnienie sekretu nie spowodowało, że ciężar wiedzy zelżał. Przeciwnie, przygniatał mu ramiona z coraz większą siłą i nie było tygodnia, żeby nie zadawał sobie pytania, czy postąpił rozważnie, czy raczej jak tchórz.

Olivier poczuł dotyk ręki na ramieniu.

– Telepatia? – zwrócił się do żony, która usiadła obok niego i skierowała spojrzenie w stronę linoskoczków. Ona też już nie występowała, pomagała panować nad cyrkową administracją. – Właśnie myślałem o tobie.

– Co konkretnie?

– Ech, właściwie o nas. Wspominałem ostatnie przedstawienie z udziałem Nadii i całą resztę później.

– I?

– Wierzyłem, że z czasem poczuję ulgę, ale byłem w błędzie.

– Co chcesz zrobić? – Tamara nie odwracała wzroku od tancerki z parasolką.

– Teraz już za późno, żeby coś zrobić – odparł. – Ale źle mi z tym, bardzo źle. Jestem tchórzem.

– Brakuje tu Nadii – powiedziała żona, wciąż obserwując próbę układu na linie. – Była wyjątkowa.

– Brakuje też Igora – dodał Olivier. – Tworzyli wspaniałą parę.

Resztę próby przesiedzieli w milczeniu, a gdy akrobaci skończyli układ i rozeszli się, żeby odpocząć przed wieczorem, oni również poszli do siebie.

Zdążył na czas i od lotniska śledził każdy krok Alicji Sadej. Podczas zeszłorocznych targów jubilerskich poświęcił dużo czasu, żeby poznać funkcjonowanie imprezy, pracę firmy ochroniarskiej, rozmieszczenie kamer i lokalizację drzwi do zaplecza. Dodając do zdobytej wiedzy informacje związane z procedurą dostępu do pomieszczenia z depozytami i umiejscowieniem skrytek, można było powiedzieć, że jest gotowy do zadania, którego realizacja ustawi go finansowo na resztę życia.

W tym roku imprezie towarzyszyła wystawa diamentów kolekcjonerskich, a pani Sadej nie tylko była wystawcą na targach, ale również jedną z osób, które wyraziły chęć pokazania reszcie świata swoich diamentowych skarbów, a wszystko po to, by zachęcić społeczeństwo do inwestowania środków w kosztowne błyskotki. Jako jedyna w tym towarzystwie, właścicielka „Alice Diamonds” była posiadaczką naturalnych niebieskich diamentów, a on na myśl o ich wartości z trudem radził sobie z emocjami.

Teraz siedział w samochodzie na parkingu przed halą i czekał, aż kobieta załatwi formalności związane z uczestnictwem w wystawie. Bębnił palcami w kierownicę i spoglądał w stronę wyjścia do czasu, aż Alicja Sadej pojawiła się w drzwiach, a później wsiadła do czekającej na nią taksówki. Pojechał za kobietą i zaparkował w pobliżu hotelu Pelikan. Mimo długich włosów, zarostu i zmieniających kolor oczu soczewek, włożył na nos okulary w grubych, pomarańczowych oprawkach. Wiedział z doświadczenia, że ludzie zapamiętują w pierwszej kolejności to, co najbardziej się wyróżnia, i temu miał służyć rekwizyt, który wybrał. W obszernym płaszczu, maskującym figurę, i z aktówką w ręku wszedł do hotelu, a gdy kobieta skończyła rozmawiać z recepcjonistą i stanęła przy windzie, podszedł do niej swobodnym krokiem i przybrał minę radosnego zdumienia.

– Pani Alicja Sadej?

– Tak. – Wyglądała na zdezorientowaną. – Przepraszam, ale...

– Nie poznaje mnie pani? – Nie przestawał uśmiechać się do niej.

– Nie. – Zmarszczyła brwi. – A powinnam?

– Spotkaliśmy się rok temu na targach jubilerskich i miałem przyjemność wypić z panią kawę. – Kiwnął głową w stronę otwierającej się windy. – Jedziemy? Ja też się tutaj zatrzymałem, co za zbieg okoliczności. – Wszedł za Alicją do kabiny naszpikowanej elektroniką i włożył rękę do kieszeni, później do drugiej. – Gdzie jest ta karta? Nie sądzi pani, że staliśmy się niewolnikami małych, plastikowych prostokątów?

– Coś w tym jest. – Sadej przyłożyła swoją kartę do czytnika i ruszyli. – Nie zliczę, ile mam tego w torebce, a większość to lojalnościówki z miejsc, w których bywam dwa razy w roku. Bez sensu. – Roześmiała się i spoważniała. – A więc pracujemy w tej samej branży?

– Tak, pozwoli pani, że przypomnę, Tymon Szary, jubiler z Wrocławia. Jako miłośnik art déco, przywiozłem ze sobą kilka pięknych, stylowych okazów.

Winda stanęła na ósmym piętrze. Kobieta wysiadła, a on poszedł w jej ślady. Stąpając po tłumiącej dźwięk kroków, miękkiej wykładzinie, zmierzali w kierunku apartamentu zarezerwowanego na firmę „Alice Diamonds”. Sprawdził wszystko wcześniej, na wszelki wypadek.

– Ja też kocham art déco. – Spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami i pokazała tkwiący na nadgarstku dowód swojej prawdomówności w postaci złotego zegarka biżuteryjnego z diamentami i rubinami, z którego chętnie by ją uwolnił, podobnie jak z pierścionka z pojedynczym brylantem ozdabiającego serdeczny palec. – To chyba mój pokój. – Upewniła się, sprawdzając numer wypisany na obwolucie dołączonej do plastikowej karty.

– Oj, powinienem pójść w przeciwną stronę. – Pokręcił głową, demonstrując dezaprobatę. – Tak to jest, gdy miło się rozmawia, ale teraz przepraszam, już nie zatrzymuję. Pozwolę sobie odwiedzić panią w stoisku jutro na targach.

– Do zobaczenia w takim razie. – Alicja Sadej otworzyła drzwi.

Przez chwilę walczył z pokusą, by wepchnąć ją do środka i załatwić sprawę już teraz, ale zapanował nad impulsami. Jeśli wszystko miało się udać, nie mógł sobie pozwolić na odstępstwa od planu i okazywanie zniecierpliwienia. Pożegnał się i zbiegł schodami ewakuacyjnymi, a potem wyszedł z hotelu pewnym krokiem, przez nikogo nie zatrzymywany. Dotarłszy do siebie, zmienił ubranie, usunął charakteryzację i oddał się codziennym obowiązkom. Dopiero późnym wieczorem włączył telewizor i zaczął przełączać kanały do chwili, gdy trafił na relację z targów konsumenckich w Botswanie.

– *Gwoździem programu była wystawa naturalnych diamentów, która przyciągnęła setki zwiedzających – poinformowała lektorka i na ekranie pojawiło się nagranie ze wspomnianego wydarzenia. – Publiczność mogła również zobaczyć dokładną replikę znanego na całym świecie diamentu Okavango Blue, największego w historii niebieskiego diamentu znalezione w Botswanie.*

Kamerzysta dokonał zbliżenia na gablotę, w której umieszczono obiekt, a on, nie odrywając oczu od ekranu, otworzył piwo i pociągnął z butelki solidny łyk.

– *Okavango Blue, zdaniem gemmologów, jest bardziej przejrzysty niż słynny, dwa razy większy Hope, z tego względu prognozują, że osiągnie zawrotną cenę podczas licytacji, być może jeszcze w tym roku. Każdy, kto ma szczęście posiadać naturalny niebieski diament, trzyma w rękach rzadki i wyjątkowy klejnot* – stwierdziła na zakończenie reporterka.

– Właśnie tak! – mruknął do siebie, zadowolony.

Już jutro i on dołączy do wspomnianych w programie szczęśliwców. Przekonany, że otrzymał od losu znak, wyłączył odbiornik i odbiegł myślami do rozmowy z Sadej. Uśmiechając się na myśl o jutrze i sącząc piwo, powtórzył półgłosem kolejne punkty planu, zyskując pewność, że niczego nie przeoczył. Pierwszy raz robił skok, podczas którego miał do pokonania przeszkodę w postaci obecności właścicielki upatrzonych precjozów, ale fakt ten bynajmniej go nie zniechęcał. Wręcz przeciwnie,

nakręcał jeszcze bardziej i motywował. Wyzwania sprawiały, że człowiek się rozwijał. A jemu zależało na doskonałości.

– Aż trudno uwierzyć, że mamy koniec sezonu – powiedział Olivier, gdy posprząтали po kolacji, a Tamara postawiła na stole imbryk z kolejną porcją świeżo zaparzonej herbaty. – Jeszcze tylko jeden pokaz i będziemy odpoczywać przez kilka miesięcy. – Wziął od żony napełnioną filiżankę i podszedł do okna. – Cały czas leje. Mam nadzieję, że to chwilowa zmiana. – Próbując coś dostrzec przez mokrą od deszczu szybę, upił łyk gorącego napoju.

Tego roku jesień była wyjątkowo ciepła i pełna słonecznego blasku. Jeszcze do wczoraj ludzie, w ubraniu i butach bardziej pasujących do wiosennej pory roku, spacerowali, jeździli na rowerach i odpoczywali na ławkach. Adamski miał nadzieję, że ładna pogoda utrzyma się jeszcze przez jakiś czas i pozwoli także jemu i Tamarze spędzać czas w parku, wystawiać twarze do słońca, sycić wzrok barwami żółci, rudości i czerwieni. Jednak dziś od rana z nieba zwisały ciemne chmury, a po południu zaczął padać deszcz. Olivier nie znosił przenikającej do szpiku kości wilgoci, która wsiąkała w odzież i wprowadzała go w ponury nastrój, potęgowany przez uporczywe myśli błędzące wokół wydarzeń sprzed dwóch lat. Adamski znów podniósł do ust filiżankę, a później odwrócił się do siedzącej w milczeniu żony.

– Byłem przekonany, że Nadia dziś przyjdzie – przerwał ciszę.

– Jesteś pewny, że jej nie było? – Tamara dołała sobie herbaty.

– Tak. Wiesz, że zawsze sprawdzam, kto jest na widowni. Miałem nadzieję na wiosnę, gdy zaczynaliśmy sezon, i teraz znów liczyłem na jej obecność. – Usiadł obok niej na kanapie.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – Kobieta wzięła męża za rękę. – Ona nie wróci, Oli, to cud, że przeżyła i odzyskała sprawność, ale na nic więcej nie licz. Mnie wcale nie dziwi, że nigdy do nas nie zajrzała, nawet gdy już

mogła to zrobić. Ja na jej miejscu pewnie też nie dałabym rady. – Ścisnęła dłoń Oliviera i spojrzała mu w oczy. – Nadia pochodzi z rodziny cyrkowców, to było jej życie od urodzenia, a teraz musi nauczyć się egzystować gdzie indziej. Inaczej.

– Egzystować, powiadasz? – Adamski skrzywił się na dźwięk wypowiedzanego słowa. – A my? Też egzystujemy?

– My jesteśmy starzy, sami zdecydowaliśmy o zakończeniu kariery, ale jesteśmy w cyrku, prowadzimy go, uczestniczymy w jego codzienności. A Nadia... Ona mogła jeszcze tak wiele osiągnąć, kochała trapez, uwielbiała latać pod kopułą. I to wszystko dla niej się skończyło. Nie oczekuj, że przyjdzie na spektakl. – Tamara zadrżała od chłodu. – Podasz mi szal? Wisi na oparciu krzesła.

– Jeśli pewnego dnia nas odwiedzi, wszystko jej powiem, pokażę nagranie – oświadczył nagle Olivier, otulając plecy żony miękką tkaniną. W jego gardle zawibrowało francuskie „r”, jak zawsze, gdy wypełniały go emocje. Spuścizna po babce Francuzce. – Jej przyjście uznam za znak, że mogę to zrobić.

– Znak? Nie wierzę w żadne czary-mary.

– A ja tak. – Adamski znieruchomiał. – Powinienem był dawno to uczynić, nie masz pojęcia, jak mi ciężko, że...

– To nie jest dobry pomysł, ale na szczęście nie będziesz miał okazji, żeby się o tym dowiedzieć – odparła Tamara z pewnością w głosie. – Zostaw to, Oli, już jest za późno. Musisz nauczyć się z tym żyć. Miałeś dość czasu, żeby podjąć inną decyzję, a teraz niczego nie zmienisz.

– Ale ona ma prawo wiedzieć, że...

– Nawet nie próbuj wymawiać tego słowa, które masz na myśli – przerwała mu żona, nakrywając ręką dłoń opartą na jej ramieniu.

CZWARTEK

Pierwszy dzień targów jubilerskich

ROZDZIAŁ 6

Fizycznie odczuwany ból wyrwał ją z objęć Morfeusza. Znów śniła ten sam sen. Był realistyczny do tego stopnia, że słyszała muzykę, widziała ruch trapezu i czuła gładkość kostiumu, który przylegał do jej ciała jak druga skóra. Za każdym razem odtwarzała swój ostatni numer z potrójnym saltem i za każdym razem spadała w poczuciu nieuchronności tego, co miało się wydarzyć. Siła upadku i własny krzyk budziły ją tak jak teraz, wprawiając w drżenie całe ciało.

Nadia Różańska otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta trzydzieści, za pół godziny miał zadzwonić budzik. Leżała jeszcze chwilę, żeby się uspokoić, a później odrzuciła kołdrę i podeszła do okna, żeby sprawdzić temperaturę na zewnątrz. Termometr wskazywał piętnaście stopni Celsjusza, po wieczornym chłodzie i deszczu nie było śladu, zapowiadał się ciepły dzień. Po kilku minutach chłonięcia widoku, który roztaczał się z dziesiątego piętra budynku na rogu Belgradzkiej i Rosoła, Nadia przebrała się w strój sportowy i poszła do drugiego pokoju, w którym urządziła coś na kształt małej sali gimnastycznej. Rozłożyła na podłodze matę i przystąpiła do ćwiczeń. Najpierw wykonała te ułożone przez rehabilitanta, a następnie przeszła do serii układów akrobatycznych. Pozwalały na to podłoga antypoślizgowa oraz zestaw przyrządów, które zgromadziła w pomieszczeniu o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych: przytwierdzone do muru drabinki, zwisające z sufitu lina i trapez, a także ławka i kozioł. Codzienna porcja ćwiczeń stanowiła poranny obowiązek i żadne okoliczności nie mogły być powodem, żeby z nich zrezygnować. Od dwóch miesięcy Różańska wiedziała, że jej ciało

jest gotowe do treningów na trapezie pod kopułą namiotu cyrkowego, ale miała też świadomość, że doszła do ściany. Zderzyła się z tym, co działo się w jej głowie: z nastawieniem, przewidywaniem porażki, strachem i brakiem wiary w to, że kiedyś odważy się skoczyć.

Nadia wzięła długi, odprężający prysznic, a po nim zjadła śniadanie składające się z owsianki, owoców i kawy. Dźwięk SMS-a zabrzmiał w momencie, gdy pakowała plecak z odzieżą roboczą. Wyrzała przez okno, a potem włożyła buty i kurtkę z kapturem. Niebawem siedziała już w furgonetce z namalowanym na drzwiach logo „Na wysokości”. Firma, w której Nadia pracowała od kilku miesięcy, świadczyła usługi mycia szyb i elewacji wieżowców oraz montażu reklam wielkoformatowych, a jej przeszkoleni pracownicy wykorzystywali metody alpinistyczne, które pozwalały zrezygnować z podnośników, dźwigu i ustawiania rusztowań. Od dwóch dni sześciuosobowa grupa, w skład której wchodziła Różańska, pracowała na rogu Emilii Plater i Twardej, doprowadzając do czystości okna hotelu Pelikan.

– Skończymy dziś, jak myślisz? – zwróciła się Nadia do kolegi, gdy przejechali aleję KEN i przedostali się na Puławską w kierunku centrum.

– Musimy – odparł Kacper. – Mamy jeszcze do powieszenia reklamę, mniej więcej takiej wielkości jak tamta dotycząca cyrku.

– Cyrku? – Udała, że nie wie, o co chodzi. Widziała kolorową płachtę, poza tym już dwa tygodnie przed terminem pierwszego pokazu wszędzie wisiły plakaty: pełne barw, rzucające się w oczy, nie do przeoczenia.

– Aaa, czekaj, nie było cię z nami tamtego dnia. – Gutkowski klepnął się w czoło. – Spora była, a ta jest jeszcze większa. – Mężczyzna umilkł, gdy zwolnili przed skrzyżowaniem. – O, zobacz, tam jest billboard. Idę zobaczyć przedstawienie, miałabyś ochotę wybrać się ze mną? – zaproponował. – Lubisz cyrk?

– Właściwie nie. – Przybrała obojętną minę, ale jej serce zatrzepotało. Czy Kacper coś wie? Dlaczego pyta? Próbował się czegoś o niej dowiedzieć? Zdawała sobie sprawę, że wpadła mu w oko, nie ukrywał tego i dwa razy zaproponował jej spotkanie w kawiarni. Nic zobowiązującego,

ale i tak za każdym razem odmówiła. Nie była gotowa, żeby znów wiązać się z mężczyzną. Nie miała w sobie miejsca, by kogoś obdarzyć zaufaniem. Nie potrafiła powiedzieć, czy będzie w stanie kiedykolwiek to zrobić. Nie chciała też rozmawiać o swojej przeszłości. Cyrk był zamkniętym rozdziałem jej życia.

Kacper umilkł i resztę drogi przebyli w ciszy, ponieważ pozostali koledzy też nie zdradzali ochoty do rozmowy w porze, gdy miasto dopiero budziło się ze snu. Nadia pracowała w męskim gronie; takich kobiet jak ona, chętnych, by wisieć na linie i pucować szyby w wieżowcach, było jak na lekarstwo. Ale nie narzekała. Świadomie, po odzyskaniu sprawności ruchowej, poszła na kurs technik alpinistycznych, a potem złożyła podanie o pracę. Kochała przestrzeń i nie wyobrażała sobie siedzenia w biurze. Mogła uczyć akrobatyki, miała taką możliwość w szkole prowadzonej przez rodziców, jednak wspólnej pracy z Igorem też sobie nie wyobrażała. Wypadek i fakt, że cudem przeżyła, nie spowodował, że bała się wysokości. Nie odczuwała strachu, lubiła być wysoko, w powietrzu, między innymi dlatego wybrała mieszkanie na ostatnim piętrze. Jedyne, na co już nie mogłaby się zdobyć, był skok. Ale skakanie nie wchodziło w zakres jej obowiązków służbowych.

Po wejściu na dach hotelowego wieżowca i przymocowaniu wszystkich lin Nadia wyjęła z torby uprząż. Wsunęła nogi w otwory z taśm udowych, naciągnęła pas i szelki, wyregulowała wszystkie mocowania. Dotknęła przedniego punktu wpinania, a następnie sięgnęła do łopatek, żeby sprawdzić umiejscowienie tylnego zaczepu. Przymocowała uchwyty na narzędzia, przypięła linę roboczą i drugą, asekuracyjną, włożyła kask z logo firmy. Ostatnim elementem w procedurze bezpieczeństwa, przed zejściem na ścianę i przystąpieniem do pracy, były wzajemne oględziny w parach, w celu zyskania pewności, że partner niczego nie przeoczył.

Ucharakteryzowany, stanął w bezpiecznej odległości od budynku i skupił wzrok na drzwiach obrotowych. Poranny ruch trwał już w najlepsze. Część

gości hotelu stanowiły ranne ptaszki, które wstając o świcie, spieszyły do swoich spraw lub zawracały głowę pracownikom recepcji, odciągając ich uwagę od tego, co się działo w najbliższym otoczeniu.

Omiótł spojrzeniem fasadę wieżowca, piętro po piętrze, aż do szczytu. Na linach umocowanych na dachu zawisły dwie pary osób w kaskach i przystąpiły do mycia okien. Tego nie przewidział. Nie przyszło mu do głowy, że ludzie zarządzający hotelem wpadną na pomysł, żeby pucować gmach na jesieni. Tegoroczna była faktycznie sucha i ciepła, co nie zmieniało faktu, że lada dzień nastaną ponure dni pełne deszczu i błota. Wczorajszy wieczór stanowił tego najlepszą zapowiedź. Obecność pracowników firmy sprzątajacej nie była jednak trudnością nie do pokonania. Wystarczyło zachować czujność i w razie potrzeby opuścić rolety.

Mężczyzna zrobił głęboki wdech i spokojny wydech.

– Do roboty – mruknął do siebie i poczuł w ciele miłe napięcie.

Kacper przyczepił sprzęt roboczy do uchwytów przy pasie i sprawdził uprząż Nadii. Mimo niezbyt dużego doświadczenia radziła sobie bardzo dobrze z wyposażeniem i z pracą, która nie zaliczała się do najłżejszych.

– Trochę wieje – powiedział, podchodząc do brzegu dachu. – Zaczynajmy, zanim słońce nagrzej szyby. – Przełożył nogi za barierkę i opuścił się na linie, a następnie poczekał na Nadię.

Kiedy dołączyła do ich zespołu, Gutkowski przeczytał o niej wszystko, co znalazł w internecie. Podobała mu się od chwili, gdy ją poznał, i zrobił to, co robi większość ludzi, jeśli szuka informacji na temat osoby, której nie można znaleźć na portalach społecznościowych: wpisał jej dane do wyszukiwarki. Dowiedział się, że występowała w cyrku, tańczyła na szarfie i dawała akrobatyczne pokazy na latającym trapezie. Jej karierę przerwał tragiczny wypadek. Fakt, że przeżyła, uznawano za cud, i przepowiadano, że do końca swych dni będzie jeździć na wózku. Prasa podawała, że

przeszła dwie skomplikowane operacje oraz trepanację czaszki, a później przebywała kilka tygodni w śpiączce, lewitując na granicy życia i śmierci. Czasem miał ochotę zagadnąć Nadię o jej cyrkową przeszłość, ale ponieważ ona nigdy o niej nie wspominała, uznał, że nie będzie z butami wchodzić w jej prywatność.

– W porządku? – spytał.

– Tak. – Posłała mu uśmiech i sięgnęła do paska ze sprzętem.

W sportowym stroju i ze słuchawkami w uszach wszedł pewnym krokiem do hotelu, markując powrót z porannej przebieżki. Podszedł do automatu z napojami i zerkał w stronę windy. Miał szczęście. Po dwóch minutach wsiadł z parą objuczoną kilkoma walizkami i wjechał na ósme piętro. Zapukał do drzwi pokoju Alicji Sadej, a gdy mu otworzyła, uśmiechnął się zakłopotany.

– Dzień dobry, przepraszam, że panią rano niepokoję.

– Tak? – Uniosła brwi. – Trochę się spieszę.

– Wiem i jeszcze raz przepraszam, chcę tylko spytać, czy mogłaby mi pani pożyczyć ładowarkę do telefonu.

– Ładowarkę? – powtórzyła, zerkając na zegarek.

– Tak. – Udał, że nie widzi jej zniecierpliwienia. – Gapa ze mnie, właśnie się zorientowałem, że zostawiłem swoją w domu, we Wrocławiu.

– Nie wiem, zaraz wychodzę, a będzie mi potrzebna. – Zawahała się, przestępując z nogi na nogę.

– Jadła pani śniadanie?

– Jeszcze nie.

– No to świetnie. Zanim pani zje, telefon trochę się podładuje, a później będę sobie radzić. Może tak być? – Spojrzał jej w oczy z uśmiechem i poprawił okulary.

– Dobrze. – Chyba uznała, że zgoda będzie najszybszym sposobem na pozbycie się natręta, który tkwił na progu jej pokoju. – Ale po śniadaniu...

– Obiecuję.

– Zaraz przyniosę, chwileczkę.

Odwróciła się i cofnęła w głąb pomieszczenia. Wtedy wszedł za nią i kolbą pistoletu zadał kobiecie cios w potylicę. Gdy pozbawiona przytomności upadła na podłogę, włożył rękawiczki, które miał w kieszeni, i poszedł do części sypialnej apartamentu. Momentalnie odszukał wzrokiem torebkę. Wysypał na łóżko jej zawartość i szybko znalazł to, po co przyszedł. Potem wysunął po kolei każdą szufladę komody; bielizna, opakowania z rajstopami, jedwabna halka, wszystko wylądowało na wykładzinie. Ten sam los spotkał odzież wiszącą w szafie. Bałagan powinien na pewien czas zmylić policję, która prędzej czy później zostanie zawiadomiona, co do tego nie miał wątpliwości. Usatysfakcjonowany, powiódł oczami po pobojuwisku. Następnie przeniósł spojrzenie na otwarte okno i znieruchomiał na widok wiszącego na linie mężczyzny. Nie oczekiwał, że będzie miał publiczność. Nie wiadomo, który z nich był bardziej zaskoczony, ale to on, a nie tamten, szybciej zareagował. Wymierzył do intruza i pociągnął za spust. Żadnych świadków, nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Schował broń i poprawił ubranie. Nadeszła pora, by opuścić hotelowy pokój i wykonać drugą część zadania, zanim zacznie się zamieszanie, gdy odkryją, o co naprawdę chodzi. Zrobił krok do wyjścia i cofnął się na dźwięk otwieranych drzwi.

– Obsługa – zabrzmiało, a chwilę później dobiegł do niego przeraźliwy krzyk pokojówki.

– Kurwa mać! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Diabli nadali!

Domyślił się, że zobaczyła nieprzytomną Alicję Sadej, ale zanim zdążył zareagować, dziewczyna wybiegła na korytarz, cały czas wrzeszcząc, jakby ją obdzierali ze skóry. Zdał sobie sprawę, że na pewno wcześniej pukała, ale nie usłyszał, zajęty usuwaniem świadka. Teraz miał drugi problem. Wcześniej planował, że opuści hotel drogą ewakuacyjną, ale w obliczu nowej sytuacji, gdy pokojówka pobiegła zawiadomić ochronę budynku,

ucieczka schodami stwarzała ryzyko, że złapią go, nim zdoła się wymknąć. Znów wymamrotał przekleństwo pod nosem, a potem spojrział w stronę okna i podjął decyzję. Nasunął czapkę na czoło, postawił kołnierz i przyciągnął linę z wiszącym na niej w uprząży postrzelonym człowiekiem. Stanął na parapecie i przylgnął do mężczyzny całym ciałem. Otoczył jego biodra swoimi nogami, jedną rękę oplątał szelkami, a drugą zwolnił blokadę liny. Stawką była wolność, a on wolał zginąć niż ją stracić, pozwalając, by zamknęli go w więzieniu.

Nadia najbardziej lubiła zlecenia w miejscach, gdzie były budynki z oszklonymi przejściami albo takie z wewnętrznym dziedzińcem. Uwielbiała spoglądać na przechodzących pod przezroczystym dachem ludzi i bawiły ją pełne zdumienia, uniesione twarze tych, których zdołała ściągnąć wzrokiem. Była indywidualistką, jak większość osób pracujących na wysokości, z którymi miała do czynienia. Dobrze jej było z uczuciem oderwania się od otaczającej ją rzeczywistości i maksymalnym skupieniem na tym, co robiła. Wykonując ciężką fizyczną robotę, oczyszczała umysł ze śmieci, jak nazywała obniżające nastrój myśli, niczym nieuzasadniony niepokój, napływające obrazy wspomnień. Ceniła też to, że nikt nie wtyka nosa do jej obowiązków i nie patrzy na ręce. Każde zadanie było inne, choćby z tego powodu, że budynki miały różną architekturę. Zawsze musiała być skupiona, logicznie myśleć i zachowywać spokój bez względu na okoliczności. Czasem ludzie pisali do niej wiadomości na kartkach, które później przykładali z drugiej strony mytej szyby: dostała dwie propozycje randki, kilka ofert wypicia kawy, życzone jej również miłego dnia i pytano, jak ma na imię. Niektórzy wyrażali zazdrość z powodu jej profesji i deklarowali chęć znalezienia się na jej miejscu.

Nadia uśmiechnęła się na wspomnienie przyjemnych zdarzeń, zjechała na niższe piętro i zablokowała linę. Okno w pionie, który został jej przydzielony, było otwarte, co w przypadku budynków hotelowych nie zdarzało się zbyt często. Zazwyczaj ludzie korzystali z klimatyzacji.

Pomyślała, że gość zajmujący narożny apartament ceni sobie świeże powietrze, nawet jeśli ta świeżość była wątpliwa, i po chwili wahania zapukała w szybę, żeby poprosić o zamknięcie okna. Ponieważ nie było żadnej reakcji, zajrzała do pokoju, a widok, który znalazł się w jej polu widzenia, postawił w gotowości wszystkie zmysły. Leżąca na podłodze kobieta o jasnych włosach nie zdradzała oznak życia, a na jej głowie widniała plama kontrastująca z blond czupryną.

– Krew? – Nadia poczuła, że jej rozgrzane wysiłkiem ciało ogarnia chłód. Oparła nogi o parapet, zastanawiając się, co zrobić, ale zanim podjęła decyzję, w drzwiach apartamentu stanęła pokojówka. Dziewczyna ubrana w służbowy uniform omiotła spojrzeniem zastany w środku widok, a później zobaczyła tkwiącą w oknie Nadię. I z krzykiem wybiegła na korytarz. To była jedna z sytuacji, w których przydawała się wypracowana samokontrola. Różańska, próbując zapanować nad strachem, zrobiła głęboki wdech i poszukała wzrokiem Kacpra. Powinien być w pobliżu i myć sąsiednią szybę. I rzeczywiście był. Wisiał na linie ze zwieszoną głową, a z drugiego okna należącego do apartamentu wychodził właśnie jakiś mężczyzna. Nadia, oszołomiona i niezdolna do wykrztuszenia słowa, obserwowała go, gdy owinął się wokół Kacpra jak mała i zwolnił blokadę liny. Na obnażonym fragmencie nadgarstka mignął tatuaż.

– Kompletny wariat – przemknęło jej przez myśl. – Życie mu niemiłe.

Dostrzegła wpatrzone w nią niebieskie oczy, ledwo widoczne spod naciągniętej czapki, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się przez ułamek sekundy. To wystarczyło, żeby Nadia odzyskała zdolność ruchu. Zjechała na swoim sprzęcie tak szybko, jak było to możliwe, ale tamten pierwszy dotknął nogami ziemi i puścił się w te pędy w stronę płataniny bocznych ulic. Różańska odpięła swoje liny i podbiegła do Kacpra. Kolega był nieprzytomny, a jego ubranie na wysokości piersi przesiąkło krwią. Wyszarpnęła z kieszeni wielowarstwowy opatrunek i uciskając ranę jedną ręką, drugą wybrała w telefonie numer alarmowy.

– Wytrzymaj, błagam – szeptała, czekając na pogotowie i próbując odtworzyć w myślach przebieg zdarzeń. W jej głowie pojawił się błysk

i niewyraźne wspomnienie czegoś, czego nie mogła osadzić w żadnym kontekście. Dopiero gdy ratownicy medyczni kładli Kacpra na noszach, zdała sobie sprawę, że zna tylko jedną osobę, która mogłaby porwać się na taki karkołomny zjazd, jakiego dokonał napastnik. Osobę z wytatuowaną runą Fehu na wewnętrznej stronie nadgarstka. Tylko nie miała do tej pory pojęcia, że ta osoba jest zdolna do zabicia drugiego człowieka. Nadia usiadła w kucki, opierając się o mur, i schowała twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 7

Na dźwięk budzika nadkomisarz Michalina Czaplińska otworzyła oczy i po chwili zamknęła je z powrotem. Tępy ból umiejscowiony z przodu głowy opadał całym ciężarem na powieki, utrudniając widzenie. Jedyne, czego teraz pragnęła, to wziąć końską dawkę leku i przewrócić się na drugi bok. Nie miała ochoty rozwiązywać cudzych problemów i przesłuchiwać tępych osiłków, którzy myśleli, że są wielkimi gangsterami, a już na pewno daleko jej było do entuzjazmu na myśl o przewalaniu sterty dokumentów i pisaniu raportów. Produkcja papierów nie należała do jej ulubionych czynności służbowych, nienawidziła tego cholerstwa jak mało czego, dlatego z przyjemnością przerzuciła lwią część nużącego obowiązku na nową pracownicę, którą góra przydzieliła jej bez pytania.

Miśka z trudem zwlokła się z łóżka i stanęła przed lustrem w łazience. Cóż, dziś nie jestem dobrą kandydatką do poderwania, pomyślała, patrząc na bladą cerę, sińce i cienie, słowem cały ten syf, którego nie był w stanie zamaskować żaden makijaż. Sądząc po symptomach, ból utrzyma się co najmniej przez dwa dni, więc wyjście do klubu mogła sobie darować. Stojąc pod chłodnym strumieniem wody, uznała, że i tak ostatnio miała dosyć spotkań z niedowartościowanymi lub przekonanymi o własnej wyjątkowości osobnikami, więc nic się nie stanie, jeśli zrobi kilkudniową przerwę i dla odmiany spędzi parę wieczorów w domu. Po rozwodzie, uwolniwszy się od roszczeniowego męża, który przez piętnaście lat nie mógł pogodzić się z tym, że Michalina pracuje w policji, i chciał jej dyktować, jak żyć, zafundowała sobie długi odpoczynek od związków. Dopiero rok temu zaczęła się umawiać na randki i po kilku miesiącach stwierdziła, że albo ma nierealne oczekiwania, albo prześladowuje ją pech. Tak czy inaczej, wciąż była sama i pomimo że nie cierpiała z tego powodu,

czasem z przyjemnością obudziłaby się w męskich objęciach. Tylko może nie takiego dnia jak dziś, z tornadem szalejącym w głowie.

Czaplińska wyszła spod prysznic i, owinięta ręcznikiem, podreptała boso do kuchni zaparzyć kawę. Od pewnego czasu korzystała z przepisu Pawelca, kolegi z wydziału, który gotował ulubiony napój w małym rondlu, dodając do niego szczyptę mieszanki przypraw: kardamonu i cynamonu. Michalina, niezdolna do przełknięcia kawałka chleba, wodą z czajnika popiła porcję leku, a następnie usiadła z kubkiem kawy przy oknie i utkwiała wzrok w jesiennym pejzażu, który roztaczał się za szybą. Mieszkanie na wyższym piętrze miało swoje zalety, jeśli tylko winda działała bez zarzutu. Popijając arabikę małymi łykami, pomyślała, że dziury w niebie nie będzie, jeśli dotrze do pracy nieco później niż zwykle, ale po dziesięciu minutach uświadomiła sobie, że szef zapowiedział nasiadówkę z samego rana. Spojrzała na zegarek i rada nierada odstawiła kubek z niedopitym napojem, żeby za pomocą arsenału podkładów, pudrów i cieni nadać swojej twarzy zadowalający wygląd.

Kiedy dotarła do pracy, okazało się, że przełożony odwołał naradę, więc Miśka zaparzyła drugą kawę i zmusiła się do zjedzenia kanapki. Oficer dyżurny zadzwonił w chwili, gdy siadała przed komputerem.

– Jest wezwanie – zgłosił, a ona z ulgą odsunęła od siebie klawiaturę.

Włożyła kurtkę i w drzwiach prawie wpadła na nową dziewczynę. Świeżo awansowaną na stopień sierżanta policjantkę, w przeciwieństwie do Czapli, której zostało pięć lat do emerytury, przepełniały radość i zapał. Ciekawa szczegółów każdej nowej sprawy, w dalszym ciągu, mimo kilkuletniego doświadczenia, wierzyła w skuteczność działań warszawskiej policji. Była chuda, piegowata i miała rude włosy zaplecione w dwa warkocze. Wyglądała jak żywcem wyjęta z książki Astrid Lindgren i nazywała się Zofia Maciejka.

Michalina słyszała o emerytowanym Maciejce, a drugiego, młodszego, znała osobiście i przypuszczała, mimo iż szef nie chciał jej pokazać akt młodej funkcjonariuszki, że dziewczyna jest z rodziny gliniarzy. Zatem, żeby jej wybić z głowy, że z tego powodu może liczyć na jakieś specjalne

traktowanie, Czapla od początku dawała jej popalić, zasypując Pippi nużącymi zajęciami: porządkowaniem starych dokumentów, wyszukiwaniem informacji w bazie danych, wklepywaniem do komputera ręcznie pisanych notatek. W ramach nagrody fundowała rudowłosej sierżant uczestnictwo w wielogodzinnych przesłuchaniach podejrzanych osób lub przewożenie tymczasowo osadzonych do prokuratury. Młodzi byli teraz w gorącej wodzie kąpani i pełni ufności w to, że pozjadali wszystkie rozumy, dlatego Michalina była zdania, że nie zaszkodzi dziewczynę od razu utemperować. Miała nadzieję, że Zosia będzie się stawiać, a ona jej pokaże, gdzie raki zimują, jednak spotkało ją gorzkie rozczarowanie, bowiem młoda policjantka z chęcią wykonywała każde polecenie i zadawała mnóstwo pytań całkiem do rzeczy.

– Jest wezwanie – rzuciła teraz Czaplińska i sprawdziła, czy ma w kieszeni kluczyki do auta. – Jedziemy.

– Nareszcie – westchnęła sierżant Maciejka, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. – To znaczy, tak jest, pani komisarz.

Michalina zignorowała jej entuzjazm, myśląc o kawie, której nie zdążyła wypić. Coś się działo z pogodą, musiał być jakiś niż albo wyż, a może chodziło o fronty lub przepływające masy powietrza, jak to bywało jesienią, tak czy inaczej jej głowę miażdżyła niewidzialna obręcz, wyciskając z oczu łzy, wywołując irytację i utrudniając zebranie myśli.

– Dokąd jedziemy? – spytała Zosia, gdy ruszyły.

– Hotel Pelikan. Emilii Plater przy Twardej.

– A, znam, na dole mają fajną cukiernię. Powie mi pani, co się stało?

– Mów mi Czapla, jak wszyscy – mruknęła. – Albo Michalina, ewentualnie Miśka, ale skończ z tą „panią” i mnie nie wkurzaj.

– Dobrze, okej, pani ko... Hmm, Michalina. Powiesz mi?

– Dwa zgłoszenia z tego samego miejsca. Jedno od cywila, że kogoś postrzelono, a drugie od ochrony, że w jednym z apartamentów dokonano prawdopodobnie napadu rabunkowego na hotelowego gościa.

– Strzelanina?

– Zobaczymy.

– Próba zabójstwa? – drążyła temat Zosia.

– Zobaczymy – powtórzyła Czaplińska i zahamowała na czerwonym świetle. Rozmasowała skronie i otworzyła schowek po stronie pasażera. – Możesz sprawdzić, czy są tam tabletki przeciwbólowe?

– Mam swoje, mogę ci dać. – Młoda sierżant zaczęła sięgać do kieszeni. – Tylko jakaś woda by się przydała.

– Muszę wziąć moje, bo te wszystkie ibuprofeny są psu na budę – mruknęła Miśka i wcisnęła sprzęgło. – Już niedaleko, wytrzymam, tylko wyjmij je na wierzch.

Kwadrans później dotarły na miejsce. Czapla trzasnęła drzwiami auta, krzywiąc się na widok grupy ludzi tkwiącej przed wejściem do hotelu. Kilkoro z nich miało na sobie służbowe uniformy, pozostali wyglądali na gapiów żądnych sensacji. Każdy bez wyjątku ścisnął w dłoni telefon komórkowy, niektórzy próbowali robić zdjęcia. Nieopodal stały zaparkowane radiowóz i karetka pogotowia, a umundurowany funkcjonariusz pilnował, by nikt niepowołany nie przekroczył granicy wytyczonej za pomocą policyjnej taśmy.

– Nadkomisarz Czaplińska, komenda stołeczna. – Michalina pokazała odznakę. – Proszę natychmiast się rozejść albo usłyszają państwo zarzut zakłócania porządku publicznego, czy to jasne dla wszystkich? – Z bólu przed oczami latały jej czarne mroczki.

– Jestem z prasy. – Wymoczek z dyktafonem stanął przez policjantką. – Reprezentuję internetowy serwis informacyjny i moim obowiązkiem jest powiadomić społeczeństwo o tym, czy hotel Pelikan dopuścił się zaniedbania w zakresie procedur bezpieczeństwa – wyrecytował.

– Mam gdzieś twoje obowiązki, synku. – Michalina poczuła, że zaraz eksploduje. Nieznośne pulsowanie rozsadzało jej czaszkę, światło drażniło źrenice, bała się, że puści pawia na oczach zgromadzonej gawiedzi. – Wypad stąd albo cię zamknę na cztery osiem za utrudnianie mi pracy. – Jej pozbawiony kofeiny organizm tęsknił za pozostawioną na biurku, stygnącą

kawą. – Zajmij się nim, bo nie ręczę za siebie – poprosiła Zosię i podeszła do kolegi w mundurze.

– Cześć. – Skinęła ręką w powitalnym geście. – Co mamy?

– Dwa zdarzenia, możliwe, że powiązane ze sobą, dwie osoby poszkodowane. – Policjant w stopniu aspiranta wyjął notatnik. – Kacper Gutkowski, trzydzieści pięć lat, zamieszkały w Warszawie, pracownik firmy „Na wysokości”, wiesz, mycie okien w wieżowcach, malowanie elewacji, zawieszanie reklam i takie tam. Dzisiaj pucowali tutaj szyby. Zadzwoiła kobieta z tej ekipy i zgłosiła, że kolega, z którym pracowała w parze, został postrzelony niemal na jej oczach.

– Jak to niemal? – Czaplínska zmarszczyła brwi i zerknęła w stronę Maciejki. Dziewczyna powiedziała coś internetowemu chłoptasiowi, a tamten zbladł, rzucił Michalinie spojrzenie pełne niedowierzania i odszedł w stronę Świętokrzyskiej.

– No bo wisiał blisko niej – kontynuował aspirant – i robił swoje, a chwilę później okazało się, że ktoś mu wpakował kulkę w klatę. Z tego, co mówiła, strzelał ktoś, kto był w środku, w jednym z pokoi. Reszta jej opowieści zalatuje Jamesem Bondem.

– Hę? – Policjantka uniosła brew.

– Podobno strzelec uczepił się swojej ofiary i zjechał z nią na linie, a potem prysnął i tyle go widzieli.

– Gdzie ta kobieta od szyb?

– Siedzi w środku przy recepcji. Lekarz dał jej coś na uspokojenie, bo dostała hysterii.

– A mężczyzna?

– W drodze do szpitala.

– Żyje?

– Muszą operować.

– Dobra, a to drugie zgłoszenie?

– Alicja Sadej, czterdzieści dwa lata, przyjechała wczoraj z Gdyni, miała rezerwację. Nic jeszcze o niej nie wiemy. Dziś rano, mniej więcej w tym

samym czasie, co zdarzenie ze strzelcem, pokojówka znalazła tę kobietę nieprzytomną, ranną w głowę. Też ją zabrali do szpitala. – Podał nazwę i adres placówki. – Wygląda to tak, jakby dotyczyło tego samego apartamentu, z którego jakoby strzelano. Postawiłem przy drzwiach swojego człowieka, żeby nikt nie wchodził.

– Że niby te dwa zdarzenia mają związek? – Miśka rozmasowała skronie i czoło.

– Noo. – Funkcjonariusz zamknął notes. – Tak myślę.

– Dobra – westchnęła Czaplińska. – Gdzie tu najbliższej można się napić kawy?

– W hotelowej kawiarni.

– No to idę, bo mi łeb eksploduje. – Czaplińska spojrzała na Zosię, która po interwencji stanęła obok i w milczeniu przysłuchiwała się wymianie zdań. – Dzwon po ekipę, niech zbiorą ślady w apartamencie – rzuciła i przeniosła wzrok na mężczyznę w uniformie z plaketką ochrony hotelu. – To pan dzwonił?

– Tak.

– Gdzie możemy pogadać ze świadkami?

– Dam pani pokój w biurze.

– Dziękuję. I proszę o nagrania z monitoringu. – Ruszyła za ochroniarzem, a gdy rozgościła się w udostępnionym pomieszczeniu, wyjęła z kieszeni spodni kilka monet i poprosiła Maciejkę o kupienie kawy. – Słuchaj, normalnie tego nie robię, nie wysługuję się młodymi, to wyjątkowa sytuacja, rozumiesz?

– Rozumiem. Ja też mam ochotę na małą czarną, nie ma problemu. Od kogo chcesz zacząć?

– Od pokojówki.

– Dobra, zaraz wracam.

– Czekał... Zośka, co powiedziałaś temu pismakowi, że się zmył jak niepyszny?

– Serio chcesz wiedzieć? – Dziewczyna stanęła, opierając dłoń na klawisze.

– Tak.

– Powiedziałaś, że jesteś najbardziej wredną suką w policji, jaką znam, i że areszt to nie jest najgorsze, co może go spotkać.

– No? – Uniosła brwi. – A co?

– Spytałam, czy ma samochód, a gdy potwierdził, ostrzegłam, że naślesz na niego całą polską drogówkę, że będą go zatrzymywać pod byle pretekstem, jak zobaczą jego numery, i trzepać mu auto do bebeczków. I nie darują mu żadnej żarówki, ani jednego przekroczonego kilometra. Że nie nadąży płacić mandatów, że...

– Zwariowałaś? – Czaplinska wybałuszyła oczy. – A gdyby nie miał auta?

– Zawsze mam przygotowany plan B.

– Hmm?

– Powiem ci następnym razem. – Zosia parsknęła śmiechem. – Nie mogę zdradzać od razu wszystkich sekretów.

Wyszła, a Miśka, rozbawiona, pomyślała, że może z młodej jeszcze będą ludzie, kto wie? Wsunęła palce we włosy, tym razem rozmasowując skórę głowy, a później westchnęła z niechęcią. Rada nierada, musiała wreszcie przesłuchać świadków i ustalić, co się tutaj stało. Szczerze mówiąc, wcale nie miała na to ochoty i nastroju.

Zdyszany, dotarł do swojego lokum, wziął prysznic, zmienił ubranie. Nie brał pod uwagę takich komplikacji, myślał, że załatwi sprawę szybko i bezboleśnie. Diabli nadali mycie okien i niecierpliwą pokojówkę. Niech szlag trafi Nadię Różańską, która pojawiła się znikąd na drugiej linie i wbiła w niego oczy, jakby chciała przewiercić go nimi na wskroś. Kurwa mać! Trochę się skomplikowało, ale nadal miał to w swoim zasięgu, trzeba było tylko trochę przyspieszyć. Zanim przyjedzie policja i pogotowie,

zanim udzieli pomocy i przesłuchają świadków, on zdąży zrobić swoje i zniknąć. Musiał tylko zachować cholerny spokój.

Jeszcze raz sprawdził w lustrze szczegóły wyglądu, począwszy od garnituru, poprzez koszulę z kołnierzykiem zapinanym na guziki i krawat w romby, a skończywszy na przydługich włosach i zaroście. Zadowolony, zamówił taksówkę i trzydzieści minut później, szykownie ubrany, pachnący drogą wodą toaletową, z niewielką walizką w ręku, wszedł ze swobodą do hali, w której za godzinę miały się rozpocząć targi jubilerskie. W stoiskach krzatali się sprzedawcy, kolekcjonerzy i rzemieślnicy, dwóch mężczyzn w kombinezonach z logo organizatora kończyło ustawianie osobnego stanowiska dla rzeczoznawców, którzy mieli świadczyć zwiedzającym bezpłatną usługę wyceny przyniesionej biżuterii, pomiędzy nimi kręcił się facet z ochrony. Jednym słowem panował rozgardiasz, który ułatwiał mu działanie. Z pochyloną głową i smartfonem przyciśniętym do ucha podszedł do pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi i przyłożył kartę do czytnika. Po chwili drzwi zostały otwarte, a on, wciąż ze wzrokiem wbitym w podłogę, co jakiś czas rzucając do telefonu „tak” i „rozumiem”, mruknął do ochroniarza słowa powitania i skierował kroki w stronę konstrukcji z małymi skrzynkami, przypominającymi pocztowe, tyle że zamiast otworów na listy i zamków każda miała zabezpieczenie elektroniczne. Serce biło w jego piersi tak, że z trudem oddychał, ciśnienie krwi rozsadało mu głowę, a szum w uszach utrudniał koncentrację. Próbując zapanować nad drżeniem ręki, zbliżył drugą kartę do czytnika. Szlag! Plastik wyślizgnął się ze spoconych palców i upadł na podłogę.

– Wszystko w porządku? – usłyszał za plecami.

– Tak – odparł przez ramię, nadając głosowi ton beztroski. – Tak to jest, jak się trzyma w rękach kilka rzeczy – dodał. – Nie, nic się nie stało – powiedział do fikcyjnego telefonicznego rozmówcy. – Zaraz oddzwonię do ciebie.

Podniósł kartę i przysunął ją do zabezpieczonej elektronicznie skrytki. Piknęło, zamigotała dioda w kolorze zieleni i sejf, który był jego celem, stanął przed nim otworem. Zasłonił sobą jego wnętrze, wziął aksamitny

woreczek z diamentami i włożył go do walizki, a później zamknął skrytkę i tak samo nieśpiesznym krokiem, tym razem ze wzrokiem wbitym w ekran smartfona, opuścił pomieszczenie. Przez nikogo niezatrzymywany, przemierzył halę i wyszedł głównymi drzwiami. W samą porę, bowiem od strony parkingu i ulicy płynęła już fala zwiedzających. Wezwał taksówkę i pojechał na drugi koniec miasta. Tam wysiadł i zamówił drugie auto z innej korporacji. Powtórzył ten manewr jeszcze raz, nim dotarł do swojego mieszkania, o którego istnieniu nikt nie wiedział.

W domowym zaciszu ukrył mały pakunek w szufladzie o podwójnych ściankach i poszedł do łazienki. Zdjął mokre od potu ubranie, wziął długi prysznic, a potem stanął przed lustrem w ręczniku owiniętym wokół bioder i zawiesił wzrok na swojej twarzy.

– Pora na zmianę wizerunku – powiedział i sięgnął po przygotowane wcześniej nożyczki fryzjerskie. Pół godziny później nie było śladu po dwutygodniowym zaroście na twarzy i włosach opadających na czoło i kark. Z lustra spoglądał na niego gładko ogolony mężczyzna z trzymilimetrowym jeżem na głowie. – No i świetnie. – Wyjął z oczu niebieskie soczewki, które razem z obciętymi włosami trafiły do worka na śmieci. – Żadnych śladów.

Posprzątał w łazience, włożył dżinsy i bluzę, wziął dwie tabletki przeciwbólowe, popił wodą. Cholerna pogoda, pomyślał, a może zbyt dużo wrażeń. Stąd pulsowanie w potylicy. Usiadł przy stole, wyjął z szuflady aksamitny woreczek i wysypał na welurową podstawkę jego zawartość. Na widok trzech niebieskich, owalnych diamentów wstrzymał oddech. Ich tajemniczy urok, głębia koloru i wyjątkowa przejrzystość zapierały dech w piersiach. Sięgnął po lupę jubilerską i obejrzał wygrawerowany laserem numer certyfikatu. Łączna masa diamentów wynosiła pięć i dwie dziesiąte karata. Przeszlifowanie ich w celu usunięcia oznaczeń wpłynęłoby na jej spadek, ale tak czy inaczej, biorąc pod uwagę rzadkość występowania tych niezwykłych kamieni oraz kwoty, które płacono w domach aukcyjnych za biżuterię z niebieskimi diamentami, trzymał w rękach majątek rzędu dwóch, trzech milionów dolarów. Wpatrywał się w nie przez kilka minut,

podziwiając ich blask, a później ukrył je z powrotem w szufladzie. Emocje, które opadły podczas krzątaniny w domu, znów załamywały go niemożliwą do powstrzymania falą. Mimo wczesnej pory nalał więc do szklanki trochę whisky i wrzucił dwie kostki lodu.

– Za powodzenie – powiedział do siebie, unosząc szkło na znak toastu, i pociągnął długi łyk.

Alkohol o barwie bursztynu przyniósł ciału rozluźnienie, a umysłowi, zwolnionemu z obowiązku zachowania czujności, błogą senność, ale gdy rozparty w fotelu zaczął odpływać w objęcia Morfeusza, ciszę zakłócił dźwięk dzwoniącej komórki. Spojrzał na wyświetlacz i na jego ustach wykwitł uśmiech.

– Co tam? – rzucił i z niechęcią zrezygnował z drugiej porcji trunku.

– To ja pytam, co tam. W porządku? Czekałem na wiadomość i czekam, miałeś zadzwonić.

– W porządku.

– Bez komplikacji?

– Niezupełnie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie zawsze wszystko da się przewidzieć. – Podeszedł do okna i spojrzał na wirujące liście, które wzbiły się w powietrze pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. – Pogadamy później.

– Dobrze. Teraz trzeba zachować spokój.

– Otóż to. Na razie. – Odłożył telefon i spojrzał na zegar.

ROZDZIAŁ 8

Do pokoju udostępnionego przez ochronę hotelu weszła zapłakana dziewczyna ubrana w ciemnoszary służbowy uniform. Powiodła spłoszonym spojrzeniem po twarzy policjantki i usiadła na wskazanym miejscu.

– Nadkomisarz Czaplińska. – Michalina pokazała odznakę i poprosiła o dowód tożsamości. Zapisała dane i podniosła oczy na dźwięk otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wkroczyła Zosia z dwoma kubkami, jeden postawiła przed nią na biurku, a z drugiego upiła łyk.

– O, przepraszam – zwróciła się do pokojówki. – Może i pani ma ochotę na kawę?

– Słucham? – W oczach dziewczyny odmalowało się zaskoczenie. – Kawa? Nie, nie, dziękuję. – Przycisnęła chustkę do nosa. – Szczerze mówiąc, wypiłabym coś mocniejszego, ale jestem w pracy. Albo poszłabym spać i może rano okazałoby się, że to był sen, z tą kobietą i w ogóle.

Czapla, słuchając w milczeniu wynurzeń świadka, z lubością wciągnęła w nozdrza aromat ulubionego napoju. I poczuła do Maciejki bezgraniczną wdzięczność: za pogonienie wymoczka, który wymachiwał dyktafonem, za rozpędzenie tłumu gapiów i wreszcie za podanie kawy w porządnym naczyniu, a nie w mikroskopijnej, wypełnionej do połowy filiżance. Może będą z niej ludzie, pomyślała kolejny raz, trzeba dać szansę dziewczynie. Tylko należy wybić jej z głowy te numery z proponowaniem świadkom poczęstunku. Gdzie ona to podłapała? Jaka uprzejma, myślałby kto! Zdaniem Miśki przesłuchiwanym nigdy nie powinno być zbyt wygodnie, dobrze, gdy czuli dyskomfort, gorąco lub zimno, głód, pragnienie, chęć wyjścia na zewnątrz. Irytacja też była mile widziana, nie mówiąc już o bólu. Dowolnej części ciała. Czapla najlepiej wiedziała, jak skutecznie potrafi wyprowadzić z równowagi nieznośne pulsowanie w skroniach lub

potylicy. Słowem, pożądana była każda dokuczliwa okoliczność, która mogłaby spowodować, że osobnik straci nad sobą kontrolę i w zamian za święty spokój odpowie na każde pytanie Michaliny.

Policjantka zrobiła nieokreślony ruch ręką, żeby wskazać Zosi miejsce do siedzenia, ale dziewczyna w tym momencie spoczęła na szerokim parapecie.

– W porządku. – Czaplińska chrząknęła, zwracając pokojówce dowód tożsamości. – Proszę mi powiedzieć, co pani widziała. Spokojnie, bez pośpiechu. – Nie odrywając wzroku od pracownicy hotelu, wyjęła z kieszeni tabletki przeciwbólowe, przepisane przez lekarza, włożyła jedną do ust, popiła gorącym napojem, parząc sobie usta. – Szlag – syknęła.

– Słucham?

– Nic. Proszę mówić.

– Dobrze. – Dziewczyna pociągnęła nosem i z widocznym trudem przełknęła ślinę. – Najpierw zapukałam do drzwi. Chciałam sprawdzić, czy ktoś jest w apartamencie, ponieważ na klamce nie było wywieszki, żeby nie przeszkadzać. Kiedy nikt się nie odezwał, zapukałam jeszcze raz, a potem weszłam do środka i zawołałam, że przyszła obsługa, na wypadek, gdyby ktoś był i nie usłyszał pukania.

– Zawsze tak pani robi?

– Tak, chyba że wisi tabliczka, żeby nie wchodzić, albo przeciwnie, żeby posprzątać pokój. Wtedy wiadomo, co i jak.

– Co było dalej? – Czaplińska połknęła drugą tabletkę, znów pociągając solidny łyk kawy. Przyjemne ciepło wreszcie rozgrzało ją od wewnątrz, a kofeina wyostrzyła zmysły.

– Od razu zobaczyłam tę kobietę. Leżała na podłodze i miała zakrwawione włosy. A potem zobaczyłam tę drugą.

– W pokoju były dwie kobiety? – Policjantka zmarszczyła brwi.

– W pewnym sensie. Ta druga uciekała przez okno.

– Uciekała? Z ósmego piętra?

– Miała linę i coś na głowie. Kask. Tak, miała kask.

– Skąd pani wie, że uciekała? – Czaplińska zerknęła na Maciejkę, która z niedomkniętymi ustami przysłuchiwała się zeznaniom pracownicy hotelu.

– Okno było otwarte, a ona wisiała w nim i opierała nogi o parapet. – Dziewczyna skubnęła palcami dolną wargę. – Mówię, co widziałam.

– Rozpoznałaby ją pani?

– Tak, jest tam. – Machnęła ręką w stronę drzwi. – Siedzi przy recepcji. Dziś mieliśmy mycie okien na zewnątrz i ona jest z tamtej ekipy.

– Widziała pani jeszcze kogoś? – spytała Miśka z rosnącym zaciekawieniem.

– Nie. Od razu wybiegłam na korytarz i zawiadomiłam przez intercom szefa ochrony.

– Czy możliwe jest, że w apartamencie był jeszcze ktoś oprócz kobiet?

– Możliwe, ale ja nikogo nie widziałam. To jest dwupokojowe studio. Przy drzwiach jest mały przedpokój, który prowadzi do części dziennej. Od niej odchodzi aneks sypialny z zasuwanymi drzwiami. Obie części mają po jednym oknie.

– Rozumiem. – Czaplińska zabębniła palcami w stół. – Ma pani chłopaka?

– Słucham? – Dziewczyna zamrugnęła, zaskoczona. – A co to ma do rzeczy?

– Proszę odpowiedzieć.

– Mam.

– Czym się zajmuje?

– Pracuje w banku – odparła pracownica hotelu, nagle poirytowana. – W dalszym ciągu nie rozumiem, co...

– To na razie wszystko – zakomunikowała Michalina, świdrując ją wzrokiem. – Chyba że chciałaby pani jeszcze coś dodać?

Pokojówka pokręciła głową.

– Nie, wszystko powiedziałam.

– W takim razie może już pani wrócić do swoich obowiązków. – Podała jej wizytówkę. – To na wypadek, gdyby coś się pani przypomniało – dodała, a gdy kobieta wyszła, spojrzała na Zosię. – I co ty na to?

– Na razie nic. – Maciejka zeskoczyła z parapetu. – O co chodziło z tymi pytaniami na temat chłopaka? Podejrzewasz pracownicę hotelu?

– W takie napady często jest zamieszany personel obiektu, który pomaga, przekazuje potrzebne dane albo bezpośrednio bierze udział w akcji – wyjaśniła Czapla. – Nie mam zamiaru nikogo wykluczać z grona podejrzanych tylko dlatego, że wysyła mi spojrzenia zranionej sarny. – Prychnęła.

– Musimy przesłuchać jeszcze tę drugą. No i zajrzeć do apartamentu.

– Taa, chętnie zobaczę to lokum, ale najpierw dawaj kobietę od okien – zdecydowała.

Nadia siedziała w pobliżu hotelowej recepcji i czekała na wezwanie policjantki, która przejęła sprawę. Takie polecenie dostała od umundurowanego funkcjonariusza i chętnie by je zignorowała, wiedziała jednak, że wtedy ściągnęliby ją do komendy i straciłaby znacznie więcej czasu. Tkwiąc więc na miejscu, zadzwoniła do jednego z kolegów z ekipy, a następnie skontaktowała się z pracodawcą i zrelacjonowała mu przebieg zdarzeń. Zrobiwszy to, co uznała za swój obowiązek, oparła plecy o ścianę i zamknęła oczy. Przyjęta z niechęcią tabletki na uspokojenie, którą dał jej lekarz z pogotowia, zaczęła działać. Nadia poczuła, że ustępuje w niej wewnętrzne drżenie, rytm serca wraca do normy, a umysł ogarnia błogi spokój. Zniknęła męcząca gonitwa myśli, a jej miejsce zajął stan z pogranicza jawy i snu. Zaczęła odpływać w niebyt, więc zmusiła się do podniesienia powiek i potrząsnęła głową. To nie był dobry moment na relaks. Zmieniła pozycję ciała i wróciła pamięcią do chwili, gdy zawisała w otwartym oknie hotelowego pokoju. Chciała przywołać obrazy zdarzeń i odtworzyć ich przebieg, ale właśnie z pomieszczenia, w którym wcześniej

zniknęła policjantka, wyszła pokojówka, którą Nadia widziała w apartamencie podczas napadu. Różańska omiotła ją spojrzeniem i skierowała wzrok na otwarte drzwi. Rudowłosa dziewczyna, towarzysząca wcześniej policjantce, zrobiła zachęcający gest.

– Proszę.

Nadia weszła niepewnym krokiem i usiadła na wskazanym miejscu.

– Nadkomisarz Czaplińska, sierżant Maciejka. – Po dokonaniu prezentacji śledcza poprosiła ją o dowód tożsamości.

Nadia wyjęła z kieszeni dokument i odgarnęła włosy z twarzy.

– Proszę.

– Imię i nazwisko? – padło pytanie.

– Tak, jak jest napisane. Nadia Różańska.

Przeniosła spojrzenie na młodą sierżant i zdała sobie sprawę, że siedząca na parapecie dziewczyna wbija w nią wzrok z wyrazem szczerego zdumienia.

– Proszę opowiedzieć mi, w jakich okolicznościach pani kolega z pracy został postrzelony – padło z ust Czaplińskiej. – Wszystko, co pani pamięta, nawet to, co wydaje się mało istotne.

– Wszystko? – Nadia, zdezorientowana, z trudem oderwała oczy od sierżant Maciejki. – Oczywiście. – Potarła dłonie o uda, zrobiła głęboki wdech i zrelacjonowała przebieg zdarzeń od momentu wkładania uprząży i mocowania lin do chwili, gdy w otwartym oknie zobaczyła raną kobietę.

– Co było dalej? – spytała nadkomisarz, przybierając nieodgadnioną minę.

– Dalej? – powtórzyła Różańska i poczuła, że ogarnia ją niepokój. Pomyślała, że tabletki, którą dostała od lekarza, przestaje działać i chętnie przyjąłaby drugą. – Do środka weszła pokojówka... Wszystko działo się bardzo szybko – bąknęła. – Przestraszyłam się jej krzyku i tego, co zobaczyłam, chciałam coś zrobić, wezwać pomoc. Odwróciłam się do kolegi, który powinien być w pobliżu i myć sąsiednią szybę. Pracowaliśmy w parach. – Nadia zacisnęła palce na ramionach. – Coś było nie tak. Kacper

wisiał bezwładnie i nie reagował na mój głos. A później... Wiem, że to dziwnie brzmi, ale chwilę później z sąsiedniego okna wyszedł facet, owinał się nogami i rękami wokół mojego kolegi i zjechał razem z nim na jego linie.

– Co pani zrobiła? – Policjantka świdrowała ją wzrokiem.

– Zjechałam za nim, ale zdążył uciec. – Nadia poczuła pulsowanie w skroniach. – Zresztą i tak bym go nie goniła. Kacper był ranny, musiałam udzielić mu pierwszej pomocy. Wezwałam pogotowie i policję, i uciskałam ranę do czasu przyjazdu karetki.

– Rozpoznałaby pani tego mężczyznę?

– Nie – odparła Nadia, napinając mięśnie. – Mówiłam, wszystko działo się bardzo szybko. – Wytrzymała nieruchome spojrzenie nadkomisarz Czaplńskiej. – Miał czapkę nasuniętą na czoło. I zarost na twarzy. – Nadia odchyliła się na oparcie krzesła. – Chyba niebieskie oczy. Patrzył na mnie przez chwilę.

– Czy zna pani Alicję Sadej?

– Nie, a kto to? – Różańska zamrugała, zdezorientowana nagłą zmianą tematu.

– Kobieta, która została zaatakowana w apartamencie.

– Nigdy nie spotkałam nikogo o takim nazwisku. – Ucisk w skroniach nie ustępował, przeciwnie, promieniował z dwóch stron w kierunku czoła i potylicy, otaczając czaszkę Różańskiej niczym bolesna obręcz. Mimowolnie zatrzymała wzrok na opakowaniu z tabletkami przeciwbólowymi, które leżały na stole obok kubka. – Może mi pani dać jedną? – spytała.

– Przykro mi, są tylko na receptę, to silny lek, nie mogę ryzykować, że coś pani się stanie – odparła policjantka, a Nadia dałaby głowę, że odpowiedzi towarzyszył przelotny uśmiech. – Widziała pani kogoś jeszcze w tamtym pokoju?

– Nie, nikogo więcej nie zauważyłam.

– Czy to możliwe, że ktoś jeszcze przebywał w pomieszczeniu?

– W sensie, że się ukrył? Nie wiem. – Nadia zmarszczyła czoło. – Wisiałam w oknie przez chwilę, a później, gdy zdałam sobie sprawę, że Kacper... to... – Znow zerknęła w stronę sierżant Maciejki, która niezmiennie lustrowała jej twarz.

– Wchodziła pani do apartamentu? – Czaplińska znow zabębniła palcami w biurko.

– Słucham? – Różańska drgnęła i wróciła spojrzeniem do śledczej. – A, czy wchodziłam? Nie, ale pewnie bym to zrobiła, gdyby nie uprzedziła mnie pokojówka. Jak mówiłam, wybiegła z krzykiem, więc domyśliłam się, że podniesie alarm i zawiadomi kogo trzeba.

– Nie przyszło pani na myśl, żeby po prostu zadzwonić po pomoc, zamiast rozważać wejście do środka? – Nadkomisarz wbiła w Nadie nieruchome spojrzenie.

– Nie wiem, do licha. – Różańska była bliska wybuchu. – Co pani sugeruje? – spytała i kontynuowała, nie dając jej szansy na odpowiedź: – Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, to tylko moje przypuszczenia. Nie było czasu na spokojne rozważanie za i przeciw. – Umilkła, gdy dotarło do niej, że dała się sprowokować.

– A może była tam pani? Zaatakowała tę kobietę, a później próbowała uciec?

– I postrzeliłam Kacpra? – Nadia uniosła brwi.

– Przyłapał panią. Zawisł w drugim oknie. Myślała pani, że jest gdzieś dalej, że zdąży pani załatwić swoją sprawę. Niestety, kolega pokrzyżował pani plany, więc strzeliła do niego z nadzieją, że nie przeżyje.

– A mężczyzna, który zjechał na linie Kacpra?

– Wymyśliła go pani. Nikt więcej go nie widział, nikt nie potwierdza tych kaskaderskich popisów. Strzeliła pani do kolegi, a później zjechała na ziemię, obsługując, że tak powiem, obie liny. Domyślałam się, że na szkoleniach alpinistycznych uczą takich rzeczy, jak sprowadzanie na dół partnera w potrzebie. Dla zmyłki wezwała pani pomoc, a zanim przyjechaliśmy, pozbyła się broni.

– A niby dlaczego miałabym napadać na tę kobietę? – spytała Nadia. – W jakim celu?

– Dowiemy się, spokojna głowa – zapewniła policjantka. – Może pani też od razu powiedzieć prawdę i oszczędzić nam wszystkim trudu. Jeśli będzie pani współpracować, prokurator weźmie to pod uwagę.

– W życiu nie słyszałam większej bzdury – rzekła Różańska, zaciskając zęby. – Myślę, że sama pani nie wierzy w to, co mówi. Nie będę wysłuchiwać takich insynuacji. – Wstała. – Jeżeli to już wszystko, chciałabym wrócić do swoich obowiązków.

– Na razie wszystko, ale proszę nie opuszczać miasta bez powiadomienia. Jeszcze się spotkamy, kwestia czasu.

– Niech pani przesłucha Kacpra, jestem pewna, że potwierdzi moje słowa.

– Nie omieszka, jeśli tylko będzie taka możliwość. Na pani miejscu dałabym na mszę i modliła się, żeby przeżył.

Po chwili namysłu Nadia zrezygnowała z riposty i wyszła z pokoju, walcząc z pokusą trzaśnięcia drzwiami. Odebrała swoją torbę z rzeczami, którą zostawiła na przechowanie w recepcji, i pojechała do siedziby „Na wysokości”. Poprosiła szefa o urlop do końca tygodnia, wyjaśniając, że potrzebuje kilku dni na ochłonięcie, a gdy przełożony zaakceptował jej wniosek, pożegnała się i skierowała do metra. W drodze powrotnej wyświetlała na ekranie wyobraźni kadry niedawnych zdarzeń, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów. Podczas przesłuchania odniosła wrażenie, że policjantka podejrzewa ją o udział w obydwu napadach, ale nie zamierzała na siłę jej przekonywać, że jest w błędzie. Dla Różańskiej istotny był fakt, że ona знаła personalia prawdziwego sprawcy. Rozpoznała go mimo kamuflażu. I zamierzała rozprawić się z nim sama. Zanim jednak podejmie stosowne kroki, musi ustalić, kim jest zaatakowana kobieta i co zginęło z jej pokoju, bo że zginęło, nie miała wątpliwości. Po wejściu do mieszkania od razu włączyła komputer i wpisała w wyszukiwarkę dane poszkodowanej.

Po wyjściu Różańskiej Zosia zeskoczyła z parapetu.

– Rany Julek, nie musiałaś jej tak dręczyć – rzuciła, zalana falą emocji.

– A co? Miałam ją pogłaskać po głowie? – Czaplińska zmarszczyła czoło. – Możliwe, że chodzi o podwójną próbę zabójstwa, to nie pora i miejsce na cackanie się ze świadkami. Na razie – podkreśliła – ze świadkami, bo niektórzy z nich mogą zmienić status na podejrzanego.

– Wytrąciłaś ją z równowagi, myślałam, że zacznie płakać albo coś.

– O to właśnie chodzi. – Michalina otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. – Jedziemy na górę. – Nacisnęła guzik przywołujący windę i obrzuciła Zosię rozbawionym spojrzeniem. – Musisz ich wkurwić, doprowadzić do płaczu lub chęci mordy na twojej osobie, żeby przestali nad sobą panować – wyjaśniła. – Wtedy dopiero pękają i zaczynają gadać prawdę. Patrz, ucz się i miej serce z kamienia.

– Nie wierzę, że ona zrobiła coś złego – oświadczyła Maciejka, wchodząc do kabiny i zerkając w lustro zajmujące jedną ścianę.

– Kto? Różańska? A niby dlaczego?

– Bo ją znam.

– Znasz ją? Dlaczego nic nie mówiłaś? – Michalina zmarszczyła brwi. – W takim razie nie możesz ze mną prowadzić tej sprawy, wiesz, jakie są zasady.

– Nie, to nie tak! – zawołała Zosia. Jeszcze by tego brakowało, pomyślała z przestrawieniem. Za nic w świecie nie da się odsunąć od tego śledztwa. – Miałam na myśli, że wiem, kim ona jest. W takim sensie ją znam. Jak znasz aktora czy piosenkarza, rozumiesz?

– *Piętro ósme* – zabrzmiało w głośniku.

– Wysiadka. To jakaś celebrytka? Pogubiłam się już, nowi wyrastają jak grzyby po deszczu. Czyli to rodzaj fanaberii z tym myciem okien? Tak? Potem zrobią z tego kolejny głupi program w telewizji.

– Nie. To dawna gwiazda Cyrku Oliviera, akrobatka – wyjaśniła Maciejka. – Dwa lata temu miała wypadek, spadła z wysokości podczas występu, cudem przeżyła. Byłam tam wtedy, na przedstawieniu, widziałam wszystko na własne oczy. Koszmar!

– Cyrku, powiadasz? – zainteresowała się Czaplińska.

– Tak. Pisali później, że Różańska nigdy nie będzie chodzić, że zostanie kaleką do końca życia.

– No to się pomylili – stwierdziła Michalina, stając na progu hotelowego studio, w którym doszło do porannych wydarzeń.

– Mamy łuskę – powiedział jeden z techników na widok śledczych. – Leżała na wierzchu, sprawca chyba bardzo się spieszył, skoro jej nie zabrał.

– Doskonale. Ślady włamania?

– Drzwi czyste, ale w pokoju bałagan, wybebeszone szuflady, możliwe, że tło rabunkowe, chociaż, z drugiej strony, pieniądze w portfelu zostały, karty płatnicze też. I biżuteria na nocnym stoliku.

– To ciekawe – mruknęła Czapla.

– Mam też ślady obuwia na obu parapetach i paluchy, ale tutaj nie nastawiałbym się na fajerwerki, sprawca mógł się zabezpieczyć.

– Możemy wejść?

– W zasadzie tak. – Technik podrapał się za uchem. – Prawie skończyliśmy. Tylko włożcie ochraniacze i rękawiczki.

Maciejka weszła za Michaliną i w skupieniu obejrzała wszystkie pomieszczenia apartamentu. Bałagan był jedynie w sypialni, w salonie panował nienaganny porządek. Zatem sprawca wiedział, czego szuka, i wiedział, gdzie może to znaleźć. Skoro brak śladów włamania, wszedł podstępem lub został wpuszczony przez poszkodowaną. Może się znali? – zadała sobie pytanie, a gdy Czaplińska zachęciła ją do podzielenia się wnioskami z obserwacji, zwerbalizowała swoje myśli.

– Noo... – Michalina chrząknęła zachęcająco. – Coś jeszcze?

– Uderzył ją w potylicę, może skorzystał z okazji, że odwróciła się po coś. Jeśli tak zrobiła, miała do niego zaufanie albo nie czuła zagrożenia, co

na jedno wychodzi. Gdy upadła, zaczął przeszukiwać lokum. Na zdrowy rozum powinien zacząć w miejscu, w którym byli, a dopiero gdyby nie znalazł tego, czego szukał, przejść do sypialni. Skoro obrał inną kolejność, to znaczy, że mniej więcej wiedział, gdzie szukać. Mniej więcej, bo jednak zrobił bałagan.

– Albo chciał, żebyśmy tak pomyśleli.

– Możliwe – zgodziła się Zosia. – Zaczął od sypialni, wziął to, po co przyszedł, a później zrobił małą demolkę. Dla zmyłki lub dla zabawy.

– Ma to sens – pochwaliła ją Czapla. – Od czego byś zaczęła?

– Od ustalenia czegoś więcej na temat uszkodzonej. – Maciejka wzięła ze stojącego pod oknem stołu broszurę i podniosła na wysokość oczu Michaliny. – Zobacz. Dziś jest pierwszy dzień targów biżuterii połączonych z wystawą kolekcjonerskich kamieni szlachetnych, a to jest katalog związany z tym wydarzeniem. – Przekartkowała folder. – Proszę, oto nasza Alicja Sadej. – Pokazała Czaplińskiej zdjęcie i omiotła wzrokiem kilka linijek tekstu. – Właścicielka firmy „Alice Diamonds” z Gdyni i kolekcjonerka diamentów – przeczytała. – Posłuchaj tego: „Alicja Sadej pierwszy raz zaprezentuje swoją kolekcję niebieskich diamentów o niezwykłej czystości i głębi koloru, które są podarunkiem urodzinowym od jej wieloletniego partnera życiowego”.

– Niezły prezent – parsknęła Miśka. – Niektórym to się powodzi. Myślałam, że diamenty są tylko bezbarwne.

– Nie, występują w różnych kolorach, mogłabyś ułożyć z nich tęczę. – Zosia poczuła emocje, gdy zdała sobie sprawę, że zakiełkowało w niej pragnienie, by złodziej ukradł wspomniane w folderze diamenty, a ona mogła uczestniczyć w działaniach zmierzających do ich odzyskania. Nie było to profesjonalne i zgodne z etyką zawodu policjanta, ale wcale nie czuła z tego powodu wstydu. – Są błękitne, różowe, zielone, a także fioletowe, czerwone, nawet czarne. I często cenniejsze od bezbarwnych z uwagi na rzadkość występowania. Ważny jest ton i nasycenie koloru, jego siła i wyrazistość... Popyt na kolorowe diamenty rośnie, ich ceny na aukcjach przyprowadzają o zawrót głowy. – Zosia urwała, zmieszana.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała Czaplińska.

– Moja mama jest projektantką szlachetnej biżuterii i miłośniczką kolorowych diamentów. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Jej ulubiona baśń, którą mi czytała, gdy byłam dzieckiem, to *Alibaba i czterdziestu rozbójników*. Gdy dochodziło do opisu zawartości sezamu, mama odkładała książkę i zaczynała z detalami opowiadać o naszyjnikach, pierścieniach, bransoletach, które jakoby wypełniały zbójcecki skarbiec, mówiła o wzorach, kamieniach i kolorach, słowem popuszczała wodze fantazji.

– Hę? – Michalina zawiesiła spojrzenie na twarzy Maciejki.

– Chcąc, nie chcąc, nasiąkałam jubilerską wiedzą, ale do tej pory nie udało mi się jej wykorzystać w pracy, nie trafiłam jeszcze na tak spektakularną kradzież. Oczywiście, jeśli okaże się, że niebieskie diamenty zniknęły.

– Chciałabyś, co? – Czapla otrząsnęła się z osłupienia. – Widzę to w twoich oczach, ale na razie nie wiemy, czy w ogóle coś zginęło. – Włożyła do torebki strunowej biżuterię, która leżała na szafce przy łóżku, i podrzuciła ją na dłoni. – Wygląda na całkiem kosztowną, a jednak złodziej ją zostawił.

– Błagam, delikatniej. – Zosia złożyła dłonie. – To chyba szmaragdy.

– Smartfon też niezły – odparła Miśka. – Okej, pora się zbierać. Obejrzymy nagranie z monitoringu i pogadamy z personelem w recepcji, a potem jedziemy do szpitala. Gutkowskiego operują, ale mam nadzieję, że pozwolą nam pogadać z kobietą. A co do Różańskiej... – dodała, gdy zjeżdżały windą na parter. – Nie masz pojęcia, jacy ludzie popełniają przestępstwa. Krótko pracujesz w firmie, może do tej pory zetknęłaś się tylko z patologią, która kradnie rzeczy z tylnych siedzeń w brykach, ale wierz mi, tak zwani porządni obywatele też nie są wolni od pokus i robią rzeczy, które przyprawiłyby cię o dreszcze. Fakt, że ktoś był gwiazdą cyrku, nie czyni z niego niewinnego człowieka. Skoro pozbierała się po takiej rozsypce, jak mówiłaś, tym bardziej trzeba mieć ją na oku. Prawdopodobnie jest twarda i bezkompromisowa. Nie występuje już na arenie, myje okna w wieżowcach. Może ją to frustruje? Może potrzebuje pieniędzy? A może komuś pomaga? – Czaplińska uniosła brew.

Zosia zmierzyła ją uważnym spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy policjantka żartuje. Po chwili uznała, że w przeciwieństwie do niej Michalina naprawdę bierze pod uwagę swoje hipotezy.

– Mogłabym się rozejrzeć, czy nie złapała ich jakaś kamera w okolicy – zaproponowała po chwili. – Wiesz, Różańskiej i napastnika. Wtedy będzie dowód, że mówi prawdę.

– Zajmij się tym – odparła krótko Czapla. – I zorganizuj portret pamięciowy.

– Więc jednak jej wierzysz? – Zosia zamrugła, zdezorientowana poleceniem.

– Powiedzmy, że biore wszystko pod uwagę, żeby niczego nie przeoczyć. Nawet coś, co brzmi jak bzdura.

ROZDZIAŁ 9

Alicja otworzyła oczy i powiodła wzrokiem po najbliższym otoczeniu, a później zerknęła na swoją rękę, w której tkwił wenflon. Chciała zmienić pozycję, ale ból płynący z potylicy ograniczał jej zakres ruchu. Sadej zagryzła wargi i dotknęła tyłu głowy. Trafiła na opatrunek. Przycisnęła z powrotem policzek do poduszki i, wpatrzona w drzwi, próbowała odtworzyć w myślach przebieg zdarzeń. Ten facet... Jak mu było? Tomasz i jakieś kolorowe nazwisko. Nie, zaraz. Miał na imię Tymon. Tymon Szary, jubiler z Wrocławia, zabrzmiało w jej uszach. Uderzył ją i zapadła ciemność. Co zaszło później? Jak trafiła do szpitala?

Ktoś nacisnął kławkę i z korytarza dobiegła do pacjentki cicha rozmowa. Pojedyncze słowa, które zdołała wychwycić, nie dały się jednak ułożyć w sensowną całość, więc kobieta przestała nasłuchiwać. Poprawiła poduszkę i znieruchomiła, żeby przeczekać mdłości, które napłynęły gwałtowną falą w towarzystwie migoczących przed oczami czarnych punktów. Alicja zacisnęła palce na brzegu kołdry i opuściła powieki, a gdy je na powrót podniosła, zobaczyła wchodzącą do sali postać w białym uniformie.

– Przepraszam... – wyszeptała. – Zaraz zwariuję, okropnie mnie boli.

– Trudno się dziwić, nieźle pani oberwała w potylicę. – Kobieta sprawdziła kroplówkę. – Podobno ktoś na panią napadł w hotelu.

– Wszystko pamiętam jak przez mgłę. – Alicja przycisnęła dłoń do ust.

– Będzie pani wymiotować? – Pielęgniarka podniosła miskę stojącą pod łóżkiem.

Sadej zaczerpnęła powietrza.

– Chyba nie... – Zwilżyła językiem wargi. – Już mi lepiej. Myśli pani, że ktoś chciał mnie zabić?

– Tego nie wiem. Policja pewnie pani wszystko powie.

– Policja?

– Tak. Jak im lekarz pozwoli z panią porozmawiać. Niech pani na razie odpoczywa. I dużo śpi. Przyniosę tabletkę przeciwbólową... – Pielęgniarka urwała na dźwięk kroków. – Jest pan doktor.

– Dziękuję. – Alicja oparła się na łokciu i z trudem podciągnęła do pozycji półleżącej.

– Dzień dobry, jak się pani czuje? – Medyk podszedł do łóżka i usiadł na stołku.

– Boli mnie głowa i mam mdłości.

– Potrzeba czasu, to normalne, ma pani uraz. Na razie stosujemy leczenie objawowe. Zatrzymam panią na obserwacji, chcę mieć pewność, że wszystko będzie zmierzać ku lepszemu.

– Coś mi grozi?

– Czasem po takich uderzeniach mogą nastąpić komplikacje, dlatego chciałbym panią przez kilka dni poobserwować.

– Ale ja nie mogę... – zaczęła Sadej i urwała. – Moja praca...

– Proszę przez chwilę nic nie mówić. – Lekarz wyjął z kieszeni fartucha stetoskop. Osłuchał Alicję, poświecił jej w oczy latarką, sprawdził odruchy, zmierzył ciśnienie krwi. – Dobrze. – Zanotował coś w karcie pacjenta. – Czy chciałaby pani, żeby zawiadomić kogoś z bliskich? – spytał.

– Tak, mojego partnera, Juliana Obarskiego. Prawdopodobnie dzwonił do mnie kilka razy, ale moja komórka została w pokoju, w hotelu. – Alicja znów skrzywiła się z bólu. – Ma być dziś w Warszawie, myślę, że jego samolot już wylądował.

– Na korytarzu czekają policjanci, jest pani w stanie z nimi porozmawiać? – Uważne spojrzenie lekarza spoczęło na twarzy kobiety. – Jeśli pani nie chce, powiem, że nie wyrażam zgody.

– Niech wejdą – zdecydowała Alicja i pomyślała, że poprosi ich o przyniesienie telefonu. Chciała też, mimo bólu, który pulsował w jej czaszce, dowiedzieć się wreszcie, co zaszło w hotelu.

Medyk wyszedł z sali chorych i po chwili wrócił w towarzystwie dwóch kobiet, które wyglądały jak matka i córka.

– Dzień dobry, nadkomisarz Czaplińska, sierżant Maciejka – rzuciła starsza z nich i teraz ona zajęła miejsce na stołku. – Chciałybyśmy zadać kilka pytań, da pani radę porozmawiać z nami?

– Tak. – Sadej poprawiła kołdrę.

– Czy pamięta pani, co się wydarzyło? Czy wie pani, kto na panią napadł?

– Tak – powtórzyła. – Tymon Szary.

– To pani znajomy? – Czaplińska zanotowała nazwisko.

– Nie. Poznałam go wczoraj. Podszedł do mnie w hotelu i przedstawił się, twierdząc, że jest jubilerem z Wrocławia. I że się znamy z poprzednich targów. – Alicja zrelacjonowała policjantkom treść rozmowy z mężczyzną oraz przebieg porannego spotkania z Tymonem Szarym, który chciał pożyczyć ładowarkę. – Gdy odwróciłam się, żeby ją przynieść, poczułam uderzenie. To ostatnia rzecz, którą pamiętam. Nie wiem, co było dalej, obudziłam się tutaj, w szpitalu.

– Chwila. – Czaplińska podeszła do towarzyszącej jej dziewczyny i powiedziała coś do niej szeptem. Sierżant Maciejka wyszła na korytarz, a starsza policjantka wróciła na miejsce przy łóżku pacjentki. – Na nagraniach z hotelowego monitoringu widać mężczyznę, z którym pani wczoraj jechała windą i który odprowadził panią do drzwi, ale później ten człowiek zszedł na parter schodami ewakuacyjnymi – podjęła wątek. – Dziś rano wjechał windą z nowymi gośćmi i poszedł od razu do pani apartamentu. Przez cały czas, wczoraj i dziś, miał pochyloną głowę – dodała. – Dbał, żeby kamery nie uchwyciły jego twarzy. Potrafi pani opisać wygląd tego mężczyzny?

Sadej opuściła powieki i spróbowała przywołać wizerunek człowieka, o którym mówiły, ale bez efektu.

– Miał okulary. W prostokątnych oprawkach. Pomarańczowe. To pamiętam najbardziej, rzucały się w oczy. I zarost na brodzie i policzkach.

Był wyższy ode mnie, a ja mam sto siedemdziesiąt dwa centymetry.

– Ubranie?

– Nie pamiętam. Chyba normalne, sportowe... Mówił, że jest miłośnikiem art déco.

– He? – Czaplińska uniosła brwi.

– Styl w sztuce i rzemiośle artystycznym. – Za plecami Czaplińskiej stanęła sierżant Maciejka. – Zgeometryzowane formy, rytmiczne podziały, kontrasty barw.

– W dużym skrócie. – Alicja, mimo pulsującego bólu, podniosła wzrok na dziewczynę i uśmiechnęła się z aprobatą. – To chyba wszystko. – Wróciła spojrzeniem do starszej policjantki. – Szczerze mówiąc, najbardziej pamiętam jego okulary.

– Zatem osiągnął swój cel, ponieważ w recepcji dwie osoby, które go zauważyły, gdy tam się kręcił, też zapamiętały to, co pani.

– Sugeruje pani, że specjalnie je włożył, żeby odwrócić uwagę od innych elementów swojego wyglądu? Chodziło o ich niecodziennosc? O to, że się wyróżniały?

– Tak. Wykorzystał wiedzę o procesach zapamiętywania.

– Dałam się podejść jak dziecko – westchnęła Alicja.

– Masz coś? – Nadkomisarz Czaplińska zwróciła się do podwładnej.

– Tymon Szary to prawdopodobnie fałszywe dane – poinformowała Maciejka. – Recepcjonista z Pelikana potwierdził, że nikt o takim nazwisku nie wynajął pokoju w tym czasie, ani na ósmym piętrze, ani w całym hotelu. Łącząc ten fakt z zachowaniem mężczyzny zarejestrowanym na nagraniach z monitoringu, dostajemy czytelny obraz całości.

– Tak myślałam, ale trzeba było się upewnić. Dobrze, lećmy dalej – powiedziała Czaplińska.

– Myślałam, że już kończymy – westchnęła Sadej. – Koszmarnie się czuję, naprawdę.

– Kończymy – obiecała policjantka.

– Może pani zasłonić okno? Światło mnie razi.

– Rolety są opuszczone.

– Niemożliwe. – Alicja z trudem odwróciła twarz w stronę szyby. – Jestem zmęczona tymi pytaniami.

– Rozumiem, ale potrzebujemy jak najwięcej informacji, żeby złapać napastnika. – Policjantka przerzuciła kartkę w notesie. – Sypialnia w apartamencie była splądrowana. Domyśla się pani, czego sprawca napadu mógł szukać?

– O, Boże... – Kobieta zamknęła oczy.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

– Tak, to znaczy nie. – Sadej spojrzała na Czaplińską. – Miałam w sypialni złotą biżuterię. Kolczyki ze szmaragdami, oba czterokaratowe, pierścionek też ze szmaragdem, sześć karatów, zielone kamienie otoczone przez jednokaratowe diamenty.

– Te? – Nadkomisarz wyjęła z kieszeni torebkę strunową z błyszczącą zawartością.

– Tak. – Z radości Alicja na chwilę zapomniała o senności i bólu. – Dziękuję. A moja komórka?

– Też jest. I portfel. Zabrałyśmy to, co najważniejsze, reszta rzeczy została w pokoju, ale jest zabezpieczony, nic nie zginie.

– Dziś mieli do mnie dołączyć mój partner oraz asystentka. Mam nadzieję, że Julian zostanie wpuszczony do apartamentu.

– Tak, dam znać w hotelu, tylko że w pomieszczeniu jest bałagan, jak mówiłam. – Policjantka podała Alicji telefon, który w tym momencie zaczął dzwonić.

– Julian! – Sadej rozpoznała melodię przypisaną do numeru. – Powiem mu tylko, co i jak, żeby się nie martwił. – Odebrała połączenie i próbowała streścić Obarskiemu przebieg zdarzeń, jednak niespodziewanie poczuła trudność z zebraniem myśli i przekształceniem ich w słowa. – Ktoś na mnie napadł – wykrztusiła wreszcie.

– Tyle to i ja wiem, powiedzieli mi w hotelu – rzucił mężczyzna w odpowiedzi. W jego głosie usłyszała napięcie. – Gdzie cię zawieźli? Zaraz przyjadę.

– Nie ma sensu – odparła Alicja, gdy już podała mu adres. – Teraz rozmawiam z policją. Jest z tobą Edyta?

– Tak.

– Zajmijcie się najpierw stoiskiem.

– Żeby się nim zająć, muszę mieć karty dostępu.

– Są w moim portfelu – zreflektowała się Sadej, patrząc na skórzane etui, które policjantka położyła na szafce. – Jednak musisz tu przyjechać. – Ręka z aparatem opadła jej na kołdrę.

– Pani Alicjo? – Przed jej oczami pojawiła się niewyraźna twarz śledczej.
– Wszystko w porządku?

– Głowa... Jeszcze bardziej – wyszeptała pacjentka. – Słabo panią widzę.

– Leć po lekarza – rzuciła nadkomisarz do młodszej koleżanki i to były ostatnie słowa, które wybrzmiały w uszach Sadej.

ROZDZIAŁ 10

Julian Obarski, jadąc taksówką do szpitala, z trudem powstrzymywał się od poganiania kierowcy, który jego zdaniem prowadził wóz w żółtym tempie, a na delikatną sugestię, by jechał nieco szybciej, odparł:

– Panie, mnie się nie spieszy na tamten świat, a i mandatu nie mam zamiaru płacić.

– Mandat biorę na siebie – zadeklarował Julian.

– Taa, każdy tak obiecuje, ale jak przychodzi co do czego, nawet napiwku nie zostawi jeden z drugim – burknął, ale dodał gazu.

Obarski zacisnął zęby, powstrzymując się od dalszych komentarzy, a taksówkarz skorzystał ze znanych sobie skrótów, by pasażer dotarł do szpitala jak najprędzej.

– Dziękuję, reszty nie trzeba. – Julian wręczył mężczyźnie banknot i, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł do budynku kliniki. Szybko ustalił nazwę oddziału, piętro i numer sali, a gdy dotarł na miejsce, zdenerwowany lekarz poinformował go, że Alicję zawieziono na OIOM.

– Nastąpiło pogorszenie stanu, pacjentka straciła przytomność – doprecyzował. – W tej chwili ma robiony rezonans magnetyczny. – Posłał ponure spojrzenie dwóm kobietom stojącym nieopodal drzwi. – Mówiłem, że jest za wcześnie na rozmowę.

– Panie doktorze, ja jestem od tego, żeby łapać bandziorów, a im więcej się dowiem od razu, tym lepiej mogę wykonywać swoją pracę – odparła jedna z nich. – Za dwa dni pokrzywdzona nie będzie pamiętać połowy rzeczy – dodała i pokazała Obarskiemu odznakę. – Policja, nadkomisarz Czaplínska i sierżant Maciejka, chcemy zadać panu kilka pytań.

– Mogę najpierw usłyszeć, o co tu chodzi? – Julian, bliski wybuchu, rozpiął płaszcz i rozluźnił szalik, który otaczał jego szyję. – I chcę zobaczyć

Alę. – Wbił nieruchome spojrzenie w medyka.

– Na razie to niemożliwe. Przed chwilą wszystko panu wyjaśniłem. Badanie w toku, a na OIOM-ie nie ma wizyt. Zapisałem w karcie numer pana komórki, dam znać, jak coś będzie wiadomo.

– Jednak...

– Przepraszam, obowiązki wzywają. – Lekarz przerwał mu i oddalił się szybkim krokiem.

– Panie Obarski – wtrąciła policjantka. – Może usiądziemy poza oddziałem? Przy schodach widziałam kilka krzeseł.

– Dobrze. – Julian po chwili wahania uznał, że lepiej mieć z głowy tę rozmowę, żeby móc spokojnie zająć się resztą. W hotelu nie chcieli mu udostępnić apartamentu, w którym zatrzymała się Alicja, niczego nie mógł ustalić, a targi jubilerskie trwały w najlepsze od rana. Musiał zostawić bagaż w pokoju Edyty, nie miał kart dostępu do skarbca i dokuczał mu głód. – Co chciałaby panie wiedzieć? – rzekł z rezygnacją w głosie, siadając na wskazanym miejscu, a potem wysłuchał streszczenia rozmowy, którą policjantki odbyły wcześniej z Alicją.

– To są rzeczy pani Sadej – powiedziała Czaplińska na zakończenie wywodu i podała mu torebkę z klejnotami, portfel oraz telefon.

– Skoro nie ukradziono szmaragdów, to co się stało? – Obarski omiół spojrzeniem twarze kobiet. – Są sporo warte.

– Na razie nie wiemy, ale liczymy, że pan nam pomoże to ustalić. Czego złodziej mógł szukać? Na czym mogło mu zależeć?

Julian zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, naprawdę. Za kolczyki i pierścionek można dostać dużo pieniędzy, więc skoro ich nie wziął...

– Tak?

– Musiało chodzić o coś innego, cenniejszego... Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to karty wejściowe do skarbca, ale to przecież niemożliwe.

– Skarbca?

– Na targach jubilerskich. Jedna karta otwiera drzwi pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi, a druga sejf, który jest przypisany do konkretnego wystawcy. – Julian wsunął palce we włosy. – Wczoraj po przyjeździe Ala miała zarejestrować naszą obecność na targach i odebrać elektroniczne klucze. No i złożyć w skarbcu wszystko, co przywiozła do Warszawy. Zrobiła to, należy do odpowiedzialnych osób, więc naprawdę nie wiem, czego szukał złodziej.

– Ale szmaragdy leżały na wierzchu.

– Należą do Alicji, zabrała je jako dodatek do sukienki. W skarbcu jest kolekcja firmowa, klejnoty przeznaczone na wystawę lub na sprzedaż.

– Dobrze, wróćmy do kart dostępu. Gdzie pani Sadej mogła je schować?

– Wtedy, gdy dzwoniłem, zanim się rozłączyła, mówiła coś o portfelu.

– Proszę sprawdzić – poprosiła Czaplińska i wymieniła spojrzenia z sierżant Maciejką.

Obarski zerknął na zawartość skórzanego etui i podniósł wzrok na policjantki.

– Nie ma kart – oznajmił, marszcząc brwi. – Może schowała gdzie indziej, może przez ten napad coś pomyliła, mówiła trochę nieskładnie pod koniec.

– Jak pani Sadej podróżowała do Warszawy?

– Przyleciała samolotem z Gdańska, a później miała wziąć taksówkę pod samą halę. – Julian objął dłońmi głowę. – I wzięła. Zrobiła wszystko tak, jak zaplanowała, rozmawialiśmy wczoraj wieczorem przez telefon. – Zdjął szalik, który nagle zaczął mu przeszkadzać. – Dwa lata temu, podczas targów, na parkingu był napad na jubilera. Wszyscy o tym mówili, my w domu też, rzecz jasna. Dlatego Ala zadbała, żeby w pierwszej kolejności zdeponować biżuterię i... – Obarski zamilkł i przełknął ślinę.

– I?

– To niemożliwe – wyszeptał i ponownie wbił wzrok w policjantkę. – Kto mógłby porwać się na coś takiego?

– Co pan ma na myśli?

– Pomieszczenie ze skrytkami depozytowymi. Złodziej musiałby wiedzieć, jakie są zabezpieczenia. Ludzie z ulicy nie wiedzą takich rzeczy.

– Co znajduje się w sejfie?

– Biżuteria z naszego salonu jubilerskiego, jak mówiłem, same najlepsze okazy, głównie współczesna, ale przygotowaliśmy też coś dla amatorów dawnych precjozów, głównie art déco, w którym się specjalizujemy, no i oczywiście...

– Tak? – podchwyciła Czaplińska.

– Nie tylko prowadzimy firmę jubilerską, jesteśmy również miłośnikami fantazyjnych diamentów.

– Fantazyjnych?

– Kolorowych. Inwestujemy w nie, kupujemy rzadkie okazy. Na tegorocznych targach odbywa się wystawa najpiękniejszych kamieni kolekcjonerskich. Alicja miała pierwszy raz zaprezentować publiczności swoje trzy niebieskie diamenty, każdy w szlifie owalnym. Dostała je ode mnie w prezencie, to niemożliwe, żeby ktoś je ukradł. – Julian poczuł, że brakuje mu powietrza.

– Dobrze się pan czuje? – spytała młodsza policjantka.

– Tak, tak. – Skinął głową. – Po prostu nagle przypomniałem sobie słynną, do dziś niewyjaśnioną, kradzież diamentów, kilkanaście lat temu na targach jubilerskich w Gdańsku. Sprawca posłużył się skradzionymi kartami dostępu do sejfu i rozpułnął się we mgle.

– Ile są warte diamenty pani Sadej?

– Co najmniej trzy miliony dolarów.

– Od czego to zależy?

– Wartość biżuterii i kamieni, dzieł sztuki w ogóle, jest taka, ile potencjalny nabywca jest w stanie za nią zapłacić. To jest punkt widzenia sprzedawcy, rzecz jasna. Z punktu widzenia rzeczoznawcy wygląda to trochę inaczej. Biżuteria i kamienie szlachetne mają swoją określoną wartość rynkową. Robiąc wycenę, sprawdzam, czy kamień jest naturalny, biorę pod uwagę kunszt jubilerski i technikę wykonania, pochodzenie

klejnotu, użyte materiały, kruszec. Na zagranicznych aukcjach fantazyjne diamenty o odpowiedniej masie, przejrzystości i nasyceniu barwą są sprzedawane za kwoty od kilkunastu do kilkudziesięciu milionów dolarów.

Policjantki wymieniły spojrzenia.

– Pojedziemy teraz na targi i sprawdzimy skrytkę, która została państwu przydzielona. Pogadamy też z ochroną imprezy – zdecydowała Czaplińska.

– Niech pan się na razie nie martwi.

– Jak mam się nie martwić? Karty do skarbca zniknęły i z naszej rozmowy wynika, że zostały skradzione. Jeżeli złodziej zna się na rzeczy, do tej pory już zdążył pojechać na targi i wyjąć ze skrytki to, co go interesuje. Zabezpieczenia są elektroniczne i gdy pani zgłosi kradzież kart, szef ochrony zablokuje je w systemie, ale obawiam się, że już jest za późno.

– Julian oparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach.

– Panie Obarski, wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje?

– Tak. – Julian opuścił ręce. – Nawet nie chcę myśleć, że to, co przypuszczam, mogłoby okazać się prawdą.

– Sam pan przyjechał do Warszawy?

– Z naszą asystentką. Czeka w hotelu.

– Chciałabym, żeby pojechał pan z nami na targi. – Czaplińska wstała.

– Nie. – Również się podniósł i zdjął płaszcz. – Nie zamierzam stąd wyjść, dopóki nie pozwolą mi zobaczyć Alicji.

– Musi pan być podczas otwarcia skrytki, żeby stwierdzić, czy i co zginęło. Niech pan nie utrudnia czynności, chyba zależy panu, żeby jak najprędzej wyjaśnić, na czym stoimy?

– Dobrze, przepraszam. – Julian z powrotem włożył okrycie. – Proszę dać mi dwadzieścia minut.

Wyjął telefon, zadzwonił do Edyty i streścił jej przebieg zdarzeń.

– Policja mówi, że muszę być podczas otwierania sejfu – powiedział na zakończenie. – Później, w zależności od sytuacji, albo zagospodarujemy nasze stoisko, albo załatwimy formalności i zakończymy nasz udział w targach.

– Dobrze – odparła Domecka. – Przyjadę po ciebie taksówką i pojedziemy tam razem.

– Zadzwoń, jak będziesz przed szpitalem – poprosił i chciał jeszcze coś dodać, gdy zobaczył idącą w jego stronę postać w białym fartuchu. – Kończę, muszę jeszcze złapać lekarza.

– Doktorze? – Julian przeciął drogę medykowi i zasłonił plecami szklane drzwi.

– Panie Obarski, pacjentka jest już w sali, ale jak mówiłem, na OIOM nie wpuszczamy.

– A co z rezonansem? Jest wynik badania?

– Na szczęście wszystko w porządku, co nie znaczy, że nie wystąpią komplikacje. Z urazami głowy różnie bywa. Na razie pozostajemy przy leczeniu objawowym i monitorujemy czynności życiowe. Proszę być dobrej myśli.

– Łatwo panu mówić, wszystko nagle się na mnie zważyło, a każdy wciska mi tę wyświechtaną radę – zdenerwował się Julian. – I policja, i pan.

– Proszę przyjechać jutro. – Oblicze lekarza złagodniało. – Jeśli noc minie bez problemów, pani Alicja po porannym obchodzie wróci do dawnej sali i będzie pan mógł ją odwiedzić. Dziś wykluczone.

– Może pan chociaż komórkę jej zanieść? – poprosił Obarski, podając mu telefon.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Mężczyzna usiadł z powrotem na krześle. – Zaraz będzie moja asystentka – powiedział, omiatając wzrokiem twarze śledczych. – Pojedziemy za paniami taksówką. Może być?

– Byle prędko – odparła Czaplińska i dała znak koleżance. – Idziemy.

Sierżant Maciejka ledwo mogła zapanować nad emocjami. Wreszcie doczekała się udziału w sprawie, w której chodziło o cenne kamienie i duże pieniądze. To nie znaczyło, że praca w poprzednim wydziale nie dostarczała jej satysfakcji, choćby w sytuacjach, gdy właściciel okradzionego mieszkania, uszczęśliwiony, rozpoznawał swoje mienie wśród odzyskanych przez policję rzeczy. Jednak powiedzmy sobie szczerze, telewizor, komputer, czy nawet zbiór monet nijak się miały do niebieskich diamentów, które rozpałały wyobraźnię miłośników szlachetnych kamieni.

– To niebywałe. – Czaplinska stanęła przy samochodzie z pilotem w ręku, kliknęła i zawiesiła spojrzenie na twarzy Zosi. – Ilu ludzi można by wykarmić za równowartość jednego takiego kamyka? – Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów. – Nieprawdopodobne, że ludzie płacą takie sumy za kawałek węgla. – Pstryknęła zapalniczką.

– To nie jest zwykły węgiel – zauważyła dziewczyna.

– Powiedz to matce, która szuka w śmietniku odpadków, żeby nakarmić swoje dziecko. – Michalina wyglądała na poruszoną. Tkwiła jeszcze przez pewien czas z ręką opartą o dach auta, zaciągając się dymem, a później przydeptała niedopałek i usiadła za kierownicą. – Dobra, co sądzisz o sprawie? – zapytała, gdy ruszyły ze szpitalnego parkingu.

– Założę się, że Tymon Szary w ogóle nie istnieje. – Zosia zapięła pas. – Albo złodziej podszywa się pod niego.

– Trzeba wszystko sprawdzić i to jest twoje zadanie. – Michalina włączyła się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo przejazdu na prowadzącym wiśniową toyotę. – Sprawdź, czy we Wrocławiu jest jakiś jubiler o takich danych osobowych, a jeśli znajdziesz, ustal, jak wygląda i co robił podczas napadu na Sadej. I czy mu ktoś ostatnio nie uprzykrzał życia.

– Czy mu coś nie zginęło albo nie był ofiarą „nieszczęśliwego” wypadku?

– Mniej więcej – potwierdziła Czapla, hamując przed skrzyżowaniem. – Jak jedziesz, łamago? – mruknęła pod adresem kierowcy, który wjechał jej

tuż przed maskę, i zerknęła z ukosa na Maciejkę. – Dobrze kombinujesz. –
Dodała gazu. – A swoją drogą niezły cwaniak, zaplanował każdy szczegół.

– Zakładasz, że oczyścił sejf Alicji Sadej?

– A ty masz jakieś wątpliwości?

– Nie. Ale myślę, że chodzi mu tylko o diamenty, w przeciwnym razie nie zadawałby sobie tyle trudu i nie urządzałby maskarady, udając fałszywego jubilera. Gdyby chciał po prostu ukraść jakieś błyskotki, mógł to zrobić na sto różnych sposobów – stwierdziła Zosia, gdy stanęły na czerwonym świetle. Spojrzała przez szybę i zobaczyła billboard z zaproszeniem na pokazy cyrkowe. Na wielobarwnej planszy widniał trapez z uczeptionym jego drażka akrobatą, a na drugim planie można było dostrzec tancerkę na linie z parasolką w dłoni. Zosia nie miała pojęcia, że Cyrk Oliviera przyjechał do Warszawy, przegapiła tę informację i zastanawiała się, jak to możliwe. – Mógł znaleźć inną osobę albo zwinąć coś bezpośrednio na targach... – Oderwała wzrok od plakatu i wyjęła folder zabrany z pokoju hotelowego. – Tylko pani Sadej, jako jedyna, przywiozła na wystawę niebieskie diamenty – powiedziała, kartkując broszurę. – Ich wartość znacznie przewyższa wszystkie prezentowane na ekspozycji okazy. Te, które należą do innych kolekcjonerów. Przy każdym obiekcie jest informacja o szacowanej cenie.

– Jakie wnioski? – zainteresowała się Miśka.

– Myślę, że sprawca wiedział, że Sadej zarejestrowała swoją obecność i odebrała karty do skarbcza, a więc pewnie ją śledził od momentu wylądowania. A jeśli tak było, Obarski ma rację, złodziej prosto z hotelu pojechał do hali, udał wystawcę i oczyścił skrytkę, żeby zdążyć przed zablokowaniem kart. Wiedział, że gdy odkryjemy, co się stało, nie zdoła już wejść do skarbcza. Druga opcja to ktoś stamtąd. Może w zмовie z pracownikiem.

– Ze środowiska?

– Uhm. Każdy dostał folder z planem wydarzeń podczas targów, informacją o wystawcach i oczywiście o prezentacji kamieni kolekcjonerskich. Pewnie trąbiono też o tym w necie. Ktoś chciał przejąć

diamenty i dobrze wiedział, jak ominąć zasieki. Na targach będzie mnóstwo klejnotów; nie sędzę, żeby sprawca zadał sobie tyle trudu, by ukraść zwyczajne kolczyki i wisiorki. Takie może zwinąć wszędzie, ale diamenty warte kilka milionów dolarów? Noo, to jest gra warta świeczki, bez dwóch zdań.

– A swoją drogą odważna kobieta, żeby podróżować solo z diamentami, za które można dostać taką kasę. – Czaplínska z niedowierzaniem pokręciła głową. – To cud, że nikt jej nie napadł po drodze.

– Może nikomu nie przyszło na myśl, że mogłaby sama, bez asysty, porwać się na coś takiego.

– Może. – Miśka skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę. – Jedna rzecz mnie jeszcze zastanawia.

– No?

– Zachowanie jej partnera. Nie spieszyło mu się na targi, żeby sprawdzić zawartość skrytki. Gdybym nie naciskała, zostałyby w szpitalu. Nie mam pojęcia, czy to dobrze o nim świadczy czy źle?

– Że jego miłość do kobiety jest silniejsza niż miłość do diamentów?

– Właśnie. Zakładając, że to nie było przedstawienie odegrane na nasz użytek.

– To chyba jednak dobrze.

– Może już wie, że sejf jest pusty i nie czeka go żadna niespodzianka.

– Że niby brał w tym udział? – zdziwiła się Zosia. – Podejrzewasz go?

– Na tym etapie podejrzewam wszystkich z wyjątkiem ciebie – rzuciła Czapla i wjechała na parking przed halą targową.

– Ale on ze swoją asystentką w tym czasie, gdy był napad, lecieli samolotem.

– To nie dowodzi, że jest niewinny. Mógł być w zмовie ze sprawcą. – Michalina wyłączyła silnik. – Zosiu, nie masz pojęcia, jacy ludzie bywają pomysłowi, gdy chcą coś zdobyć i uniknąć odpowiedzialności.

Przez dziesięć minut czekały w aucie na przyjazd taksówki, z której wysiadł Obarski z młodą kobietą w długim płaszczu i barwnym szalu, luźno

owiniętym wokół szyi i miękko opadającym na ramiona.

– Są. – Maciejka pierwsza opuściła samochód i skinęła ręką mężczyźnie, który powiódł wzrokiem po najbliższej okolicy.

– Idziemy. – Czaplińska wskazała kierunek i poszła przodem.

Na miejscu wszyscy zyskali potwierdzenie, że obawy Juliana Obarskiego były uzasadnione. Gdy w obecności organizatora targów szef ochrony otworzył sejf należący do „Alice Diamonds”, okazało się, że co prawda biżuteria spoczywa w pudełkach, jednak diamenty zniknęły. Rozmowa z pracownikami do spraw bezpieczeństwa niewiele wyjaśniła.

– Nie nagrywamy tutaj – wyjaśnił mężczyzna w uniformie. – Siedzimy i pilnujemy, czy wszystko jest zgodne z procedurą. Upoważniona przez danego wystawcę osoba albo on sam otwiera drzwi kartą magnetyczną, a następnie swój schowek. Tylko jedna karta pasuje do danego schowka. Jeśli ktoś ją zgubi, albo zniszczy, trzeba zmienić kod i aktywować nową kartę.

– Czyli sprawca mógł przyjść tutaj, wziąć ze skrytki to, co chciał, i odejść niezauważony – upewniła się Michalina.

– Tak. Od rana byli tutaj kolekcjonerzy błyskotek i wystawcy, układali biżuterię i kamienie, przygotowywali się do otwarcia imprezy. Jeśli ktoś miał kartę i robił to, co inni, nie rzucał się w oczy.

– Macie tutaj monitoring?

– W hali i przed wejściem.

– Chciałabym obejrzeć, co zostało zarejestrowane w tamtym przedziale czasu.

– Proszę.

Szef ochrony wskazał drogę, a na miejscu odszukał właściwy fragment nagrania. Na ekranie policjantki zauważyły mężczyznę z małą, czarną walizką w rękę, który wszedł do hali, następnie do skarbca, a po kilku minutach wyszedł. Miał przez cały czas pochyloną głowę, a jego przydługie włosy zasłaniały profil.

– Jest podobny do typa na nagraniach z hotelu. – Maciejka wyjęła z kieszeni wydrukowaną w biurze Pelikana fotografię. – Tamten też szedł po korytarzu z pochyloną głową. I tak samo w windzie gapił się w podłogę.

– Tamten miał czapkę i sportowe ubranie, ten ma garnitur. Skubaniec zmienił ciuchy, żeby wyglądać profesjonalnie. – Czaplińska odchyliła się na krześle i splótła ręce na karku. – Nie widać twarzy, wiedział, co robi. No to jesteśmy w czarnej de. Trzeba zadzwonić po technika, może złodziej zostawił ślady na skrytce, chociaż nie mam wielkiej nadziei, skoro tutaj przewija się tyle osób. – Wstała i wcisnęła ręce do kieszeni spodni. – Czy ktoś dziś pytał o Alicję Sadej? – zwróciła się do szefa ochrony.

– Nikt o nią nie pytał.

– Czy zatrudniał pan ostatnio nowego pracownika?

– Nie, od dwóch lat mam ten sam skład.

– Czy podczas przygotowań do otwarcia targów zauważył pan coś nietypowego? Niepokojącego? Ktoś dziwnie się zachowywał albo kręcił się po hali, a nie należał do żadnej ekipy?

– Nie. Żeby wejść podczas ustawiania stoisk, trzeba było mieć imienną przepustkę.

– A firma montująca boksy? Nowa czy ta sama, co w zeszłym roku?

– Ta sama.

– Dobrze, na razie dziękujemy – zdecydowała Michalina po chwili namysłu. – Przyjedzie mój człowiek i zbierze ślady, a potem może pan udostępnić sejf Obarskiemu – dodała. – I proszę mi wydrukować kadr, który jest na monitorze.

– To co robimy? – spytała Zosia, gdy wyszły i zmierzały w kierunku samochodu.

– Pojedźmy jeszcze raz do szpitala – zaproponowała Czaplińska. – Może już skończyli operować Gutkowskiego. Dowiemy się, kiedy będzie można z nim gadać. Możliwe, że widział sprawcę i potrafi opisać jego wygląd.

– Nadia Różańska też go widziała – zauważyła Zosia.

– Nie za bardzo jej wierzę – odparła Miśka. – I dlatego chciałabym, żeby ktoś te zeznania potwierdził.

ROZDZIAŁ 11

Przełomowe zdarzenia w życiu Nadii miały miejsce co pięć lat. Różańska, choć nie należała do osób, które doszukują się magii w zwykłych zbiegach okoliczności, musiała przyznać, że było w tym coś niezwykłego. Poczęło ją małżeństwo cyrkowców i fakt ten zdeterminował jej przyszłość. Ojciec zonglował płonącymi pochodniami, a mama, z parasolką nad głową, tańczyła na linie. To ona uczyła Nadię akrobatyki, a później obcowania z liną: wyczuwania jej napięcia, wykonywania obrotów i krzyżujących się kroków, siadania na niej, robienia salta i innych efektownych sztuczek. Jednak Nadię ciągnęło do trapezu. Chciała wzbijać się w powietrze, szybować pod kopułą, skakać i robić salto, zatem matka i ojciec zaakceptowali jej wybór. Wędrowny tryb życia rodziców uniemożliwił jej systematyczną edukację w szkole cyrkowej, więc podczas wielomiesięcznych tras, rok po roku, uczyła się pod ich okiem.

Jako pięciolatka zaczęła uczęszczać na lekcje baletu, które pomogły jej rozwinąć koordynację ruchową, zmysł równowagi i płynność ruchów. Naukę pobierała każdego roku przez kilka zimowych miesięcy, gdy cyrk stacjonował w jednym miejscu. Gdy skończyła dziesięć lat, rodzice zapisali ją na zajęcia z tańca jazzowego, którego również uczyła się podczas zimowych przerw od występów. W międzyczasie, bez przerwy, ćwiczyła sztukę cyrkową i w ten sposób, po ukończeniu piętnastego roku życia, zadebiutowała na scenie. Pięć lat później poznała ból złamanego serca. Rozczarowanie pierwszą miłością, która miała trwać aż po grób, spowodowało, że jeszcze bardziej zaangażowała się w swój rozwój i tworzenie własnych choreografii. Gdy skończyła lat dwadzieścia pięć, do ich ekipy dołączył Igor, trzy lata starszy od Nadii, doświadczony akrobata, występujący wcześniej na arenach innych cyrków. Zaczęli razem tańczyć na unoszących ich w górę szarfach, jednocześnie rozpoczynając próby do

wspólnego układu na latającym trapezie. Przez kolejne pięć lat święcili triumfy, a wkrótce po trzydziestych urodzinach Nadia uległa wypadkowi, który przekreślił jej cyrkową karierę.

Następne dwa lata z kolejnej pięciolatki Różańska poświęciła na walkę o powrót do sprawności fizycznej po doznanych urazach. Tylko ona wiedziała, jak często, wyczerpana do granic możliwości codziennymi ćwiczeniami, chciała się poddać i nawet wybrała już dla siebie w internecie najnowszy model wózka dla niepełnosprawnych, z licznymi udogodnieniami. A później włączała na YouTube *Nights in White Satin*, słuchając, płakała i zaczynała walczyć o siebie od nowa. Wiedziała, że nigdy nie wróci na arenę, ale miłość do cyrku pozostała niezmienna.

W żadnym okresie swojej egzystencji nie pokonała tylu barier fizycznych i psychicznych, żeby odzyskać kontrolę nad własnym życiem, wrócić do samodzielności i uniezależnić się od pomocy innych ludzi, nawet bliskich. A gdy wreszcie stanęła na nogi, miała pracę, którą akceptowała, i pozbyła się dręczącej nadziei oraz spalających ją złudzeń, została wplątana w napad na dwie osoby, a sprawcą ataku był prawdopodobnie ktoś, kogo znała i kogo od dwóch lat bezskutecznie próbowała wyrzucić ze swojego serca i umysłu.

O tym wszystkim myślała, siedząc na krześle w szpitalu, do którego przywieziono jej kolegę z pracy. Wcześniej, po powrocie do domu, wpisała do wyszukiwarki dane napadniętej w hotelu kobiety. Wśród kilkunastu Alicji Sadej była jedna, która zajmowała się jubilerstwem, i właśnie ta informacja zelektryzowała Nadię. Patrząc na zdjęcie właścicielki „Alice Diamonds”, wyświetlone na monitorze komputera, Różańska czuła każdą komórką ciała, że chodzi o tę kobietę. I o kamienie szlachetne. A mężczyzna, który postrzelił Kacpra, wydał się Nadii znajomy. Przekonanie graniczące z pewnością, że te trzy elementy, złożone razem niczym fragmenty układanki, tworzą jednoznaczny obraz sytuacji, z jednej strony sprawiało ból, a z drugiej przerażało. Tak bardzo, że Różańska wyłączyła komputer i zadzwoniła do szpitala, żeby dowiedzieć się o stan

Gutkowskiego. Ponieważ nic nie wskórała przez telefon, przyjechała do kliniki i poprosiła o rozmowę z lekarzem prowadzącym.

– Doktor Filip Rynkiewicz, pani do mnie? – Mężczyzna o zmęczonej twarzy, w rozpiętym białym kitlu, podszedł do Nadii, która na jego widok poderwała się z miejsca.

– Tak. Nazywam się Nadia Różańska i chciałabym spytać o Kacpra Gutkowskiego, jak on się czuje. Rano został tutaj przywieziony, ktoś go postrzelił.

– Kim pani jest dla pacjenta?

– Koleżanką z pracy – powiedziała, zanim ugryzła się w język. Trzeba było powiedzieć, że żoną albo siostrą, pomyślała.

– Niestety, nie mogę udzielić żadnych informacji – powiedział lekarz. – Nie jest pani najbliższą rodziną.

– Jego rodzina jest w Stargardzie Szczecińskim – wyjaśniła Nadia. – Kacper mieszka i pracuje w Warszawie, o ile mi wiadomo, jego najbliżsi tutaj to ludzie z pracy i pies. – Klepnęła się w czoło. – Leon!

– Słucham? – Lekarz zmarszczył brwi.

– Leon, pies Gutkowskiego. Jest sam w zamkniętym mieszkaniu. Skoro nie może mi pan udzielić informacji, to może chociaż powie pan mojemu koledze, żeby dał klucze. Ktoś musi zająć się zwierzakiem przez ten czas, gdy Kacper będzie tutaj leżał.

– To niemożliwe, pacjent jest po operacji i utrzymujemy go w śpiączce farmakologicznej. Na OIOM-ie.

– No to niezły klops. – Nadia zgmiotła czapkę w puchatą kulę. – W takim razie... – Myślała gorączkowo, co zrobić. – Może wyjmie pan z ubrania Kacpra klucze i...

– Chyba pani żartuje – oburzył się lekarz. – Nie mam pojęcia, kim pani jest, i mam dać klucze do mieszkania pacjenta? Czy pani słyszy, co mówi? Obrobi mu pani chatę, a ja pójdę siedzieć za współudział? – Spojrzał na nią znad okularów. – Proponuję, żeby pani wyszła, zanim wezwę ochronę szpitala.

Nadia poczuła, że miejsce szoku i żalu, który ścisnął jej gardło, zajmuje czysta, niczym niezmacona złość. Na jej oczach łobuz postrzelił człowieka, a potem bezczelnie prawie roześmiał jej się w twarz, policja sugerowała, że ona ma coś wspólnego z napadem, a teraz ten konował ze stetoskopem wystającym z kieszeni dał jej do zrozumienia, że uważa ją za złodziejkę. Tego było za dużo jak na jeden dzień.

– Ma pan na myśli miłego, starszego pana, który siedzi przy wejściu i wydaje kapcie jednorazowe? – wycedziła. – Jego chce pan wezwać?

– Albo policję, jeśli pani woli – odparł spokojnie lekarz, patrząc nad jej ramieniem.

Nadia podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła idące od strony schodów znajome policjantki, które przesłuchiwały ją w hotelu. Nadkomisarz Czaplínska jedną ręką trzymała pod pachą kurtkę, a drugą rękę podniosła w powitalnym geście. Lekarz uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Miśka? – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Filip? Skierowali mnie do doktora Rynkiewicza, ale nie przypuszczałam, że to ty, przyjacielu.

– Kopę lat, a nic się nie zmieniłaś. – Z jego twarzy zniknęło zmęczenie, a w oczach zamigotała radość. – Wciąż długonoga i piękna.

– Długość nóg raczej pozostaje niezmienna w ciągu życia – zauważyła Michalina i obdarzyła Rynkiewicza uściskiem. – Mógłbyś się lepiej postarać.

– I pyskata – uzupełnił. – To też w twoim przypadku jest niezmiennie.

Najwyraźniej ci dwoje pozostawali w zażyłych relacjach, uznała Nadia, omiatając spojrzeniem figurę policjantki: smukłe nogi w obcisłych dżinsach i szczupłą talię podkreśloną przez dopasowaną bluzkę z dzianiny. Tamci wymienili jeszcze kilka przyjacielskich docinków, a następnie śledcza spoważniała. Przedstawiła lekarzowi rudowłosą partnerkę i wbiła podejrzliwe spojrzenie w Różańską.

– Co pani tu robi?

– To, co pani, jak przypuszczam – burknęła Nadia, wciąż najeżona. – Przyjechałam dowiedzieć się o stan zdrowia mojego kolegi.

– Filip, ty jesteś lekarzem prowadzącym Kacpra Gutkowskiego? – Czaplińska przeniosła spojrzenie na medyka. – Facet po trzydziestce, z raną postrzałową, przywieźli go do...

– Tak. Jest po operacji. Może przejdźmy do mojego gabinetu – zaproponował mężczyzna.

– Chwileczkę – zaprotestowała Nadia. – Najpierw sprawa kluczy.

– Już pani powiedziałem, że...

– Jakich kluczy? – wtrąciła Maciejka.

Nadia kolejny raz wyjaśniła, że w mieszkaniu Kacpra jest pies, i na zakończenie spytała, kto chce być odpowiedzialny za to, co nastąpi, jeśli nikt nie przejmie czasowej opieki nad zwierzęciem.

– Dzwoniłem już do rodziców pacjenta, ktoś przyjedzie, ale najwcześniej jutro – odparł z niechęcią Rynkiewicz.

– No właśnie. A do jutra pies zasika mieszkanie, nie mówiąc już o tym, że na pewno nie ma w misce nic do picia i do jedzenia.

– Nie mogę pani dać kluczy do mieszkania pana Gutkowskiego. – Lekarz spojrział na Czaplińską.

– Ja się tym zajmę – zaproponowała sierżant Maciejka, zanim jej starsza koleżanka zabrała głos. – Wezmę klucze, zawołam gospodarza na świadka i pani Różańska zabierze psa do siebie. Może być? – Dziewczyna powiodła spojrzeniem po twarzach obecnych.

– Tak – mruknęła starsza policjantka po chwili zastanowienia. – Proszę tutaj poczekać, porozmawiamy z lekarzem i pojedziemy tam z panią. Co z pacjentem? – zwróciła się do Rynkiewicza, gdy odeszli kilka kroków dalej.

– Wyjęliśmy kulę, dostał blisko serca. – Nadia usłyszała słowa medyka. – Facet miał szczęście, choć stracił dużo krwi. Na razie utrzymujemy go w śpiączce farmakologicznej.

Wielka tajemnica, pomyślała Różańska, przewracając oczami, wszyscy wiedzą, że Kacper oberwał w pierś, a krew sama mu tamowała. Usiadła na krześle i postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Ważne było, że przypomniała sobie o psie, a ta młoda policjantka na szczęście miała jeszcze ludzkie odruchy, w przeciwieństwie do lekarza, który wyglądał na wypalonego zawodowo i pozbawionego empatii.

Resztę dnia spędził na wykonywaniu rutynowych zadań, a wieczorem pojechał do swojego sekretnego lokum, żeby jeszcze raz obejrzeć zdobycz. Przez godzinę ekscytował się blaskiem diamentów, nie mogąc oderwać od nich oczu, a potem schował je z powrotem do skrytki i wrócił do siebie. Włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Spodziewał się relacji z porannego zajścia w hotelu Pelikan i nie pomylił się w tej kwestii. Przejęty sprawozdawca poinformował widzów o napadzie na Alicję S., znaną w branży właścicielkę firmy jubilerskiej, i o kradzieży elektronicznych kart dostępu. Następnie miejsce jego twarzy na ekranie zajął materiał filmowy z budynkiem hotelu w roli głównej.

– *Alicja S. jest miłośniczką fantastycznych diamentów i miała pierwszy raz pokazać publiczności swoją kolekcję trzech niebieskich kamieni o łącznej masie przekraczającej pięć karatów* – objaśnił głos w tle. – *To tutaj, na ósmym piętrze, rozegrał się dramat kobiety, brutalnie zaatakowanej przez sprawcę, który następnie, uciekając, postrzelił pracownika firmy świadczącej usługi mycia okien na wysokościach* – dodał sprawozdawca z przejściem w głosie i wyjaśnił telewidzom, że zdobycie kart dało złodziejowi przepustkę do skarbcza i umożliwiło kradzież drogocennych kamieni. – *Pośród kolorowych diamentów niebieskie są prawdziwą rzadkością. Powstają wtedy, gdy w ich strukturze krystalicznej znajdują się śladowe ilości boru. Stanowią nie lada gratkę dla kolekcjonerów, a ich ceny na aukcjach przyprowadzają o zawrót głowy. Czy policji uda się odzyskać kosztowności? To pytanie zadają sobie dziś twórcy biżuterii, kolekcjonerzy, sprzedawcy i kupujący. Zwróciliśmy się z pytaniem do eksperta...*

Wyłączył telewizor i wybrał numer na klawiaturze telefonu.

– To ja.

– Wiem, chcę je zobaczyć. I ciebie. Jak najszybciej.

– To nie jest dobry pomysł. – Próbował zachować rozsądek, mimo że nie miał nic przeciwko spędzeniu z nią upojnych chwil. Zawsze uważał, że mężczyzna nie powinien, ot tak sobie, ulegać pokusie, ale obraz nagiej kochanki ubranej jedynie w niebieskie diamenty warte miliony sprawił, że przyjemne napięcie, które czuł w lędźwiach, domagało się rozładowania. Przez jego ciało przeszedł rozkoszny dreszcz.

– Przecież wiem, że chcesz tego tak jak ja. – Najwyraźniej czytała w jego myślach.

– Chcę – przyznał. – Jednak...

– Musimy to uczcić.

– Nie za wcześnie? – Zastanowił się, czy nie popełnił błędu, czy dobrze zrobił, wchodząc w ten układ.

– Pierwszy etap za nami. Ten najważniejszy.

On był innego zdania. Znacznie ważniejsza od przejęcia trofeum była korzystna zamiana na gotówkę. Uważał, że pora świętowania dopiero nadejdzie, ale rozumiał ją, gdyż sam na widok blasku diamentów, ich przejrzystości i głębi koloru, poczuł zalewającą go falę emocji.

– Dobrze, ale przecież dziś to niemożliwe.

– Wiem.

– Jutro. I w innym miejscu – zdecydował, przeklinając w duchu słabość swojego charakteru. – Przyślę ci adres.

PIĄTEK

Drugi dzień targów jubilerskich

ROZDZIAŁ 12

Wnocy Nadia znów śniła swój koszmar. Wszystko w nim było takie jak zawsze, kończyło się upadkiem, a ból wyrywał ją ze snu. Gwałtownie usiadła, oddychając z wysiłkiem, i znieruchomiła, żeby przeczekać, aż znikną czarne mroczki, które zatańczyły przed jej oczami. Potem wstała i podeszła do okna, po drodze zerkając na zegarek. Właśnie minęła szósta dwadzieścia. Niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami i padał rześisty deszcz, a termometr wskazywał siedem stopni. Nadia postanowiła wrócić pod kołdrę i w tym momencie do jej uszu dobiegł odgłos przypominający westchnienie. Zesztywniała ze strachu. Dźwięk zabrzmiał raz jeszcze i wtedy przypomniała sobie, że ma w mieszkaniu lokatora. Średniej wielkości sympatyczny kundel leżał zwinięty w kłębek i spał, poświszczając przez nos. Cud, że na niego nie wpadła, wstając z łóżka. Ułożyła mu koc na podłodze tuż obok, żeby móc go pogłaskać w nocy bez wstawania, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Poprzedniego popołudnia zwierzak wpuścił ją i sierżant Maciejkę do mieszkania, co więcej, zachowywał się ufnie i przyjaźnie. Pogodne z niego psisko, ale stróż żaden, stwierdziła Nadia, gdy wkładała mu szelki i smycz. Czworonóg, zrobiwszy krótką rundę między krzakami, dał się umieścić w bagażniku auta i leżał w spokoju do czasu, gdy policjantki podwiozły go wraz z nową opiekunką na Belgradzką.

Po kilku minutach wpatrywania się w psa, który odpowiedział jej półprzytomnym spojrzeniem, Nadia uznała, że już nie zaśnie. Wzięła więc długi, gorący prysznic, włożyła ubranie i ponownie ukucnęła przy tymczasowym podopiecznym.

– Chodź, Leon, pójdziemy się przejść – powiedziała, drapiąc go za uszami. Zwierzak przewrócił się na grzbiet i poruszał łapami, nie zdradzając ochoty na wyjście, jakby zdawał sobie sprawę, że pogoda nie nastraja do wczesnych spacerów. – Wstawaj, leniuchu. – Poszła do przedpokoju, włożyła kurtkę przeciwdeszczową i kalosze, a potem zdjęła z wieszaka smycz.

Leon, słysząc znajomy dźwięk, wstał z posłania i przeciągnął się z pomrukiem, a później podszedł do Nadii i dotknął nosem jej uda. Zapiszczał. Dziewczyna zanurzyła dłonie w psiej sierści.

– Nie martw się, Kacper wyzdrowieje i wrócisz do domu – powiedziała i otworzyła drzwi.

Na zewnątrz wciągnęła w nozdrza wilgotne powietrze i omiotła wzrokiem najbliższe otoczenie. Mimo że w niektórych oknach paliły się już światła, wokoło nie było żywego ducha. Nadia poluzowała Leonowi smycz, ale jej nie odpięła z obawy, że pies, nie znając okolicy, straci orientację w terenie i przepadnie. Nasunęła mocniej kaptur na głowę i skręciła w alejkę między blokami. Wsłuchując się w szum uliczny dobiegający od strony Belgradzkiej, zastanawiała się, co ma zrobić. Po dwóch okrążeniach placu zabaw wyjęła komórkę i wyświetliła numer telefonu Igora, który wciąż miała na liście kontaktów. Minęła szósta rano, mogła do niego zadzwonić. Jeśli nie zmienił swoich nawyków, o tej porze był już na nogach. Spacerowała z palcem zawieszonym nad przyciskiem „zadzwoń”, dopóki deszcz nie zamoczył aparatu. Wsunęła komórkę z powrotem do kieszeni i przypomniała sobie, że policjantka z rudymi włosami, która pomogła w sprawie Leona, na odchodne poprosiła ją o wizytę na komendzie i pomoc w stworzeniu portretu pamięciowego sprawcy.

Rano Zosię obudził telefon. Dzwoniła matka, rozemocjonowana wczorajszą kradzieżą diamentów. Wieczorem podano informację o zdarzeniu w kilku serwisach wiadomości, więc policjantka przypuszczała, że wieść hula już

w internecie, a dla nikogo nie było tajemnicą, że Helena Maciejka zaczyna dzień od kawy i przeglądu aktualności w ulubionych witrynach w sieci.

– Zosiu, powiesz mi coś więcej? – rzuciła, nie zwracając sobie głowy pytaniem, czy córka już wstała. – Na branżowych stronach nie piszą dziś o niczym innym, tylko o tej kradzieży, ale podejrzewam, że to tylko półprawdy.

– Mamo... – Młodsza Maciejka stłumiła ziewnięcie. – Nie mogę z tobą rozmawiać na temat śledztwa, ale mogę ci powiedzieć, że biorę udział w poszukiwaniach złodzieja i diamentów.

– No to wspaniale – ucieszyła się matka. – Jeżeli będziesz potrzebowała jakichś informacji, to wiesz.

– Wiem, mamo.

– Naprawdę tak sobie wszedł, ten człowiek, wyjął diamenty i wyszedł?

– Naprawdę.

– W takim razie organizatorzy targów przeżyją dziś prawdziwe obłędzenie – zawyrokowała Helena. – Przypuszczam, że każdy uzna za swój obowiązek zobaczyć miejsce, w którym... – Urwała na chwilę. – Cóż, ochrona będzie miała pełne ręce roboty. Od czasów podobnej imprezy w Gdańsku w dwa tysiące siódmym nie było w Polsce takiej spektakularnej kradzieży diamentów.

– Powiesz coś więcej, mamo? – poprosiła Zosia, uświadomiwszy sobie, że o rabunku w Trójmieście wspominał Julian Obarski. – Nie słyszałam o tej sprawie.

– Byłaś za mała, jeszcze cyrk był ci w głowie, a nie klejnoty – przypomniała rodzicielka. – Złodziej zrabował ponad dwieście sztuk diamentów wartych półtora miliona dolarów. Kamienie były własnością firmy z Antwerpii, a kradzieży dokonano w podobny sposób jak teraz, jeśli to prawda, co piszą.

– Co ty powiesz?! – Zosia poderwała się z łóżka. – W jakim zakresie w podobny sposób? – Poszła z telefonem do kuchni, włączyła ekspres i wyjęła puszkę z kawą.

– Sprawca ukradł jednemu ze strażników kartę elektroniczną, która umożliwiała dostęp do pomieszczenia z sejfami, i rano, przed otwarciem targów, przebrany za ochroniarza, wszedł jak gdyby nigdy nic i zrobił swoje. Podobno miał podrobione dokumenty, tak twierdził strażnik, który puścił go dalej.

– Złapali złodzieja? – Dziewczyna podstawiała filiżankę pod dysze kawiarki i przycisnęła ramieniem aparat do policzka. Ukroiła dwie kromki żytniego chleba, posmarowała je pasztetem z soczewicy, obłożyła plasterkami pomidora.

– Nie. Nawet wyznaczyli nagrodę, ale nic to nie dało.

– A diamenty?

– Wyparowały. Ich też nigdy nie odnaleziono. Jeśli były certyfikowane, pewnie poszły do przeszlifowania i ktoś potem nieźle zarobił. – Helena westchnęła.

– A jeśli to ten sam złodziej? – zadała ostatnie pytanie Zosia.

Powtarzała je w myślach, jadąc do pracy i gdy wchodziła do biura.

Michaliny jeszcze nie było, więc sierżant Maciejka uruchomiła komputer i przeczytała wszystko, co udało jej się znaleźć na temat kradzieży diamentów w Gdańsku dwanaście lat temu. Treść artykułów brzmiała podobnie, widać jedni przepisywali od drugich, ale przytaczane przez nich informacje potwierdzały wieści uzyskane od matki. Zosia zanotowała to, co najważniejsze, w punktach i wpisała do wyszukiwarki dane Tymona Szarego. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła na pierwszym miejscu listy odpowiedzi link prowadzący do oficjalnej strony pracowni jubilerskiej złotnika z Wrocławia. Zosia z niedowierzaniem otworzyła witrynę i zapoznała się z przedstawioną ofertą, a następnie zadzwoniła na numer podany w zakładce „kontakt”.

– Pracownia, słucham – zabrzmiał męski głos.

– Dzień dobry, czy mogłabym prosić pana Tymona Szarego? – spytała.

– Szefa nie ma.

– Ach tak? A kiedy będzie?

– A kto pyta?

– Jestem klientką – wymyśliła Maciejka na poczekaniu. – Byłam umówiona na pilną wycenę naszyjnika z rubinami, miałam potwierdzić dzisiejsze spotkanie z panem Szarym.

– Będzie w poniedziałek. Wyjechał do Warszawy na targi jubilerskie – oświadczył rozmówca.

– Na targi? – Zosia nie posiadała się ze zdumienia.

– Mówię przecież. Może pomyliła pani terminy?

– Niczego nie pomyliłam, proszę pana. – Maciejka nadała głosowi ton pełen godności. – Sprawa jest nagląca, a wygląda na to, że zostałam na lodzie.

– Może w takim razie ja mógłbym pani pomóc?

– Nie, dziękuję – odparła. – Z całym szacunkiem, ufam tylko panu Tymonowi. Poczekam do poniedziałku – dodała i zakończyła połączenie, a potem zalogowała się na Facebooku i odszukała profil złotnika. – Coś takiego! – powiedziała na głos i spojrzała w kierunku otwieranych drzwi.

– Cześć, pada jak cholera – rzuciła Czapla, otrzepując kurtkę z kropli wody. – Koniec złotej jesieni. A co tam u ciebie? – Przeciągnęła grzebieniem po sięgających ramion włosach koloru orzecha.

– Nie masz pojęcia, czego się dowiedziałam. – Maciejka, rozemocjonowana, wstała z krzesła i oparła się o biurko, po czym zrelacjonowała starszej koleżance treść rozmów z matką i pracownikiem salonu jubilerskiego z Wrocławia. – Nie sądzisz, że to dziwne? – spytała na zakończenie.

– Dziwne – potwierdziła Miśka i wsypała do kubka dwie łyżeczki kawy. Włączyła czajnik i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Jeszcze bardziej zastanawiające jest to, że Tymon Szary jest miłośnikiem wspinaczki skałkowej – dodała Zosia.

– Hę? – Michalina zmarszczyła brwi. – Jeśli nosi również okulary w pomarańczowych oprawkach, to...

– To? – podchwyciła Zosia.

– To albo jest totalnym idiotą, albo... – Pokręciła głową. – Nieee, to jest grubymi nićmi szyte.

– Ale pogadać z nim trzeba.

– Po kawie. Zrobiłaś raport z wczorajszego? – Czaplińska zalała wrzątkiem zmielone ziarna i zamieszała. – Przepisałaś notatki?

– Jeszcze nie. Jak przyszłam, zaczęłam szukać tego, co ci mówiłam.

– Dobra, to pisz teraz, a ja wypiję w tym czasie. Papierologia to znacząca część policyjnego życia, na pewno już o tym wiesz. Ściganie bandytów jest miłym dodatkiem do szarej i nudnej reszty.

– Okej, niech będzie – zgodziła się dziewczyna i usiadła z powrotem przed komputerem.

– Aaa, jeszcze jedno. – Michalina upiła łyk kawy i postawiła kubek na tekturowym skoroszycie, jednym z tych, które wyjęła z szafy pancерnej. – W drodze do pracy zahaczyłam o szpital i zajrzałam do pani Alicji. Wyobraź sobie, że ona chce wyjść na własne żądanie. Dowiedziała się, że ktoś jej podprowadził diamenty, i oświadczyła, że nie będzie leżeć beczynnienie i czekać, aż złodziej puści je na czarnym rynku.

– Ciekawe. – Maciejka potarła skórę między brwiami. – Co na to lekarz?

– Puknął się w czoło, że chyba jej na mózg padło... No, może bardziej ogólnie. Tak czy inaczej, że niepotrzebne ryzyko, że powinna jeszcze poleżeć na obserwacji, ale uparła się jak wtedy, gdy postanowiła sama przewieźć kamyki. A to wszystko chyba przez Obarskiego. Lekarz powiedział, że wczoraj, późnym wieczorem, nasz jubiler znów przyjechał do szpitala i wymógł na nim, żeby go wpuścić do sali na kilka minut. Z pewnością od niego Sadej dowiedziała się o kradzieży diamentów.

– Siłą nikt jej nie zatrzyma. – Maciejka położyła dłonie na klawiaturze i napisała pierwsze zdanie. – A co do Obarskiego, trzeba z nim jeszcze raz na spokojnie pogadać.

– Znalazłam na jego temat trochę informacji. Facet jest cenionym rzeczoznawcą, zna się na błyskotkach, a specjalizuje w diamentach.

Wycenia, ale również doradza ludziom, którzy chcą zainwestować pieniądze w szlachetne kamienie.

– Może będzie miał jakiś pomysł i podsunie nam trop – odparła Zosia i próbowała sobie przypomnieć, co zamierzała dalej napisać. – Obarski mówił, że dziś od rana będzie na targach i żeby tam go łapać.

– No to mamy dwóch: Szary i Obarski – podsumowała Michalina, popijając kawę. – Tak sobie myślę, że trzeba bardziej się przyjrzeć tej kobiecie od okien. Twojej cyrkowej ulubienicy.

– Naprawdę ją podejrzewasz? – Maciejka zerknęła przez ramię na Czaplińską.

– Historia, którą opowiedziała, jest mocno naciągana, a Gutkowski nie może potwierdzić jej wersji.

– Zaopiekowała się jego psem. – Zosia odsunęła od siebie klawiaturę. Pisanie czegokolwiek w takich warunkach nie miało sensu.

– To, że lubi zwierzęta, nie oznacza, że pała sympatią do ludzi – stwierdziła filozoficznie Czaplińska.

– Zawsze zakładasz najgorsze z możliwych? – Maciejka przechyliła głowę, patrząc na starszą koleżankę z ciekawością.

– Przynajmniej później nie przeżywam rozczarowań – burknęła. – Jak przepracujesz chociaż połowę tego, co ja, też pozbędziesz się złudzeń.

– Złudzeń?

– Że ludzie z natury są dobrzy. Otóż nie są dobrzy, a jedynie zsocjalizowani. Większość z nich powstrzymuje przed czynieniem zła jedynie strach przed karą, a nie żadna moralność, etyka czy zasady. Ot co! – Zdjęła kurtkę z wieszaka. – Zbieraj się, papiery nie uciekną.

– Naprawdę myślisz, że aż tak źle z homo sapiens? – spytała po drodze Zosia.

– Jeszcze gorzej.

Po śniadaniu Nadia uruchomiła komputer i weszła na stronę Cyrku Oliviera. Plakat opublikowany w witrynie, którego znacznie większe kopie można było spotkać na mieście, wabił kolorami i efektowną grafiką. Jesień trwała w najlepsze, a cyrk dawał ostatnie przedstawienia przed zamknięciem sezonu i zimową przerwą, która miała trwać do marca następnego roku. Nadia wiedziała, że Olivier na zimę zatrzymuje się w Warszawie, a wraz z nim część załogi. Inni wyjeżdżali, żeby spędzić czas z bliskimi w rodzinnych stronach.

Różańska nie była w cyrku od czasu wypadku. Za każdym razem, gdy można było obejrzeć jakiegokolwiek pokazy w stolicy, czuła pokusę, żeby usiąść na widowni i poddać się działaniu cyrkowej magii, ale nie była jeszcze gotowa, żeby zapanować nad emocjami, które niezmiennie pojawiały się w niej, gdy myślała o ewolucjach na trapezie. Teraz jednak sytuacja była inna. Do miasta przyjechał „jej” cyrk. To na deskach jego areny stawiała pierwsze kroki jako tancerka i początkująca akrobatka, pod jego kopułą huśtała się na trapezie i latała w powietrzu, robiąc salta i zadając kłam prawom fizyki. Po długim namyśle, któremu towarzyszyło kilka bolesnych oddechów, wybrała opcję „kup bilet”.

Kwadrans później, gdy transakcja została sfinalizowana, a potwierdzenie zakupu czekało w skrzynce mailowej, zadzwonił jej telefon.

– Nadia? – W głośniku zabrzmiał głos matki. – Wszystko w porządku?

– Tak, mamo, dlaczego pytasz?

– Dopiero się dowiedzieliśmy z twoim ojcem o napadzie w hotelu Pelikan. I że ktoś postrzelił pracownika, który mył okna. Zdenerwowałam się, chociaż tata powiedział, że gdybyś to była ty, przecież do tej pory już byśmy wiedzieli, ale postanowiłam zadzwonić i sprawdzić. Twój ojciec jak zawsze buja w obłokach i widzi tylko jasne strony rzeczywistości.

– Skoro mnie słyszysz, mamo, to znaczy, że mam się dobrze. – Nadia westchnęła. – Ale do śmiechu mi daleko. Byłam tam, sprawca postrzelił mojego kolegę, pracowałam z nim wtedy, więc... Sama rozumiesz. – Krótko zrelacjonowała przebieg zdarzeń, w których uczestniczyła.

– *Santa Madonna!* – zawołała matka. – Niewiele się pomyliłam! Czułam to, wiedziałam. Mógł strzelić do ciebie.

– Ale nie strzelił. – Na myśl o tym, co by powiedziała rodzicielka, gdyby córka podzieliła się z nią swoimi podejrzeniami, graniczącymi z pewnością, twarz Nadii wykrzywił grymas.

– Chcę cię zobaczyć.

– Wpadnę do was po południu, wzięłam kilka dni urlopu. Może być?

– Świetnie! Igor też będzie, więc...

– Mamo, ustaliłyśmy, że o Igorze nie rozmawiamy, tak? To zamknięty rozdział mojego życia.

– Dobrze, już dobrze.

Nadia mogła się założyć, że matka machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć, że swoje wie. Może i miała rację, ale Nadia nie zamierzała podejmować tego tematu. Nie rozumiała entuzjazmu rodziców w stosunku do Igora, ich przyjacielskiego nastawienia i szczerzej sympatii. A przede wszystkim nie rozumiała układu biznesowego, który ich połączył. I dziś postanowiła, że po południu zada rodzicom kilka pytań, żeby pogłębić swoją wiedzę. Była również ciekawa, jak zareagują na wieść, że ich pupil jest nie tylko złodziejem, ale i mordercą, jeśli Kacper nie zdoła uciec śmierci spod kosy.

Nadia spojrzała na zegarek. Jeśli chciała później odwiedzić matkę i ojca, powinna już jechać na komendę. Robienie portretu pamięciowego na pewno potrwa, pomyślała. A przy okazji będzie stratą czasu: dla niej i dla policjanta, biorąc pod uwagę, że mogłaby wskazać śledczym sprawcę bez tej całej zabawy z dopasowywaniem ust i nosa. Mogłaby, ale się wzbraniała, ponieważ wspomnienia przeżytych z Igorem chwil w życiu prywatnym i na scenie, mimo gorzkiego rozczarowania i upływu dwóch lat, wciąż miały siłę oddziaływania i zdolność poruszania w jej sercu czułych strun.

ROZDZIAŁ 13

Julian Obarski poprzedniego dnia wieczorem odwiedził Alicję w szpitalu, żeby zyskać pewność, że jej życiu nic nie zagraża. Miała zamknięte oczy i, podłączona przewodami do aparatury monitorującej jej funkcje życiowe, nie wyglądała najlepiej, ale usłyszał od lekarza prowadzącego, że wszystko jest pod kontrolą i stan partnerki się nie pogarsza. Gdy zamierzał opuścić salę chorych, Ala podniosła powieki i zatrzymała go, chwytając za nadgarstek. Zaczęła zadawać trudne pytania, więc rad nierad, powiedział jej o kradzieży diamentów.

Rano, wraz z Edytą Domecką, asystentką i najbliższą współpracownicą, pojechał na targi. Na drodze do wejścia napotkali żywą przeszkodę w postaci kordonu dziennikarzy, którzy podtykali mu pod nos mikrofony, domagając się odpowiedzi na pytania. Julian domyślał się, że to wyjątkowość skradzionych kamieni tak rozpała wyobraźnię pismaków, że czekali na niego bladym świtem przed halą, zamiast przewracać się z boku na bok we własnych łózkach. Zdawał sobie też sprawę, że nie pozbędzie się ich tak łatwo, ale zamierzał spróbować. Odsunął wyciągnięte w jego kierunku ręce ze sprzętem nagrywającym i chwycił Edytę za łokieć.

– Idziemy – rzucił.

– Panie Obarski, czy to prawda, że niebieskie diamenty, które należały do pana wspólniczki, są warte kilka milionów dolarów? – padło za jego plecami.

– Jak się czuje Alicja Sadej?

– Czy kamienie były ubezpieczone?

– Skąd złodziej wiedział, jak się dostać do pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi?

– Czy kradzież nie wydaje się panu podobna do tej sprzed dwunastu lat w Gdańsku, dokonanej również na targach jubilerskich?

– Czy ktoś państwu źle życzy?

– Czy pana zdaniem złodziej miał współnika?

– Czy mają państwo wrogów w swoim otoczeniu?

– Czy to prawda, że przechodzą państwo kryzys w związku?

Tego już było za wiele. Julian stanął na najwyższym stopniu i odwrócił się do wykrzykujących pytania dziennikarzy. Uznał, że lepiej wygłosić parę zdań na odczepnego, niż pozwolić, żeby sami wymyślili odpowiedzi.

– Nie wiem, jak mogło dojść do kradzieży – oświadczył spokojnym tonem. – Jednak wierzę, że policja znajdzie winnego napadu na moją partnerkę. Ufam też, że diamenty wrócą do prawowitej właścicielki i sprawiedliwości stanie się zadość. Serdecznie współczuję postrzelonemu mężczyźnie i jego rodzinie. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Przepraszam państwa, wzywają mnie obowiązki. – Nie czekając na ich reakcję, przekroczył próg hali i ruszył w stronę pomieszczenia ochrony targów, żeby odebrać nowe karty dostępu do skarbcza.

Nadia usiadła obok policjanta, do którego przyprowadziła ją sierżant Maciejka, i poczuła się jak oszustka. Rudowłosa policjantka, która z wyglądu kojarzyła się jej z Pippi Långstrump, od początku okazywała jej życzliwość, pomogła w sprawie z Leonem i w ogóle starała się być miłą. Daleko jej było do zgryźliwości nadkomisarz Czaplińskiej, zdaniem Różańskiej rozczarowanej życiem i wypalonej zawodowo.

– Mamy zdjęcia tego człowieka, wydrukowane z monitoringu w hotelu i na targach – powiedziała śledcza, odrzucając na plecy jeden z warkoczy. – Niestety, na każdym nagraniu ma pochyloną głowę. Pani jest jedyną osobą, która widziała z bliska jego twarz.

– Postaram się pomóc – obiecała Nadia i spojrzała na policjanta. – Strasznie się denerwuję – wyznała i poczuła się jeszcze gorzej niż na

początku.

– Nie ma powodu – uspokoił ją mężczyzna. – Pokażę pani bazę danych z elementami twarzy: jej kształty oraz oczy, nos, usta, uszy, włosy. Sporządzimy najpierw wstępną konstrukcję portretu, a później będziemy dopracowywać szczegóły. W porządku?

– Tak. – Różańska zwilżyła językiem wargi.

– W takim razie proszę mi opowiedzieć, jak wyglądał człowiek, który postrzelił pani kolegę.

Z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło i zaczęła mówić. Opisała sylwetkę i ubiór, intensywnie niebieskie oczy i włosy wystające spod nasuniętej na czoło czapki. Wspomniała o kształcie nosa. Kilka razy zmieniała zdanie. Wreszcie powiedziała:

– Teraz jest dobrze.

– Jest pani pewna?

– Tak. – Zawahała się na chwilę. – To znaczy... Miał tatuaż na lewym nadgarstku, od wewnątrz. Widziałam, gdy złapał linę i rękaw się obsunął.

– Pamięta pani kształt?

– Tak, mogę narysować – zaproponowała i wykonała szkic na podsuniętej kartce.

– Okej – powiedział policjant. – Drukujemy.

Wieść o napadzie na Alicję Sadej i o zuchwałej kradzieży diamentów przyciągnęła na targi jubilerskie tłumy ludzi spragnionych sensacji i mocnych wrażeń: zwiedzających i przedstawicieli mediów, którzy kręcili się przed wejściem, przygotowując materiał z imprezy dla swoich stacji. Komisarz Czaplińska szła krok przed Maciejką, torując im drogę wśród ciżby, a Zosia rzucała spojrzenia na prawo i lewo, przyglądając się z ciekawością wystawcom i amatorom kosztowności. Właśnie dotarły do sali, przed którą ludzie ustawili się w zakręconej jak ślimak kolejce. Obok wejścia na ścianie wisiał plakat z zaproszeniem na wystawę

kolekcjonerskich precjozów. Najwyraźniej, mimo kradzieży niebieskich kamieni, organizatorzy i wystawcy nie zrezygnowali z ekspozycji.

– Wzmocniliśmy zabezpieczenia i nie wpuszczamy wszystkich naraz – powiedział szef ochrony, którego Czaplińska zagadnęła, zobaczywszy go przy szeroko otwartych drzwiach. – Wchodzi mała grupa, a reszta musi czekać za taśmą, aż tamci wyjdą. I wtedy wchodzi nowa grupa. Łatwiej ogarnąć towarzystwo w ten sposób. – Skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. – Wiadomo już coś?

– Prowadzimy śledztwo – odparła policjantka. – Wie pan, gdzie jest stoisko „Alice Diamonds”? Tłumy takie, że nic nie widać.

– Już niedaleko. – Mężczyzna wskazał kierunek oraz punkt orientacyjny i odwrócił się w momencie, gdy ktoś, korzystając z chwilowej nieuwagi ochroniarza, podniósł taśmę i chciał wejść do sali z wystawą. – Hola, hola, a dokąd to? – Złapał delikwenta za kołnierz. – Przepraszam, sami państwo widzą, nie można drzwi spuścić z oka.

Zosia zrobiła głęboki wdech i zdjęła kurtkę.

– Gorąco tu. – Dmuchnęła sobie w grzywkę. – Idziemy?

– Taaa – mruknęła Michalina z jawną niechęcią w głosie, zerkając w stronę kłębiących się ludzi. – Nie lubię tłumów.

Stoisko „Alice Diamonds” otaczał wianek potencjalnych klientów. Bizuteria, którą pogardził złodziej, znajdowała się w gablocie, a pracownica firmy przyglądała się bacznie rękom i twarzom ludzi kręcących się w pobliżu. W głębi boksu, przy małym stole siedzieli Julian Obarski oraz drugi mężczyzna, na blacie zaś leżała bransoleta, która prawdopodobnie była przedmiotem ich rozmowy.

– Dzień dobry. – Czaplińska pokazała asystentce odznakę. – Policja, pamięta nas pani? Wczoraj widziałyśmy się podczas sprawdzania skrytki.

– Tak, pamiętam. – Domecka zerknęła nieuważnie i wróciła do lustrowania klientów.

– Chciałabym zadać pani kilka pytań. Możemy porozmawiać?

Kobieta rzuciła spłoszone spojrzenie w kierunku mężczyzn, a później znów jej wzrok spoczął na oglądających biżuterię.

– W sumie tak, dopóki nikt nie będzie prosił o wyjęcie czegoś z gabloty – zdecydowała. – Może staniemy z boku, ale tak, żebyśmy widziała, co się dzieje w stoisku? Julian robi wycenę dla klienta, jesteśmy tylko we dwoje.

– Rozumiem. – Czapła chrząknęła. – Pani imię i nazwisko?

– Edyta Domecka, już mówiłam wczoraj.

– Poproszę jeszcze o pani dowód tożsamości.

– Słucham? – spytała tamta, zaskoczona. – Przecież... – Urwała na widok miny policjantki. – Muszę wyjąć z torebki. Mogą panie popatrzeć ludziom na ręce?

– Jasne. – Miśka zaczepiła kciuki o pasek dzinsów i mrugnęła do Zosi. – Czy mi się wydaje, czy blondyna jest cała w nerwach?

– No jest, ale wcale jej się nie dziwię. Prawie zabili jej szefową, a teraz musi mieć oczy dookoła głowy – zauważyła Maciejka. – To nie jest komfortowa sytuacja. W stacjonarnym sklepie jednak jest trochę inaczej, są zabezpieczenia i w ogóle.

– Nie w tym rzecz. – Michalina zmarszczyła brwi, ale nie dokończyła, bowiem kobieta wróciła z dokumentami.

– Proszę.

– A więc jest pani asystentką pani Sadej i pana Obarskiego, tak? – upewniła się policjantka, notując jej dane.

– Tak. Asystentką i kierowniczką salonu.

– Zatrudniają państwo pracowników?

– Dwie kobiety i ochroniarza.

– Czy pani wie, dlaczego szefowa sama przyjechała do Warszawy z diamentami?

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym. Alicja jest bardzo niezależna, miała lecieć samolotem i potem wziąć taksówkę, żeby zarejestrować obecność, pobrać karty elektroniczne do skarbcza, słowem:

załatwić formalności. Na drugi dzień, czyli wczoraj, zaczynały się targi. O ile mi wiadomo, wszyscy wystawcy przyjechali poprzedniego dnia, żeby przygotować stanowiska na rano.

– Dlaczego pani nie towarzyszyła szefowej?

– Nie dostałam takiego polecenia. Alicja chciała, żebym została w sklepie i przyleciała na drugi dzień z Julianem. Nikt nie pomyślał, że istnieje jakiekolwiek zagrożenie. Przeciętnej osobie nie przyjdzie do głowy, że można podróżować z diamentami wartymi kilka milionów dolarów, prawda? Z takiego założenia wyszła i moja szefowa. Gdyby ktoś chciał ukraść kamienie podczas podróży albo na lotnisku, musiałby najpierw o nich wiedzieć, a później urządzić jakąś spektakularną akcję, coś podobnego jak złodzieje w Holandii w dwa tysiące piątym. To była głośna sprawa, na pewno pani słyszała.

– Nie.

– Nie? Na lotnisko Schiphol w Amsterdamie regularnie transportowane są najcenniejsze diamenty z całego świata, a potem przewożone do Antwerpii. Zajmują się tym holenderskie służby lotnicze. Złodzieje ukradli auto należące do konwoju i ubrania funkcjonariuszy. A potem zgłosili się po odbiór kamieni o wartości ponad stu milionów dolarów i rozplynęli się we mgle. Nigdy ich nie odnaleziono, podobnie jak diamentów.

– Trzymajmy się naszej rzeczywistości. – Czapla, przez chwilę zdezorientowana, odzyskała rezon. – Czy w ostatnim czasie zdarzyło się coś nietypowego w salonie „Alice Diamonds”?

– Co pani ma na myśli?

– Jakieś zajście, dziwny klient, zagadkowa korespondencja?

– Chyba nie. – Domecka się zastanowiła. – Nie. Gdyby coś takiego miało miejsce, na pewno bym wiedziała, Ala mówi mi o wszystkim, co dotyczy firmy.

– A może pani Sadej czymś się niepokoiła albo miała jakieś kłopoty?

– Nie.

– A pan Obarski?

– Julian? – Edyta znów zerknęła przez ramię w stronę stolika, przy którym siedzieli mężczyźni. Maciejka podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła, że rozmowa dobiega końca, bowiem panowie wstali i uścisnęli sobie ręce. – Nie, pan Obarski również nie miał żadnych kłopotów.

– Właściciele „Alice Diamonds” są także partnerami w życiu – powiedziała Michalina. – Czy słyszała pani o jakichś nieporozumieniach między nimi?

– Nic nie wiem o prywatnych sprawach Juliana i Ali – odparła Edyta, ponownie patrząc w stronę szefa.

– Dzień dobry, jak mogę paniom pomóc? – Partner Alicji Sadej zmaterializował się u boku asystentki.

– Chciałybyśmy porozmawiać z panem.

– Słucham.

Czaplińska powtórzyła pytania zadane asystentce, a Obarski powiedział to samo, co zeznała Domecka. Nie widzieli zagrożenia, nie mieli takich doświadczeń – ani oni, ani ich znajomi zajmujący się obrotem biżuterią. Z tego, co mężczyzna wiedział, kradzieży kosztowności dokonywano zazwyczaj w zaciszu salonów z precjozami, a nie na lotnisku lub podczas jazdy taksówką. Przynajmniej w Polsce.

– Zgodzi się pan jednak ze mną, że zachowanie pani Sadej nie było typowe, żeby nie użyć słowa „lekkomyślne”. Mam wrażenie, że prosiła się o kłopoty.

– Czasem ludzie postępują nieracjonalnie, w sposób niezrozumiały dla drugiego człowieka. – Julian wzruszył ramionami. – Czy pani coś sugeruje? Przepraszam. – Sięgnął po dzwoniący telefon. – To Alicja. Halo?

Czapla wbiła w niego świdrujące spojrzenie i rzuciła półgłosem do Maciejki:

– Pewnie mówi mu, że wychodzi ze szpitala.

– Jak to wychodzisz? – spytał w tym samym momencie Julian i zmarszczył brwi.

– Mówiłam? – Michalina parsknęła śmiechem.

– A co na to lekarz? Aha... Zrobisz, jak zechcesz, ale... Dobrze, do zobaczenia później. – Obarski schował aparat do futerału przy pasku. – Słyszała pani? – Spojrzał na śledczą. – No właśnie. To tyle w kwestii oślego uporu mojej partnerki. – Jego barki drgnęły ponownie. – O co pani wcześniej pytała?

– Mówiłam, że zachowanie pani Sadej było lekkomyślne – odparła Czaplińska i zmrużyła oczy. – Myślę, że gdyby ktoś od początku jej towarzyszył podczas podróży i pobytu w Warszawie, złodziej miałby mniejszą szansę, żeby ukraść jej karty i obrobić sejf.

– To prawda. – Usta Obarskiego wykrzywił grymas. – Od początku byłem przeciwny tej solowej eskapadzie.

– Czy nie wydaje się panu dziwne, że sprawca znał każdy krok pani Alicji?

– Nie rozumiem.

– Kto wiedział, że przyjedzie sama?

– Ja oraz Edyta. No i pracownicy salonu. Czy pani sugeruje, że ktoś z nas jest zamieszany w kradzież? To jakiś absurd!

– Na razie nic nie sugeruję. Głośno myślę. – Policjantka spojrzała na mężczyznę ciężkim wzrokiem.

Julian potwierdził, że współpracownik nie dostawała żadnej podejrzanego korespondencji, nikt jej nie groził ani jej nie straszył. Nikt nie składał oferty kupna. Przyznał, że rabunek diamentów jest dla niego zaskoczeniem.

– Biorąc pod uwagę, że złodziej zostawił w sejfie resztę biżuterii, można domniemywać, że jego celem były tylko niebieskie diamenty – stwierdził na koniec. – Może działał na zamówienie prywatnego kolekcjonera?

– Ma pan powody, by tak przypuszczać?

– Nie. Ja również głośno myślę. Skoro kradnie się na zamówienie dzieła sztuki, dlaczego nie szlachetne kamienie? Mnóstwo ludzi wiedziało, co Alicja przywiezie na wystawę. Była o tym wzmianka w materiałach targowych oraz na stronie organizatora wydarzenia.

– Co jest szczególnego w diamentach, które skradziono pani Alicji? – spytała Czaplińska.

– Generalnie rzecz biorąc, diamenty kolorowe spotykane są znacznie rzadziej niż kamienie bezbarwne i dlatego są bardziej pożądane. Fantazyjne diamenty inaczej też są wyceniane, bowiem, oprócz masy w karatach i czystości, najważniejsze w nich jest nasycenie koloru, jego ton i równomierny rozkład w kamieniu. Bierze się też pod uwagę piękno diamentu, choć to ostatnie kryterium jest, rzecz jasna, subiektywne. Do tego dochodzi ich rzadkość, zwłaszcza niebieskich, co powoduje, że popyt rośnie. – Obarski przerwał i wyjął z szafki butelkę z wodą. – Mają panie ochotę? Strasznie tu gorąco. – Nie czekając na odpowiedź, napełnił trzy szklanki. – Proszę – zachęcił i kontynuował wątek. – Szacuje się, że jedną dziesiątą procent światowego wydobycia diamentów stanowią kamienie niebieskie, a wśród nich tylko jeden procent ma barwę o nazwie *fancy vivid blue*, co można przetłumaczyć jako fantazyjny, żywy niebieski. Są jedyne w swoim rodzaju.

– Takie jak te, które podarował pan Alicji Sadej?

– Tak. Trzy kamienie o wspomnianej barwie, w szlifie owalnym. Niezwykle czyste, z doskonałą dystrybucją koloru, o łącznej masie pięć i dwie dziesiąte karata. Każdy z diamentów miał certyfikat, a jego numer oraz logo laboratorium, które go wydało, było wygrawerowane laserem i widoczne dopiero przy dziesięciokrotnym powiększeniu.

– Czyli można je zidentyfikować? – upewniła się Czapla.

– Tak. Dlatego przypuszczam, że mogą zostać poddane przeszlifowaniu w celu usunięcia oznaczeń, zakładając, że ktoś będzie chciał je sprzedać.

– Stracą na jakości?

– Proces ten wpłynie na spadek masy – wyjaśnił Obarski. – Co do jakości, istotne jest, w czyje ręce trafią. Mam na myśli szlifierza. W diamentach chodzi o blask, o to, by wykonać szlif, który spowoduje idealnie załamania i odbicia promieni światła, które uwolni wewnętrzny ogień kamieni.

– Rozumiem. – Czaplínska potarła czoło. – Dlaczego nie przyleciał pan do Warszawy razem z partnerką? Dzień przed targami?

– Miałem umówioną wizytę klienta, który chce zainwestować w kupno diamentów. To poważne rozmowy, w grę wchodzi duże pieniądze, nie da się tego załatwić w biegu i po łebkach. Ponieważ Alicja uparła się, że poleci sama, ustaliliśmy, że następnego dnia przyjadę razem z Edytą i dołączymy do niej już tutaj, w hali. Nie miałem pojęcia, że nasze spotkanie odbędzie się na oddziale chirurgii.

– Jeszcze jedno pytanie, czy zna pan Tymona Szarego?

– Nie, a kto to?

– Jubiler, na co dzień pracuje we Wrocławiu. Podobno jest również wystawcą tutaj, na targach.

– Możliwe. Nie znam wszystkich osób z branży.

– Dobrze, to na razie wszystko. – Michalina wyjęła z kieszeni wizytówkę. – Proszę. Na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 14

Igor Bielewicz powiódł spojrzeniem po twarzach uczniów z nowego rocznika.

– W cyrku praca trwa nieprzerwanie – zaczął. – Staramy się osiągnąć doskonałość albo przynajmniej zbliżyć się do niej. Sposób? Nie ma tutaj cudownej recepty, odpowiedź jest najprostsza z możliwych: ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia oraz świadomość, że zawsze można zrobić coś lepiej. – Posłał im pokrzepiający uśmiech. – Gdy przyjdzie czas na próby w cyrku, na prawdziwej arenie, zobaczycie, że wszyscy artyści nieprzerwanie powtarzają swoje numery, a później podejmują jeszcze bardziej skomplikowane zadania. Nikt nie ma na sobie kostiumu, ale jedynie stroje treningowe. Na blask przychodzi pora wieczorem, w dniu występu. Wtedy porywają widownię swoją odwagą, perfekcją, łamaniem praw grawitacji. – Umilkł. Przez moment ciszę zakłócały tylko krople deszczu uderzające o parapet. – No to już z grubsza wiecie co i jak. – Igor podjął wątek, lecz teraz ton jego głosu był znacznie mniej poważny. – Ale najpierw porządna rozgrzewka, raz, dwa, trzy, cztery! Już!

Członkowie grupy rozeszli się po sali, a Bielewicz oparł się pośladkami o parapet. Obserwując przyszłych cyrkowców, odbiegł myślami do dnia sprzed dwóch lat, gdy po wypadku Nadii przewrócił swoje życie do góry nogami. Został współnikiem Różańskich i rozkręcił ich szkołę tak, że nie nadążali z realizacją zleceń. Pomógł też sobie. Tęsknotę za trapezem łagodził uczuciem satysfakcji, którą odczuwał, gdy pod jego okiem uczniowie nabywali nowe umiejętności, zaczynali kontrolować swoje ciało, a ich ruchy stawały się skoordynowane i precyzyjne. I nie miało znaczenia, czy postęp dotyczył przyszłych artystów czy dzieciaków z różnymi dysfunkcjami, dla których ćwiczenia w podrzucaniu i łapaniu małych piłek były ostatnią deską ratunku na drodze do uzyskania poprawy koncentracji.

Jedno tylko się nie zmieniło. Nadia nie chciała słyszeć o pojednaniu. Mając świadomość, że Igor prowadzi szkołę wraz z jej rodzicami, godziła się, żeby ich drogi biegły równolegle. O ich przecięciu nie było mowy, każdą próbę zmniejszenia dystansu kwitowała krótkim „nie”. Po kilku razach zrezygnował, z szacunku dla siebie i dla niej.

Dźwięk komórki wyrwał go z zamyślenia. Igor spojrział na wyświetlacz i dotknął przycisku z zieloną słuchawką.

– Tak?

– To ja.

– Wiem. Prowadzę teraz zajęcia.

– Spotkamy się wieczorem?

Powiódł spojrzeniem po twarzach uczniów, którzy zerkali w jego kierunku. Nie powinien wyjmować smartfona podczas treningu i łamać zasad, w których ustalaniu sam brał udział.

– Rozgrzani? W porządku. Teraz piętnaście minut zonglowania, a później zaczniemy pierwsze ćwiczenia na trapezie.

– Słuchasz mnie?

– Słucham. – Bielewicz zwrócił twarz w stronę zalanej deszczem szyby.

– Mówiłem, że prowadzę trening. Oddzwonię do ciebie, jak skończę.

Właśnie ktoś wszedł do szkoły, ale Igor nie zdążył zobaczyć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Odłożył telefon na parapet i omiół spojrzeniem uczniów, żeby sprawdzić, jak sobie radzą.

Nadia weszła do środka i zostawiła na podłodze w szatni mokrą parasolkę. Na widok portiera skinęła głową i ruszyła w stronę pomieszczenia biurowego, w którym miała nadzieję zastać matkę. Gdyby nie fakt, że już obiecała, przełożyłaby tę wizytę. Po sporządzeniu portretu pamięciowego czuła się tak, jakby ktoś ją przepuścił przez wyżymaczkę starej pralki. Ledwo stała na nogach, a ból głowy opadał całym ciężarem na jej czoło i powieki, powodując światłowstręt i łzawienie oczu. Nadia poczuła

napływające mdłości i zdała sobie sprawę, że od śniadania nie miała nic w ustach. Stała na chwilę przy sali treningowej, bowiem ucisk w piersi utrudniał jej oddychanie, i w tym momencie usłyszała głos Igora. Walcząc z pokusą zajrzenia do środka, zaczerpnęła powietrza.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób Bielewicz został współnikiem jej rodziców i współwłaścicielem szkoły. Nigdy ich o to nie pytała, ale przecież przez wiele miesięcy była skupiona na rehabilitacji i powrocie do normalnego funkcjonowania. Nie miała czasu na zastanawianie się nad biznesowymi posunięciami swoich rodziców, a tym bardziej działaniem byłego partnera, chociaż przyznawała, że jego decyzja o zakończeniu kariery akrobata w jej największym rozkwicie nie tylko ją napawała zdumieniem.

Nie mieli ze sobą nic wspólnego od dnia jej wypadku. Gdy została wybudzona ze śpiączki farmakologicznej i lekarze pozwolili mu na krótkie odwiedziny, nie chciała z nim rozmawiać. Igor podejmował próby odbudowania więzi, ale za każdym razem prosiła, by zniknął z jej życia. Nie interesowała się nim aż do teraz. Postanowiła, że nie pozwoli, by rodzice żyli w nieświadomości, że robią interesy ze złodziejem, który nie zawahał się pobić do nieprzytomności jednego człowieka, a do drugiego strzelić bez skrpułów. Jeszcze raz głęboko odetchnęła i, z obawy, że jakimś sposobem Bielewicz wyczuje, że ona tkwi za drzwiami sali, ruszyła dalej. W pokoju biurowym zastała matkę siedzącą nad stertą papierów. Barbara Różańska poruszała ustami, mówiąc coś do siebie półgłosem, i stuknęła w biurko końcówką długopisu.

– Cześć, mamó – powiedziała Nadia i pocałowała Barbarę w policzek. – Taty nie ma?

– Pojechał coś załatwić. – Matka, ślizgając się po twarzy córki nieobecny wzrokiem, odsunęła od siebie dokumenty. – Siadaj, chętnie odpocznę. Ta biurokracja czasem mnie przytłacza – westchnęła, potrząsając głową. – Łatwiej było tańczyć na linie z parasolką, niż zajmować się tym. – Machnęła ręką w stronę segregatorów. – No, ale dość już o pracy, zdejmij kurtkę, jest cała mokra. I powiedz, jak się czujesz po tamtym.

– Po tamtym? – W pierwszej chwili Nadia nie zrozumiała. – Aa, chodzi o strzelanie w hotelu? W porządku, ale wzięłam kilka dni urlopu, żeby ochłonać. Gorzej z Kacprem.

– Co z nim?

– Na razie bez zmian. Opiekuję się jego psem.

– Nie mówiłaś mi, że jesteście blisko. – Matka uniosła brwi.

– Bo nie jesteśmy. Kacper nie ma tutaj żadnej rodziny, a zwierzak sam o siebie nie zadba. I tyle na ten temat. Nie ma w tym drugiego dna. – Nadia zrobiła wdech i wydech. – Mamo, przyjechałam, żeby o coś cię spytać.

– Zabrzmiało poważnie. Myślisz o powrocie do cyrku?

– Nie, cyrk to temat zamknięty. Powiedz mi, jak to się stało, że Igor został waszym wspólnikiem? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Po prostu. – Barbara uciekła spojrzeniem. – Zaproponował nam nie tylko pomoc w prowadzeniu szkoły, ale i finansową... Pamiętasz, że wzięliśmy kredyt?

– Pamiętam. I odkąd do was dołączył, w szkole znacznie się polepszyło.

– Tak – odparła zakłopotana matka po chwili milczenia.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć. – Nadia wbiła wzrok w Barbarę. – Ale najpierw spytam. Czy wiesz, że Igor pierze w waszej wspólnej firmie swoje brudne pieniądze? Jestem pewna, że macie mnóstwo „zleceń” – córka odwzorowała w powietrzu znak cudzysłowu – płatnych gotówką, chyba nie zaprzeczysz?

– Ależ co ty mówisz, Nadia!

– Słabo ci wychodzi to oburzenie, mamo. Myślę, że od dawna dobrze wiesz, co się dzieje, tylko ja nie wiem, dlaczego na to przystaliście.

– Fantazja trochę cię ponosi, moja droga. – Matka oblała się rumieńcem. – Przyjęliśmy Igora na wspólnika, ponieważ chcieliśmy rozkręcić szkołę, a on miał mnóstwo pomysłów. Nie stać nas było na zatrudnienie pracownika etatowego...

– Ale stać na wspólnika – przerwała jej córka. – Niech pomyślę, ten wspólnik na pewno wniósł finansowy wkład... No tak, przecież

wspomniałaś o tym.

– To nasza firma, nie muszę ci się tłumaczyć z podejmowanych decyzji.
– Różańska oparła przedramiona na biurku i pochyliła się w stronę Nadii.

– Tata nic nie wie, prawda? – spytała dziewczyna, niezrażona chłodnym tonem rodzicielki. – Zawsze bujał w obłokach, zapatrzony tylko w swoje rekwizyty do żonglowania, piłki, maczugi i pochodnie. – Mimowolnie uśmiechnęła się na wzmiankę o ojcu, a potem spoważniała. Wzięła Barbarę za rękę, wyciągnęła zza biurka i usiadła razem z nią na kanapie. – Igor jest złodziejem, mammo. Kradnie biżuterię, odkąd go znam, i upłynnia ją za pośrednictwem pasera. Ostatnie wydarzenia pokazały, że nie tylko nie przestał, ale i robi postępy w swoim fachu. Jestem pewna, że to on napadł na tamtą kobietę w hotelu, postrzelił Kacpra, a potem ukradł niebieskie diamenty. Widziałam go z bliska, był ucharakteryzowany, ale to na pewno był on. Nie znam nikogo, kto porwałby się na taką ekwilibrystkę na linie bez zabezpieczenia.

– To niemożliwe. Igor nie jest mordercą.

– Ale że złodziejem, to wiesz, prawda?

– Był. Już nie kradnie. Obiecał sobie i nam. I jesteś w błędzie, myśląc, że ukrywam coś przed ojcem. Igor od początku postawił na szczerłość i powiedział wszystko, co i jak. Żył długo w koszmarnym poczuciu winy, że wypadek miał miejsce z powodu waszej kłótni. Nie mógł zacząć współpracy z nami bez wyznania prawdy.

– Ale... – zaczęła Nadia, lecz matka przystopowała ją gestem.

– Daj mi dokończyć. To prawda, przepuszczamy jego pieniądze przez szkołę, ale robimy to bardzo ostrożnie i niezbyt duże kwoty. A później wypłacamy sobie raz na jakiś czas „premię”, żeby w papierach nie było, że tylko jemu. Jeszcze sporo czasu upłynie, nim wszystko pobiegnie oficjalnym torem, ale na razie... Dzięki temu nauczyłam się księgowości, nie mogłam przecież oddać spraw w ręce obcej osoby. Ludzie teraz tacy, że nie wiadomo, komu ufać.

– Mammo, nie wierzę, że to mówisz! – Nadia odrzuciła włosy na plecy, bowiem ich dotyk nagle zaczął jej przeszkadzać. – I w dodatku tak

swobodnie. – Wyjęła gumkę frotkę i związała luźne pasma w koński ogon. – Przecież to przestępstwo, do licha! Możecie iść za to do więzienia. – Urwała na dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju biurowego wszedł Norbert Różański i rozpromienił się na widok córki.

– Nadia! Co za niespodzianka!

– Ja też się cieszę, tato. – Dziewczyna objęła ojca za szyję i pocałowała w policzek.

– Mama mówiła, że ten łobuz z hotelu postrzelił... – Zawiesił głos i oddał uścisk, a później odsunął Nadię na długość ramienia i omiół spojrzeniem najpierw ją, a potem Barbarę. – Mam wrażenie, że w powietrzu aż kipi od emocji. – Zmarszczył brwi. – Przerwałem wam burzliwą rozmowę?

– Nasza córka zaczęła zadawać pytania, na które w gruncie rzeczy znała odpowiedzi. – Matka się uśmiechnęła. – Chodzi o Igora, podejrzewa go o napad na tę kobietę w hotelu i strzelanie do mężczyzny, który mył okna.

– Właśnie! – wtrącił Norbert. – Jak się czuje twój kolega, córeczko?

– Wczoraj miał operację, ale jego stan jest ciężki – odparła Nadia. – Mam nadzieję, że z tego wyjdzie. – Oparła dłonie na biodrach, przybierając wojowniczą postawę. – Nie odbiegajcie od tematu.

Po skończonym treningu, przed wyjściem, Bielewicz postanowił zajrzeć do biura, żeby omówić z Barbarą kwestię kupna nowych rekwizytów do zonglowania na zajęcia z dziećmi w szkołach. W ramach opłaty młodzi kursanci dostawali w prezencie piłki do ćwiczeń w domu, a zapas był na wyczerpaniu. Gdy Igor stanął przed drzwiami i dotknął klamki, do jego uszu dobiegł znajomy głos. Pomyślał, że Nadia musiała przyjść w czasie, gdy prowadził trening, że to pewnie ją widział przez szybę, gdy wchodziła do budynku. Ponieważ często tak robiła, zaczął podejrzewać, że sprawdziła jego grafik zajęć, by do minimum ograniczyć możliwość przypadkowego spotkania. Z tego powodu postanowił teraz wejść do środka i nie dać jej kolejnej szansy na ucieczkę. Miał nadzieję, że w obecności rodziców będzie

bardziej skłonna, żeby go wysłuchać. Jednak gdy usłyszał swoje imię wypowiedane właśnie przez Barbarę, cofnął rękę i przylgnął plecami do ściany. Mając świadomość, że podsłuchiwanie jest poniżej jego godności, nie potrafił sobie odmówić poznania treści rozmowy, która toczyła się za drzwiami.

– Gwarantuję ci, że odkąd zrezygnował z pracy w cyrku i zaczął z nami prowadzić szkołę, jest wzorem do naśladowania dla wielu. Może ten bandzior był po prostu podobny do niego. To na pewno nie Igor – powiedziała Basia.

– Skąd wiesz?

– A ty? Rozpoznałaś go na sto procent?

– Nie, ale... Mógł zmienić wygląd.

– Że niby Igor miałby urządzić taką maskaradę?

Bielewicz znieruchomiał. Różańscy rozmawiali o zajściu w hotelu Pelikan, a słowa, które usłyszał, świadczyły, że Nadia podejrzewa go o napad i kradzież niebieskich diamentów. A więc temu zdarzeniu rodzice zawdzięczają jej dzisiejszą wizytę, pomyślał, przesuwając dłonią po czuprynie.

– Widzę, że masz do niego bezgraniczne zaufanie – rzuciła córka Norberta. – Ja też kiedyś miałam, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że mnie okłamuje.

– Nadia, Igor opowiedział nam wszystko jak na spowiedzi. Już ci mówiłam, że wiemy o waszej kłótni tuż przed występem i o tym, że on do dziś obwinia się o tamten wypadek. Gdyby nie ukradł wtedy biżuterii i gdybyś go nie przyłapała na oglądaniu bransolety, nie byłoby dalszego ciągu.

– Z pewnością.

– To Bielewicz płacił za twoją rehabilitację.

– Co?!

– Nie mówiliśmy ci, bo nie przyjęłabyś tych pieniędzy, a prawda jest taka, że bez jego pomocy nie dalibyśmy rady. Musieliśmy spłacać kredyt,

do tego rachunki, codzienne życie.

– A moje polisy? Miałam pieniądze, mogłam je wydać w całości, po to były, na wypadek takiej sytuacji.

– Pamiętasz, kiedy ci wypłacili? Ile zakichanych pism i zaświadczeń musieliśmy przedłożyć jednym i drugim? Niewiele brakowało, a sprawa trafiłaby do sądu. Ci idioci twierdzili, że specjalnie spadłaś, żeby wyłudzić odszkodowanie! – wybuchła Barbara. – Nikt nie posiada takiej fantazji jak firmy ubezpieczeniowe.

– Matka ma rację – powiedział Norbert Różański. – Jak przychodzi co do czego, potrafia rznąć głupa po mistrzowsku. A to my się z nimi użeraliśmy w czasie, gdy trzeba było wykładać kasę, żeby stawiać cię na nogi. Jeśli poczekalibyśmy jeszcze trochę, jeździłabyś na wózku.

– No a jak ci wreszcie wypłacili, co się należało, to masz teraz gdzie mieszkać i jeszcze trochę zostało na inne rzeczy.

– Nie mogę w to uwierzyć! – zawołała Nadia. – Oszukaliście mnie, mówiliście, że szkoła świetnie prosperuje, że macie oszczędności, żebym się nie martwiła, że część zabiegów pokrywa NFZ... Nie, chcę dokończyć! Nie mogę uwierzyć w to, co mówicie! Że korzystałam z pieniędzy Igora, z pieniędzy, które pochodziły z kradzieży.

– Nic mnie nie obchodzi, skąd pochodziły – oświadczyła Barbara, a w jej głosie zabrzmiały twarde nuty. – Dzięki tym pieniądzom chodzisz, jesteś sprawna, pracujesz. Jedynie to się liczy i żebyś to wszystko miała, sama bym coś ukradła, jeśli mogłabym ci pomóc. I ojciec też.

Igor mocniej przycisnął plecy do ściany. Chciał odejść i jednocześnie nie był w stanie się ruszyć. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, gdy Różańscy powiedzą Nadii, że właśnie jemu zawdzięcza dojście do pełnej sprawności, że dzięki niemu uniknęła życia na wózku. Przewidział też reakcję Nadii. Córka Barbary i Norberta w pewnych sprawach nie uznawała kompromisów i mógł się założyć, że w tej chwili zamiast wdzięczności czuje upokorzenie i wściekłość.

– Mamo, nie możesz tak mówić – zaprotestowała dziewczyna już łagodniej. – Nie płacz, proszę cię, nie płacz.

– Ech, nie płaczę, tylko się trochę wzruszyłam – odparła jej matka głosem nabrzmiętym łzami. – Nie dam na Igora powiedzieć złego słowa, bo dobry chłopak z niego i już. Może kiedyś trochę błędził, ale ważne jest, że wyszedł na prostą.

– Okej, skoro tak, to wiecie, co robił wczoraj rano? – Nadia nie odpuszczała.

– Nie mam pojęcia. – Tym razem odpowiedział Norbert. – Pewnie był w domu. Wczoraj miał zajęcia w terenie.

– W terenie, powiadasz? Czyli tak naprawdę mógł być w każdym miejscu. Na jakiej podstawie jesteście przekonani o jego niewinności?

– Wierzymy mu. Obiecał, że już nigdy nie wejdzie w konflikt z prawem.

– Tato...

– Pomógł nam w najgorszym momencie naszego życia: gdy leżałaś w szpitalu i nie wiadomo było, czy... A później znalazł najlepszego rehabilitanta w Polsce, który postawił cię na nogi. Jego pomysły przyczyniły się do rozkręcenia naszej szkoły. Do tej pory nie zawiódł naszego zaufania, więc, tak jak mama, nie dam na niego powiedzieć nic złego. Koniec, kropka.

– Tato, chciałam tylko wspomnieć, że Igor ma fioła na punkcie niebieskich diamentów, wiem, bo wiele razy ekscytował się nimi, gdy pokazywali coś w telewizji, doniesienia z aukcji czy informacje o nowym znalezisku w którejś z kopalni – powiedziała Nadia. – Nie sądzicie, że to interesujący zbieg okoliczności?

Igor, wciąż oparty o ścianę, zamknął oczy, ale zaraz je otworzył, słysząc dźwięki w korytarzu. Ruszył w tamtym kierunku w samą porę, by sprzątaczką nie przyłapała go z uchem przyklejonym do drzwi.

– Dzień dobry, coś dzisiaj wcześniej, pani Elu? – zagaił, udając, że akurat przechodzi.

– Jakie tam wcześniej, panie Igorze, zakochał się pan czy co, że czasu nie liczy? – Kobieta uśmiechnęła się do niego i włączyła odkurzacz.

No to po sprawie, pomyślał.

– Czy mogłaby pani zacząć dziś od sali treningowej?

– Od sali? – zdziwiła się kobieta. – Zawsze najpierw...

– Wiem, ale dziś trochę nabałaganili, a zaraz zajęcia z drugą grupą dzieciaków i trzeba, żeby było wszystko gotowe na ich przyjście.

– A, no dobrze – zgodziła się i odjechała ze swoim wózkiem pełnym środków czystości i szczotek w przeciwnym kierunku.

Igor wrócił na miejsce przy drzwiach biura.

– Wiecie, że przyjechał Cyrk Oliviera? – Usłyszał głos Nadii.

Najwyraźniej temat błękitnych kamieni został wyczerpany. Zaklął pod nosem.

– Tak, wiemy – odparła Barbara. – Byliśmy już w odwiedzinach u Tamary i Oliego. Dają ostatnie przedstawienie na koniec sezonu i potem odpoczywają aż do wiosny.

– Kupiłam bilet, pójdę ich obejrzeć.

– Możesz wejść bez biletu, wystarczy, że poprosisz Oliviera – zauważył ojciec.

– Chcę iść incognito, usiąść wśród publiczności jak normalny widz. Nie byłam w cyrku od wypadku, nie mogłam się przełamać. Ale teraz chyba jest już w porządku. Chciałabym sprawdzić.

– To dobrze, Nadia. Może kiedyś tam wrócisz.

– Nie sądzę, tato.

Wreszcie jakaś dobra wiadomość, pomyślał Bielewicz i rozluźnił mięśnie. On też pójdzie na spektakl i zaaranżuje „przypadkowe” spotkanie. Wciąż ją kochał i przygodne znajomości, oparte jedynie na seksie, niczego w tej kwestii nie zmieniły. Spotykał się z różnymi kobietami, sypiał z nimi i odchodził, gdy zaczynały oczekiwać deklaracji. Miały ładne twarze, zgrabne figury, dobre charaktery, obdarzały go czułością i zainteresowaniem. Ale żadna z nich nie była Nadią. Igor miał nadzieję, że uda mu się naprawić błędy popełnione w przeszłości i odzyskać z powrotem jej zaufanie i uczucie, tylko niech da mu jeszcze raz szansę.

Szczerze mówiąc, był gotowy porwać ją, związać i zakneblować, jeśli nie znajdzie innego sposobu, by nakłonić ją do słuchania.

Przekonany, że już wie wszystko, co powinien, chciał odejść i sprawdzić, czy sala treningowa jest przygotowana do wieczornych zajęć. W tym momencie znów usłyszał swoje imię.

– Jeszcze jedno. Widzieliście tatuaż Igora? – zabrzmiał ponownie głos Nadii. – Na lewym nadgarstku, po wewnętrznej stronie.

Bielewicz zacisnął szczęki i spojrzał na rysunek, w tej chwili częściowo ukryty pod paskiem zegarka. Runa Fehu, wytatuowana w następstwie wizyty u wróżki, do której wybrał się kiedyś w tajemnicy przed wszystkimi, miała mu przynieść bogactwo i dostarczyć energii, żeby mógł zrealizować swoje pragnienia. Miała również pomóc mu w pomnażaniu zasobów, nie tylko materialnych, ale i duchowych. I wreszcie symbol ten, przypominający pień drzewa z dwiema wyrastającym skośnie gałęziami, miał przyciągnąć do niego dobrych ludzi, którzy pomogą mu w rozwoju i nie odmówią pomocy w potrzebie.

– No coś tam ma – odparł Różański. – Dokładnie się nie przypatrywałem.

– A ja owszem – powiedziała Nadia. – Sprawca napadu miał identyczny znak. W tym samym miejscu. Zbieg okoliczności?

Igor wymamrotał przekleństwo.

– Mnóstwo ludzi ma tatuaże, teraz jest taka moda. – Norbert zbagatelizował argument Nadii. – Mogłaś źle zobaczyć, na pewno wszystko działo się szybko, to była ekstremalna sytuacja.

– Wiem, co widziałam, tato, jego niebieskie oczy miałam przed samym nosem. Jesteście zaślepieni, mam nadzieję, że nie będziecie płakać przez niego. Tak jak ja.

Nieopodal zaterkotały koła wózka z ekwipunkiem do sprzątnięcia i znów pojawiła się pani Ela. Bielewicz oderwał plecy od ściany i ruszył kobiecie na spotkanie, by uniknąć złapania na gorącym uczynku.

ROZDZIAŁ 15

Stoisko z napisem „Tymon Szary – jubiler” było usytuowane w prostopadle położonej alejce, a dotarcie do niego zajęło policjantkom czterdzieści minut. Próby przepychania się przez tłum spełzły na niczym. Pozostało uzbroić się w cierpliwość i pozwolić, by fala amatorów szlachetnej biżuterii poniosła je do celu w swoim tempie.

– Pan Tymon Szary? – spytała Czaplińska, gdy mężczyzna skończył rozmowę z kupującym.

– Tak, a kto pyta? – Szaroniebieskie oczy dobrze zbudowanego mężczyzny spoczęły na twarzy policjantki.

– Policja. – Michalina pokazała odznakę i dokonała prezentacji. – Chciałybyśmy zadać panu kilka pytań.

– Proszę. – Szary zaprowadził je na zaplecze i skinął głową do współpracownika. – Zastąp mnie przez jakiś czas.

– Co pan robił wczoraj rano? – podjęła Czapla, gdy usiedli na rozkładanych krzesłach, i wbiła w jubilera nieruchome spojrzenie.

– Słucham? – Mężczyzna zmarszczył czoło. – Dlaczego panią to interesuje?

– To ja jestem od zadawania pytań, a nie odwrotnie.

– Chwila, chcę wiedzieć, o co chodzi. – W głosie Szarego zabrzmiała irytacja.

– Możemy porozmawiać teraz albo zostawię wezwanie na komendę i rozwalę panu pół dnia – poinformowała Miśka. – To jak będzie?

Przez minutę mierzyli się wzrokiem, a później Szary rozpiął guzik przy kołnierzu koszuli i zrobił głęboki wdech.

– Tutaj. Byłem tutaj. Ja i mój rzeczoznawca przyjechaliśmy rano prosto z Wrocławia. Zarejestrowaliśmy swoją obecność, odebraliśmy karty

elektroniczne do sejfów i przystąpiliśmy do organizowania stoiska.

– Kto może potwierdzić pana słowa? Oprócz pracownika, rzecz jasna?

– Myślę, że szef ochrony, z którym załatwiałem formalności. W systemie na pewno jest data i godzina, o której wydano nam klucze do skarbca ze skrytkami.

– Sprawdzimy.

– Mogę wreszcie wiedzieć, o co tu chodzi?

– Czy ostatnio niepokoił ktoś pana? – Czapla zignorowała jego prośbę. – Może miał pan dziwnego, nietypowego klienta, dostał pan niecodzienną korespondencję albo zdarzyło się coś, co pana zaskoczyło?

– Nie. Wszystko było jak zawsze. Naprawdę nie rozumiem tych pytań.

– Na pewno słyszał pan o napadzie na jedną z wystawczyń, której ukradziono karty do sejfów, a później niebieskie diamenty.

– Oczywiście, chyba każdy słyszał. Media trąbią o tym od wczorajszego popołudnia. Okropna historia.

– Proszę sobie wyobrazić, że złodziej poprzedniego dnia zaczepił Alicję Sadej i przedstawił się jej pańskim imieniem i nazwiskiem. Dodał, że jest jubilerem, powołał się na znajomość zawartą na zeszłorocznych targach.

– Niebywałe! Jak to możliwe? Nie znam tej kobiety, nigdy się nie spotkaliśmy. Chce pani powiedzieć, że złodziej podszył się przede mną? – Tymon Szary znieruchomiał. – Chyba nie myśli pani, że to ja napadłem na tę kobietę i ukradłem diamenty? To absurd.

– Złodziej był bardzo sprawny fizycznie, bez trudu zjechał na linie z ósmego piętra. Pan, zdaje się, trenuje wspinaczkę skałkową.

– Co mi tu pani imputuje? – oburzył się jubiler i wstał. – Koniec rozmowy, nie będę słuchać tych insynuacji. Niebywałe! – powtórzył, kręcąc głową z jawną dezaprobatą. – W hali jest monitoring, proszę sobie sprawdzić, o której przyjechałem do hali i o której ją opuściłem. Oskarża pani niewłaściwą osobę, a złodziej pewnie już dobija targu ze swoim odbiorcą.

– Na razie nikogo nie oskarżam – odparła spokojnie Michalina. – Sądzi pan, że kradzieży dokonano na zamówienie?

– Oczywiście. Wszyscy z branży, a także kolekcjonerzy, wiedzą, że diamenty Alicji Sadej są warte małą fortunę, raczej nikt ich nie ukradł, żeby podziwiać je później w blasku świec. Mają certyfikat, więc pewnie zostaną przeszlifowane, a wtedy szukaj wiatru w polu. – Szary zaczął kciuki o pasek spodni.

– Jak pan myśli, dlaczego złodziej podszył się akurat pod pana? – spytała Czaplínska. – Jest tylu jubilerów w naszym kraju.

– Może to ktoś, z kim kiedyś się zetknąłem?

– Przychodzi panu na myśl jakaś osoba?

– Proszę pani, znam dziesiątki ludzi. Równie dobrze ktoś mógł mnie znaleźć w sieci i uznać, że podoba mu się moje imię i nazwisko.

– Mogło tak być – zgodziła się Michalina. – A może nadepnął pan komuś na odcisk i w rewanżu ten ktoś postanowił zafundować panu trochę kłopotów?

– Nie miesiam zatargów z ludźmi – odparł Szary. – Staram się żyć w zgodzie z bliźnimi.

– No cóż, dziękujemy panu. – Policjantka wstała i schowała notes do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Proszę do mnie zadzwonić, gdyby coś panu przyszło do głowy, nawet z pozoru mało istotnego.

Do czasu rezygnacji z pracy w cyrku Igor wykorzystywał żonglerkę jako element własnego treningu. Zabawa piłkami lub obręczami, przynosząc wiele innych korzyści, redukowała także stres i pomagała w utrzymaniu koncentracji, słowem przydawała się podczas pracy nad układami akrobatycznymi. Od momentu gdy zaczął pracować w szkole cyrkowej, zachęcony przez Norberta, zajął się żonglerką na serio. Prowadził pokazy w szkołach i uczył dzieciaki, które przychodziły do nich na zajęcia. Większość z nich miała stwierdzone różne dysfunkcje obniżające

efektywność nauki. Ćwicząc zonglowanie, rozwijały nie tylko zręczność, równowagę i koordynację wzrokowo-ruchową, ale również cierpliwość, zdolność skupienia się na zadaniu i kreatywne myślenie. Bielewicz zachęcał uczniów do pokonywania ograniczeń psychofizycznych, wiary w swoje możliwości i dążenia do upragnionego celu. Pomagał im kształtować samodyscyplinę i budować poczucie własnej wartości. Doceniał każdy, nawet najmniejszy postęp i często im powtarzał: to nie zawody, nie ma znaczenia, które zajmiesz miejsce, ścigasz się tylko sam ze sobą i najważniejsze jest, że poprawiasz swój wynik. Praca z dziećmi, choć nie rekompensowała mu rezygnacji z trapezu, sprawiała satysfakcję; miał poczucie, że robi coś dobrego i w jakiś pokrętny sposób naprawia szkody uczynione w przeszłości. Czasem, gdy ogarniała go bolesna tęsknota za dawnym życiem, myślał, że te zajęcia są jego pokutą.

Teraz Igor, zakończywszy trening z grupą wieczorną, znów poczuł dumę z osiągnięć podopiecznych. Zadowolony, podrzucił kluczyki na dłoni i wszedł do auta. Zamierzał jeszcze wziąć prysznic i zmienić ubranie, a czas kurczył się niepostrzeżenie.

– To nie on – powiedziała Zosia, gdy opuściły halę targową. – Byłoby absurdalne, gdyby Szary przed napaścią przedstawił się swoimi danymi, zwłaszcza że Alicja Sadej mogłaby go rozpoznać na okazaniu. Chyba że zmienił sobie rysopis.

– Oczywiście, jednak chciałam go wkurzyć. Już ci mówiłam, że gdy ludzie są wytrąceni z równowagi, przestają kontrolować emocje i wypowiedane słowa. Musiałam mieć pewność, że facet nie ma nic wspólnego z napadem. Sadej też zapewniła, że go nie zna, a ten koleś złapany przez monitoring w hotelu i na targach ma inną sylwetkę i włosy. Może to być, rzecz jasna, kwestia charakteryzacji, jak mówisz, ale to byłoby wyjątkowo bezczelne, przedstawić się swoimi prawdziwymi danymi.

– Bo najciemniej jest pod latarnią – zaśmiała się Zosia i spoważniała. – Co robimy?

– Nic tu po nas. Minał kawał dnia, a my niewiele mamy. Jadę do firmy, ale najpierw podrzucę cię pod Pelikana. Rozejrzyj się za kamerami w okolicy, chociaż wątpię, żeby któraś uchwyciła obraz tak wysoko. – Czapla stanęła przy samochodzie i wbiła spojrzenie w dziewczynę. – Posłuchaj, Maciejko, targi się kończą w niedzielę. Jeśli do tego czasu nie znajdziemy sprawcy, ludzie rozjadą się po całej Polsce i szansa, że dorwiemy gościa, zmaleje do zera.

– Zakładasz, że to ktoś z branży?

– Wszystko na to wskazuje.

– To znaczy co?

– Ty mi powiesz podczas narady jutro rano. Masz ponad pół doby na zebranie faktów.

Szykował się do wyjścia, gdy zadzwonił telefon.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Dziś się spotkamy?

– Tak. Wyślę ci adres.

– Weź kamienie.

– Okej.

– Co robimy?

– Trzeba poczekać, aż sprawa trochę przycichnie. Tymczasem rozglądam się za dobrym, dyskretnym fachowcem.

– A jak nie znajdziesz?

– Zawsze jest ktoś, kto się skusi, a potem zapomni, na co patrzył. Kwestia ceny.

– Dobrze, czekam na SMS-a od ciebie.

– Na razie. Do zobaczenia.

Odłożył telefon i znów pomyślał o Nadii. To prawdziwy pech, że właśnie na nią trafił podczas skoku. Jeszcze nie wiedział, co z tym fantem zrobi.

ROZDZIAŁ 16

Nadia stanęła przed wejściem do namiotu cyrkowego i głęboko odetchnęła. Pierwszy raz od czasu wypadku miała przekroczyć próg, za którym rozciągała się magiczna kraina, i nagle ogarnął ją popłoch.

– Wchodzi pani czy nie? – Usłyszała głos za plecami. – Bo jak nie, to...

– Przepraszam, już wchodzę.

Ściskając pasek torebki, jak uczepiona koła ratunkowego, Różańska odszukała swoje miejsce na widowni. Siedząc, powiodła wzrokiem po pustej scenie, a następnie przeniosła spojrzenie na konstrukcję ze sprzętem do akrobacji. Jej serce niespodziewanie zwiększyło liczbę uderzeń, a na wysokości obojczyków pojawiła się przeszkoda utrudniająca ponowne zaczerpnięcie powietrza. W tym momencie na scenę wszedł Olivier i zapowiedział początek pokazów. W namiocie zapadła ciemność.

To chore, pomyślała Nadia, walcząc o każdy oddech, chyba mam atak paniki. Światło reflektora wydobyło z mroku postać linoskoczka. Różańska poczuła pieczenie pod powiekami, po jej policzkach popłynęły łzy. Wdeech, wydeeech... Wdeech, wydeeech... Jeszcze raz. Na widowni rozległy się brawa i Nadia uświadomiła sobie, że straciła pierwszy numer. Zdołała jednak odzyskać nad sobą kontrolę, ucisk w gardle ustąpił i podczas pokazu zonglerki zapomniała już o strachu, rozluźniła mięśnie i skupiła uwagę na występie. Starła się być tylko widzem i odłożyć na bok swoją wiedzę na temat technicznych szczegółów, co wcale nie było łatwe dla profesjonalistki, która znała kulisy przygotowań spektakli, wiedziała, ile dni, tygodni i miesięcy ćwiczeń kosztuje końcowy rezultat, który oglądała publiczność.

Kiedy na scenie pojawił się Robert Wójcicki, Nadia drgnęła. Nagły, bolesny skurcz w okolicy splotu słonecznego sprawił, że przycisnęła dłonie

do brzucha. Znajoma twarz. Kiedyś tworzyli zespół, on, ona oraz Igor, malowali tańcem w powietrzu historię miłosnego trójkąta. Występowali także w układzie z udziałem większej liczby osób. Teraz dawny kolega oplątał się liną, która wciągnęła go pod kopułę, i rozpoczął swój pokaz na trapezie. Nadia poczuła, że robi jej się gorąco. Koszulka bawełniana, którą miała pod swetrem, zaczęła się kleić do jej pleców, a czoło zwilgotniało. Wytarła twarz chustką i ponownie skupiła się na oddechu.

Robert wykonał serię imponujących skoków i salt, a za każdym razem, gdy wypuszczał z rąk drążek trapezu, Nadia napinała wszystkie mięśnie. Gdy na koniec zeskoczył na siatkę zabezpieczającą, odetchnęła z ulgą i złożyła ręce do oklasków. Jak zawsze, perfekcjonista w każdym calu, pomyślała, gdy schylił się w ukłonie.

– Dlaczego ja nie miałam szczęścia? – spytała samą siebie półgłosem, obserwując wbiegających na scenę następnych artystów. Nie знаła ich, musieli dołączyć do zespołu po jej odejściu. Po chwili skarciła się za niemądre myśli. Los okazał jej łaskę, wróciła do pełnej sprawności i choć nie występowała już w cyrku, mogła robić wiele innych rzeczy niedostępnych dla tych, którym powiodło się gorzej.

Podczas przedstawienia zauważyła kilku znajomych, ale większość zespołu stanowili nowi cyrkowcy. Zmieniło się trochę, uznała i jej myśli odbiegły do niedawnej rozmowy z rodzicami. Kilka lat wcześniej również oni zrezygnowali z wędrownego trybu życia i otworzyli na Gocławiu szkołę sztuki cyrkowej. A później, po wypadku córki, przewrócili swój świat do góry nogami, żeby zaopiekować się nią, gdy leżała przez kilka miesięcy w szpitalu, i gdy wymagała długiej rehabilitacji. Bez ich pomocy i troski Nadia nie dałaby rady. Może mieli rację? Kto dał jej prawo, by oceniać ich postępowanie i wybory, zwłaszcza że kierowali się dobrem swojej jedynaczki? Nie miała pojęcia, co ona zrobiłaby na ich miejscu, gdyby miała ratować bliską osobę. Nigdy nie była w takiej sytuacji, nie wiedziała, do jakich czynów jest zdolna. To nie znaczyło, że usprawiedliwiała kradzież Igora, ale teraz, gdy już opadły w niej emocje, rozumiała, że dla matki i ojca ważniejsza była pomoc, którą zaoferował Bielewicz, niż to, że

w zamian on będzie przepuszczać przez ich szkołę trefną gotówkę, którą do tej pory trzymał w skrytce bankowej.

Igor przyłożył lornetkę do oczu i odszukał Nadię na widowni. Siedziała jak urzeczona i wpatrywała się w ewolucje wykonywane przez Roberta. Bielewicz poczuł ukłucie żalu. Znow zateśnił za dawnym życiem, za treningami, trapezem, skokami, saltami i całą resztą. Zateśnił za tańcem z Nadią na szarfach. Podobnie jak ona dawno nie był w cyrku i dopóki się trzymał od niego z daleka, było mu znacznie łatwiej w chwilach, gdy dopadał go kryzys. Dziś też zignorowałby ostatnie przedstawienie w sezonie, gdyby nie dowiedział się, że w namiocie spotka Różańską.

– Grosik za twoje myśli – powiedział cicho, wciąż obserwując ją przez lornetkę, i przez chwilę zastanawiał się, czy Nadia czasem tęskni, czy pragnie powrotu do dawnego życia. Wiedział już, że pracuje w firmie, która świadczy usługi mycia okien na wysokościach. Czy naprawdę jej to wystarczało? Czy fakt, że odzyskała sprawność, rekompensował jej brak emocji, które towarzyszyły ich występom w blasku reflektorów, gdy szybowali wysoko pod kopułą namiotu, przy akompaniamencie chwytającej za gardło muzyki? Igor nie wierzył, że można, ot tak, wyrzucić wspomnienia ze swojego serca. On nie potrafił. Cyrk wciąż w nim był. Wypełniał każdą komórkę jego ciała. Przed chwilą boleśnie się o tym przekonał.

Zosia zdążyła na spektakl w ostatnim momencie. Wcześniej znalazła trzy kamery umiejscowione vis-à-vis hotelu Pelikan od strony, gdzie pracowali Różańska i Gutkowski, i szybko się przekonała, że każda z nich obejmuje teren jedynie w pobliżu wejścia do budynku, na którym ją zamontowano. Czapła miała rację. Był wieczór, gdy zrezygnowana usiadła na przystanku tramwajowym, a później przypomniała sobie, że w Warszawie jest Cyrk

Oliviera, więc przez telefon kupiła bilet i pojechała prosto na przedstawienie.

Gdy dotarła do celu, w namiocie już pogaszono światła. Po omacku dotarła do wybranego miejsca, dwukrotnie depcząc ludziom po palcach i bąkając „przepraszam”, a później zapomniała o bożym świecie. Rozbłysły reflektory i zza kulis wyszło dwóch kłownów. Wesołkowie w kolorowych strojach biegali po scenie, wymierzali sobie nawzajem kopniaki i smarowali się farbą po twarzach. Dokuczali sobie bez umiaru, fikali kozły i robili psikusy, a później wybiegli z hałasem z areny przy akompaniamencie oklasków i śmiechu widzów. Znow zgasło światło, zabrzmiała nastrojowa muzyka i po chwili jasna smuga wydobyła z mroku postać Roberta Wójcickiego, który, wciągnięty przez mechanizm pod kopułę, rozpoczął zapierający dech pokaz ewolucji.

Gdy wybrzmiały brawa usatysfakcjonowanej publiczności, Różańska, z natury niechętna tłumowi, poczekała, aż ludzie opuszczą namiot, i dopiero wtedy skierowała się do wyjścia. Przez chwilę miała chęć iść za kulisy i porozmawiać z tymi, których знаła sprzed wypadku, ale powściągnęła pokusę. To już nie był jej świat.

Na zewnątrz panował mrok, a mdły blask jedynej latarni wcale nie polepszał sytuacji. Nadia zapięła kurtkę i postawiła kołnierz. Tymczasem wszyscy się rozeszli i Różańskiej przyszło w samotności pokonać dystans kilkudziesięciu metrów dzielących plac z namiotem cyrkowym i kilkoma wozami od ulicy, na której był przystanek autobusowy. Stały tam niskie bloki mieszkalne, z których okien sączyło się światło, oraz latarnie. Trzeba było iść z tłumem, pomyślała Nadia, i ruszyła szybkim krokiem w stronę jasnej łuny. Wtedy poczuła czyjaś obecność za plecami. Zerknęła przez ramię, ale nikogo nie było. W ciemnościach wyobraźnia lubi płatać figle, pomyślała i zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wciągnęła powietrze do płuc.

– Nadia! – Ciszę przecięło wołanie.

A więc to jednak nie było złudzenie. Znieruchomiała, próbując przypomnieć sobie, do kogo należy głos, który brzmiał znajomo, a gdy mężczyzna podszedł, rozpoznała właściciela cyrku i trenera akrobatów.

– Olivier! – zawołała, uradowana.

Starszy mężczyzna już nie występował na arenie, za to z powodzeniem tworzył układy choreograficzne i udzielał wskazówek artystom, którzy pracowali pod jego okiem.

– Nadia! Dobrze cię widzieć. – Zamknął na chwilę dziewczynę w uścisku, a później powiódł wzrokiem po najbliższej okolicy. – Cofnijmy się, nie chciałbym, żeby ktoś nas zobaczył – zaproponował z dającym się zauważyć niepokojem.

Różańska, zdezorientowana, wykonała polecenie.

– Kto? Co się stało?

– Widziałem cię na widowni, myślałem, że zajrzysz za kulisy. – Teraz w jego głosie zabrzmiał wyrzut.

– Chciałam, ale... To pierwszy raz od wypadku, rozumiesz? Nie miałam pewności, czy dam radę wysiedzieć do końca przedstawienia, zwłaszcza gdy zobaczyłam trapez i całą resztę.

– Rozumiem. – Skinął głową i znów się rozejrzał. – Nie spytam, co u ciebie, ponieważ wszystko wiem od twoich rodziców. Dostawałem informacje na bieżąco. Przez długi czas nie było dnia, żebym o tobie nie myślał.

– Oli, pogodziłam się z tym, co zaszło, a w słabszych chwilach pocieszam się, że nie wylądowałam na wózku. Każdy artysta cyrkowy wie, że wypadki się zdarzają, ja też wiedziałam. Oczywiście, również jak każdy z nas, myślałam, że mnie to nigdy nie spotka, ale... – Urwała, czując pieczenie pod powiekami.

– Może wpadniesz do nas któregoś popołudnia? Tamara się ucieszy. – Wreszcie rozciągnął usta w uśmiechu. – To było ostatnie przedstawienie przed sezonową przerwą. Będziemy mieć teraz dużo czasu, pogadamy, powspominamy.

– Chętnie. – Naprawdę poczuła ochotę, by ich odwiedzić.

– Poza tym... – Przystąpił z nogi na nogę. – Zależy mi, żebyś przyszła. Chciałbym coś ci dać, powinienem już dawno to zrobić. – Ściągnął brwi. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Olivier? – Nadia wzięła mężczyznę za rękę. – Co mam ci wybaczyć?

– Wszystko ci później powiem, cierpliwości. Daj znać, dostosujemy się do ciebie z terminem.

– Dobrze, wpadnę, obiecuję.

Nadia była coraz bardziej zdziwiona. Adamski nigdy tak się nie zachowywał. Zerkał przez ramię i na boki, widać było, że coś go niepokoi, mówił zagadkami.

– Uważaj na siebie. – Jeszcze raz ją uścisnął, tym razem na pożegnanie.

– Oczywiście. Ty też. I pozdrów Tamarę. Koniecznie. – Nadia, zdezorientowana, ruszyła wolnym krokiem w stronę ulicy. Po przejściu kilku metrów znów usłyszała swoje imię. Ten głos rozpoznała od razu. Znieruchomiała, a gdy Bielewicz do niej podszedł, na chwilę zabrakło jej powietrza. Wiedziała, że ten moment kiedyś nastąpi, ale wolałaby spotkać Igora w biały dzień i najlepiej w towarzystwie innych osób. Nie bez powodu unikała go do tej pory, jak mogła.

– Co tutaj robisz? – spytała, wkładając ręce do kieszeni kurtki.

– Byłem w cyrku, podobnie jak ty. Miło cię wreszcie zobaczyć.

– Śledzisz mnie? – Stała wyprostowana jak struna, z uniesionym podbródkiem.

– Widziałem cię na widowni. Chciałem podejść po przedstawieniu, ale najpierw zniknęłaś w tłumie, a później zobaczyłem, że rozmawiasz z Olivierem.

– A ty? Utrzymujesz z nimi kontakt?

– Tak. Każdego roku, gdy kończą trasę późną jesienią, wpadam do nich od czasu do czasu. Ale w namiocie byłem pierwszy raz od dawna, choć tęsknię.

Nadia miała zamiar odpowiedzieć, ale zdołała jedynie poruszać ustami. Przez nagle ściśnięte gardło nie wydostało się ani jedno słowo. Nie była też w stanie ruszyć z miejsca, by odejść, pozostało jej więc słuchanie. Liczyła na to, że Igor powie coś, co wyrwie ją ze stuporu i przywróci zdolność reagowania.

– Tęsknię za niepowtarzalną atmosferą. – Bielewicz podjął wątek. – Za garderobą z tymi wszystkimi cekinami, świecidełkami, szminkami i kostiumami, za rozgardiaszem przed naszymi...

– Przestań. – Z trudem przełknęła ślinę.

– ... przed naszymi występami, trapezem, tańcem i muzyką.

– Przestań! – powtórzyła ostrzejszym tonem i zamrugała, żeby powstrzymać napływające łzy.

– Nie mów, że ty nie tęsknisz – odparł, ignorując jej prośbę. – Masz to we krwi, tak jak ja, w ciele, w każdym narządzie i komórce. W rękach, w nogach. I tutaj. – Dotknął palcem skroni. Nie możesz się od tego uwolnić, bo to nie ty zdecydowałaś o odejściu, coś zadecydowało za ciebie.

– A ty?

– Odszedłem, ponieważ chciałem.

– Ale i tak tęsknisz. Spalasz się, prowadząc zajęcia z amatorami, zamiast latać pod kopułą na trapezie. Dlaczego nie wrócisz? Oli przyjąłby cię z otwartymi ramionami, jestem pewna, że o niczym innym nie marzy.

– Marzy o tobie – sprostował Igor. – A ja mogę wrócić, ale tylko z tobą.

– Wybij to sobie z głowy.

– Dlaczego? Co ci przeszkadza? Jesteś sprawna, a twoje ciało wszystko przypomni sobie z łatwością.

Nadia omiotła wzrokiem okolicę. Stali na ciemnej polanie, z nieba siąpił drobny deszcz, a chłód przenikał ją do szpiku kości. Zadrżała. Naciągnęła kaptur i wyjęła z kieszeni rękawiczki.

– Ta rozmowa jest bez sensu. Mam teraz inne życie, a ty już nie jesteś jego częścią. Nie wróci to, co było. – Z trudem spojrzała mu w twarz. – Dziś dowiedziałam się od rodziców, że płaciłeś za moją rehabilitację.

Jestem ci bardzo wdzięczna, chociaż nie jest mi łatwo, gdy myślę, że te pieniądze pochodziły ze sprzedaży skradzionej biżuterii. – Nabrała powietrza do płuc. – Zamierzam ci je zwrócić. Jeśli podzielisz wydaną sumę na rozsądne raty, wtedy... I tylko dlatego nie powiem...

– Nadia, do cholery! – wybuchnął. – Nie rozmawiaj ze mną jak z obcym. – Wziął ją za dłonie i przytrzymał siłą, gdy chciała się wyrwać z jego uścisku. – Możesz zaprzeczać, ile tylko chcesz, ale ja znam cię lepiej niż twoi rodzice i wiem, że tęsknisz, że chciałabyś wrócić, lecz się boisz. To normalne, jednak możesz pokonać ten strach. Olivier ma dodatkowe zabezpieczenia, nie jest możliwe, żeby ktoś nie trafił w siatkę.

– Chyba kompletnie oszalałeś! – Różańska wyszarpnęła ręce i schowała je za plecami. – Daj mi spokój, to, co było, nigdy nie wróci i nie rób mi nadziei, że to możliwe. Nauczyłam się żyć bez cyrku i bez ciebie. Wszystko zniszczyłeś, złamałeś obietnicę. Daj mi spokój.

– Nadia, posłuchaj...

– Nie, ty posłuchaj. – Zmrużyła oczy. – Tylko to, czego dowiedziałam się dziś od rodziców, powstrzymało mnie przed pójściem na policję i zeznaniem, co wiem, ale przysięgam, że jeśli Kacper albo tamta kobieta nie przeżyją... Pójdę i... Twoja idiotyczna charakteryzacja może wystarczyć, żeby oszukać innych, ale nie mnie, Igor. – Podniosła dłoń w ostrzegawczym geście. – Nie przerywaj, chcę dokończyć. – Mimo chłodu, nagle zalała ją fala gorąca. Zdjęła z powrotem kaptur i wbiła wzrok w Bielewicza. – Powiedziałeś, że mnie znasz lepiej niż inni, ja też ciebie znam jak nikt. Znów to zrobiłeś, pewnie nigdy nie przestałeś. I nie nabierzesz mnie żadną przebieranką. Więc lepiej trzymaj kciuki, żeby ci ludzie z hotelu przeżyli, a ode mnie trzymaj się z daleka.

Odepchnęła Igora i pobiegła w stronę ulicy. Nie chciała, żeby widział jej łzy, które popłynęły po policzkach, jedna za drugą.

Późnym wieczorem wysłał jej SMS-a z adresem i czekał na nią w pokoju, którego mrok rozjaśniały tylko płomienie dwóch świec. Zdjął jej sweter przez głowę i niecierpliwym ruchem szarpnął za suwak dzinsów. Szybko pozbyli się reszty ubrań, zostawiając je tam, gdzie upadły, a potem pociągnął ją na przykryte prześcieradłem łóżko. Gdy położyła się na plecach, wyjął z woreczka diamenty.

– Daj mi. – Wyciągnęła rękę.

– Później. Najpierw je poczuj. Ogień i lód.

– Chcę dotknąć.

– Później – powtórzył.

– Dobrze – wyraziła zgodę z niechęcią i przesunęła palcami po jego nadgarstku. – Tatuaż? Nie widziałam go wcześniej.

– Może jesteś za mało spostrzegawcza? – zażartował. – Zamknij oczy.

Ułożył niebieskie kamienie na jej ciele: pierwszy między obojczykami, drugi na mostku, trzeci w zagłębieniu pępka. Omiótł je wzrokiem i wciągnął ze świstem powietrze do płuc. Dotknął wargami piersi kochanki i przeciągnął językiem po stwardniałej brodawce. – Uważaj, nie mogą spaść – powiedział do niej, gdy drgnęła.

Uśmiechnął się, zadowolony, że tak na niego reaguje. Wiedział, że go kocha, ale on nie potrafił odpowiedzieć tym samym; serce, do którego pukała, było od dawna zajęte. Nie chciał jednak jej zranić, dlatego odpowiadał wymijająco na pytania o wzajemność i unikał deklaracji, zamykając jej usta pocałunkiem. Za każdym razem, gdy się widzieli, starał się dawać jej jak najwięcej przyjemności, by wracała do siebie zaspokojona i miała co wspominać przed snem.

Teraz objął dłonią jej drugą pierś, ustami zaś przylgnął do miękkiego brzucha.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – wyszeptała, a jej biodra zafalowały w tęsknym oczekiwaniu.

Był ciekaw, czy bardziej podnieca ją pieszczota, czy świadomość, że jej skóry dotykają diamenty warte fortunę. On sam nie wiedział, jak jest w jego

przypadku. Z trudem panując nad każdym ruchem, by z jej ciała nie spadły kamienie, rozsunął uda kochanki i dał się porwać szaleństwu zmysłów.

SOBOTA

Trzeci dzień targów jubilerskich

ROZDZIAŁ 17

Michalina stanęła przed wejściem do komendy i wysupłała z paczki cienki papieros. Przypaliła i zaciągnęła się dymem. Podmuch wiatru skierował szarą chmurę na jej twarz. Zakłęła pod nosem, postawiła kołnierz i schowała się za rogiem budynku. Przyszła do pracy wcześniej niż zwykle, ponieważ sprawa niebieskich diamentów spędzała jej sen z powiek. Żywiła przekonanie, że mają coraz mniej czasu i jeśli nie stanie się jakiś cud, Alicja Sadej nigdy nie odzyska swoich kamieni. Intuicja jej podpowiadała, że sprawcą jest ktoś ze środowiska właścicielki „Alice Diamonds”, i wiele faktów też za tym przemawiało. Po pierwsze...

– Cześć, Miśka! – Znajomy głos wyrwał ją z odrętwienia. Jej wzrok, ślizgający się po wirujących w powietrzu barwnych liściach, spoczął na koledze z wydziału zajmującego się odzyskiwaniem dzieł sztuki.

– Bruno? Nie wiedziałam, że palisz – powiedziała, powstrzymując grymas niechęci, ponieważ, mimo sympatii odczuwanej w stosunku do Zawiślaka, najchętniej poprosiłaby go, żeby spadał i nie przeszkadzał jej w rozmyślaniach na temat śledztwa.

– Czasem – rzucił i pstryknął zapalniczką, osłaniając drugą ręką płomień. – Jak mam twarde orzech do zgryzienia. – Zerknął na Czapkę spod oka. – Spać nie mogę, przychodzę wcześniej i stoję tutaj w nadziei, że spłynie na mnie olśnienie ot tak sobie, bez żadnego wysiłku z mojej strony.

Michalina parsknęła śmiechem.

– Żeby to było takie proste! Też tak robię, ale na razie żadnego objawienia nie doznałam.

Przez minutę palili w zgodnym milczeniu, a później mężczyzna zagaił:

– Słyszałem, że prowadzisz sprawę strzelaniny w Pelikanie.

– Taa. – Policjantka zgasiła niedopałek i przypaliła następnego papierosa.

– Masz coś?

– A dlaczego pytasz? – Rzuciła mu spojrzenie spod oka.

– Chodzi o diamenty. Przez jakiś czas byłem w grupie, która zajmowała się serią kradzieży biżuterii, zresztą do tej pory niewyjaśnionych. Złodziej okradał głównie sklepy jubilerskie, nie zgarniał wszystkiego, brał starannie wybrane rzeczy, najcenniejsze, przeważnie diamenty, czasem szafiry lub szmaragdy, i rozpływał się w powietrzu. Góra powołała zespół do tej sprawy, ale utknęliśmy w martwym punkcie.

– A kradzieże? Wciąż mają miejsce? – Michalina poczuła to szczególne napięcie w mięśniach, które dawało jej znać, że zaraz usłyszy coś istotnego.

– Ostatnia zdarzyła się dwa lata temu, na targach biżuterii. Złodziej obrobił jubilera na parkingu, gdy tamten pomagał jakiejś kobiecie, która zasłabła.

– Może była z nim w zмовie? – zasugerowała Czaplińska.

– Wykluczyliśmy udział drugiej osoby. – Bruno zmarszczył czoło. – Twoja nowa partnerka była świadkiem tamtego napadu. Podjęła próbę złapania sprawcy, ale z tego, co mówiła, wpadł w jakąś bramę i tyle go widzieli. Pewnie wykorzystał znajomość terenu i przejścia między podwórkami.

– Masz na myśli rudą Maciejkę?

– Tak. Pracowała wtedy w moim wydziale i bardzo chciała ścigać amatorów cudzych świecidełek. – Bruno wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Złożyła wniosek o przeniesienie z prewencji i stary klepnął zgodę na tę zmianę, choć się krzywił.

– To dlaczego teraz dali ją do mnie? – Miśka wydmuchała dym. – Jest strasznie zielona, to wiem, coś jeszcze z nią nie tak?

– Nie do mnie to pytanie. – Zawisłak uciekł spojrzeniem.

– Ej, widzę, że gadasz jak potłuczony, przestań kręcić.

- Dobra, ale między nami, okej?
- Okej.
- Wiesz, że to córka i wnuczka policjantów?
- Wiem. Jej dziadka nie znałam, ale ojca spotkałam parę razy.
- Maciejka poprosił starego, żeby młodą przytrzymać w prewencji. Miał nadzieję, że jak dostanie porządnie w kość, sama zrezygnuje z policji i zajmie się czymś innym.
- Jaja sobie robisz? – Czaplínska zmarszczyła brwi.
- Nie. Ale Zośka dała radę, nie wiem, czy ktoś ci mówił, ale ona ma czarny pas w karate, chociaż nie chwali się tym nikomu. No i nie wygląda też, ta nasza Pippi, na taką, co może spuścić łomot.
- Chcesz powiedzieć, że widziałeś ją w akcji?
- Ja nie, ale mi mówili. Pokazała paru gostkom, gdzie raki zimują, przy awanturach domowych i na ulicy. A potem złożyła wniosek o przeniesienie do mojego wydziału.
- Rozumiem, że złożyła też drugi, skoro teraz trafiła do nas?
- Niezupełnie. Jej ojciec, po starej znajomości, znów uruchomił swoje kontakty. Nie na rękę mu, że jedynaczka gania za bandytami, i liczy, że tym razem odpuści i da sobie spokój.
- Żartujesz? – Miśka spojrzała na kolegę z niedowierzaniem. – On ma aż takie wpływy?
- Wiesz, jak to jest, raz ty komuś zrobisz przysługę, raz on tobie, układy i takie tam. – Bruno przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.
- I to ja mam być tą wredną, która ją ostatecznie zniechęci?
- Przyznasz, że jesteś szorstka i brakuje ci taktu – rzucił, a jego policzki zadrżały od powstrzymanego śmiechu. – Na pewno nie głaszciesz Zośki po głowie.
- Jestem surowa, ale sprawiedliwa – odparła Miśka, czując rosnącą w szybkim tempie irytację. – Chyba was wszystkich popieprzyło, cholerni

szowiniści, może jeszcze zakłady robicie, kto kogo przetrzyma? I ciekawe, co powiedziałyby młoda?

– Obiecałaś dyskrecję.

– Słuchaj, Zawisłak, ruda jest trochę nieopierzona, fakt, ale każdy kiedyś zaczynał. Jest również kumata i pełna entuzjazmu. Ja na pewno nie przyłożę ręki do tego, że stary Maciejka chce własnej córce układać życie. Wkurzają mnie tacy faceci. – Pomyślała przez chwilę o swoim byłym mężu. – Wróćmy do kradzieży – zaproponowała, z trudem hamując chęć rzucenia kilku przekleństw, które cisnęły jej się na usta. – Co robisz taką minę? – Zmarszczyła czoło, patrząc na twarz kolegi, który wyraźnie się zmieszał i zerkał gdzieś ponad jej ramieniem. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła Zosię stojącą nieopodal. Dziewczyna poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Potem zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i tyle ją widzieli. – Szlag jasny! – rzuciła Czaplińska ze złością. – Dużo usłyszała?

– Nie wiem.

– Trzeba było dać jakiś znak.

– Przecież mrugałem.

– Mrugałeś? – Miśka uniosła brew. – Dobrze, wróćmy do kradzieży, bo robota czeka i sama się nie robi.

– W sumie to nie mam już za wiele do powiedzenia w tej sprawie. Teczka poszła na półkę i później drążyłem temat sam, z doskoku, jak miałem trochę czasu. – Bruno zdusił niedopalek.

– Coś jeszcze zdołałeś ustalić?

– Tak. W pewnym momencie zacząłem szukać czegoś, co łączy te kradzieże, brałem pod uwagę wszystko, włącznie z pogodą i porą roku, nawet rzeczy najbardziej absurdalne. Pamiętałem też, że złodziej lub złodziejka to osoby sprawne fizycznie, potrafią się wspinać i stosują sprytne sztuczki, żeby sforsować zabezpieczenia. Stopniowo zawężyłem obszar poszukiwań i w pewnym momencie dotarło do mnie, że za każdym razem,

gdy zdarzyła się kradzież w jakimś w mieście, stacjonował tam Cyrk Oliviera.

– Co ty powiesz?

– No właśnie. Ale nie miałem żadnych dowodów, żadnego punktu zaczepienia, nic, czego mógłbym użyć, żeby nakłonić starego do odkurzenia akt.

– Czekaj, czekaj – zreflektowała się Michalina. – Mówiłeś, że ostatnia kradzież była dwa lata temu?

– Pasująca do schematu, tak. Tyle tylko, że wydarzyła się w terenie, to znaczy na parkingu, a nie w wyniku włamania.

– Ciekawe, ciekawe. – Policjantka potarła czoło. – Jeszcze coś?

– Nic.

– Dobra, w takim razie idę do siebie, ogarnąć trochę papierów – rzuciła po namyśle. – Dzięki. – Podniosła rękę w pożegnalnym geście.

Wczoraj podczas przedstawienia w cyrku sierżant Maciejka, lustrując przez lornetkę widownię, zauważyła wśród publiczności Różańską. Dwie minuty później dostrzegła twarz Bielewicza, zwróconą w stronę Nadii. Po wyjściu na zewnątrz widziała, że dziewczynę zatrzymał starszy mężczyzna, a gdy miała już odejść, w ciemnościach zamajaczyła postać Igora, który, sądząc po zachowaniu, czekał, aż tamtych dwoje skończy rozmowę. Zaciekawiona Maciejka również postanowiła sprawdzić, co dalej się wydarzy, i stała się świadkiem burzliwej wymiany zdań. To, że spotkaniu towarzyszyły silne emocje, wywnioskowała z mowy ciała: ustawienia sylwetek, pochylenia głów i gestykulacji. Wiele by dała, by usłyszeć, o czym rozmawiają dawni sceniczni partnerzy, zwłaszcza że w pewnym momencie Nadia odbiegła z płaczem w stronę ulicy, nie zważając na wołanie Igora.

Zainteresowanie zdarzeniem towarzyszyło Maciejce jeszcze następnego ranka w drodze do pracy, do chwili, gdy uświadomiła sobie, że nie jest przygotowana do narady. Natychmiast zaczęła w myślach porządkować

fakty, a gdy dochodziła do komendy, zauważyła Michalinę i Zawiślaka, którzy stojąc ukryci przed wiatrem, palili i z zapalem konwersowali. Zosia ucieszyła się na ich widok i podeszła bliżej. Wtedy dotarło do niej, że to ona jest tematem owej rozmowy. Zszokowana, nie była w stanie się ruszyć do momentu, gdy Bruno ją zauważył, a w ślad za nim Miśka. Zosia chciała spytać, czy prawdą jest to, co usłyszała, ale nie zdołała wykrztusić słowa. Odwróciła się więc na pięcie i odeszła.

W pokoju zdjęła kurtkę i chciała zadzwonić do ojca, jednak zrezygnowała po chwili namysłu. Takich spraw nie załatwia się przez telefon, pomyślała i zrobiła kilka oddechów, żeby wyciszyć emocje. Michalina zastała ją przy biurku, wertującą akta sprawy.

– Cześć, jak kamery? – spytała na powitanie. – Udało się czy nie?

– Było tak, jak mówiłaś – odparła młoda sierżant, unikając jej wzroku. – Żadna z nich nie obejmuje zasięgiem hotelu, nie mówiąc już o wyższych piętrach. Na biurku masz portret pamięciowy domniemanego sprawcy, już wysłałam go do wszystkich patroli i korporacji taksówkarskich.

– Świetnie. – Czapła skrzyżowała przedramiona na piersi. – Słuchaj, Zośka, co do tamtej rozmowy z Zawiślakiem...

– Nie chcę o tym gadać, okej? – Maciejka zamrugowała, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Jeszcze tego brakuje, żeby rozplakała się w obecności Miśki. Wtedy już na pewno wszyscy uznają, że kompletnie nie nadaje się do tej roboty. – Mówiłaś, że powinniśmy zebrać to, co już mamy.

– Fakt – odparła Michalina po chwili zastanowienia. – Czasu jest coraz mniej.

– Powiedziałaś wczoraj, że to ktoś z branży – przypomniała Zosia, wyjmując z plecaka notes i długopis. Wciągnęła powietrze do płuc i poczuła, że odzyskuje panowanie nad sobą.

– Tak. Uważam, że napadu dokonał lub go zlecił ktoś, kto jest blisko jubilerów, ale nie laik, tylko ktoś, kto ma rozeznanie w tym środowisku. A dlaczego? – Zawiesiła wzrok na twarzy Maciejki. – Ponieważ sama kradzież nie wystarczy, trzeba jeszcze wiedzieć, co z tym fantem zrobić. Przypuszczam, że złodziej chce spieniężyć diamenty, więc musi mieć

dojście do podziemia i na tyle się orientować, co i jak, żeby nie dać się oszukać. Nikt o zdrowych zmysłach nie wpadłby na pomysł, że Sadej będzie podróżować z diamentami wartymi kilka milionów. – Miśka splotła dłonie na karku. – Dlatego sądzę, że sprawcą lub zleceniodawcą jest ktoś, kto o tym wiedział.

– Myślisz, że to jedna z osób, które już przesłuchaliśmy? – Zosia włączyła czajnik. – Właściciele i pracownicy „Alice Diamonds”?

– Tak właśnie uważam. – W głosie Czapli zabrzmiała pewność. – Pozostaje kwestią do rozstrzygnięcia, czy złodziej działał samodzielnie, czy we współpracy z kimś innym.

Zosia pozazdrościła Miśce pewności siebie. Ona sama nie odważyłaby się na takie radykalne twierdzenia. Podczas szkoleń i kursów wbijano jej do głowy, że skupienie się na jedynym możliwym rozwiązaniu wyzwała skłonność do odrzucania danych, które nie pasują do tezy, a które mogłyby wytyczyć alternatywną ścieżkę poszukiwań. Być może Czaplińska miała rację, ale mogła również się mylić, a wtedy czas działał na ich niekorzyść i szansa, że dorwą sprawcę przed zakończeniem targów, malała do zera. Maciejka chciała podzielić się z nadkomisarz swoimi przemyśleniami, ale nie miała pomysłu co do osoby złodzieja i możliwego przebiegu zdarzeń. Westchnęła więc tylko bezgłośnie i oparła pośladki o brzeg biurka.

– W takim razie trzeba jeszcze raz przeczytać zeznania świadków, może jest w nich coś, co przeoczyliśmy – zaproponowała. – A później poszukać więcej informacji na temat tych ludzi, niewygodnych faktów, sekretów, czegoś, czym niechętnie się dzielą.

– Uhm. – Michalina mruknęła zachęcająco.

– Po pierwsze Julian Obarski – kontynuowała Zosia. – Alicja Sadej sama przewoziła diamenty warte fortunę, podobno uparła się jak osioł. Jednak każdy normalny facet nie pozwoliłby, żeby kobieta podróżowała solo z kamieniami.

– Mnie też to zastanawia – zgodziła się Czaplińska. – Powiedział, że miał pilne spotkanie z klientem, którego nie mógł odwołać. Rzecz dotyczyła

dużych pieniędzy. – Urwała na dźwięk melodyjki. Zerknęła na wyświetlacz telefonu, uśmiechnęła się pod nosem i odrzuciła połączenie. – Mów dalej.

– Wizyta kontrahenta to dobry pretekst, wiarygodny i usprawiedliwiony.
– Zosia włożyła do kubka torebkę herbacianą, po czym zalała ją wrzątkiem.
– Może pogadać z tamtym człowiekiem i sprawdzić, jak naprawdę było z tą pilnością? – zaproponowała, spoglądając na Michalinę. – Szlag! – Gorąca ciecz przepełniła naczynie. Maciejka chwyciła swój notes, ratując go przed wilgocią, i pobiegła do łazienki przynieść papierowe ręczniki. Zdecydowanie to nie był jej szczęśliwy dzień. – Jeśli to on zorganizował napad, jaki miał motyw? – zastanawiała się głośno, wycierając mokry blat.
– Kasa? Wie, jak działa środowisko, ma kontakty tu i ówdzie, na pewno jest w stanie zorganizować przeszlifowanie diamentów. – Wrzuciła do kosza nasiąknięty wodą papier i znieruchomiała. – Ale jeśli tak, dlaczego najpierw je kupił dla Alicji? To się kupy nie trzyma. – Opadła na krzesło i zerknęła w stronę wibrującej komórki Czapli.

– Sprawdź go. – Michalina spojrzała na dzwoniący telefon i znów zignorowała próbę połączenia.

– Nie odbierzesz?

– Jak kocha, to poczeka – odparła. – Czułam, że tak będzie.

– Twój facet?

– Doktor Filip Rynkiewicz.

– Lekarz Kacpra? Nie dało się ukryć, że się znacie.

– Nikt nie próbował, ale to skomplikowany układ. Wróćmy na razie do sprawy. – Czaplińska przerzuciła kilka kartek w otwartym skoroszycie, a później podkreśliła coś długopisem. – Dobrze, ja spróbuję ustalić, czy Obarski nie ma problemów finansowych albo nałogów. Może przepuszcza forszę w kasynie i zadłużył się u mafii albo umiera na guza mózgu i potrzebuje gotówki na terapię alternatywną. – Chrząknęła.

– A może chodzi o oszustwo ubezpieczeniowe?

– Kto wie? Sprawdź, czy ubezpieczyli diamenty, a jeśli tak, gdzie i na ile.

– Okej. – Maciejka zrobiła w notesie krótką notatkę i postawiła wykrzyknik.

– W aktach jest nazwisko klienta, z którym partner pani Sadej miał się spotkać. Zadzwońię do kumpla z komendy w Gdyni i poproszę go o przesłuchanie tej osoby. Zobaczymy, co nam to da. A przy okazji utnę sobie pogawędkę na temat Obarskiego.

– Nie potrzebujemy nakazu, żeby zdobyć niektóre informacje? – spytała Zosia.

– Czas nas goni, niekiedy trzeba wykorzystywać inne źródła – odparła enigmatycznie Czapla. – Jak będzie potrzebny papier, wtedy pomyślimy. Teraz lećmy dalej.

– Dalej jest asystentka właścicieli salonu, Edyta Domecka. Nic na nią nie mamy, a w momencie napadu była w samolocie. – Maciejka przygryzła na chwilę końcówkę pisaka. – Pracuje od trzech lat w „Alice Diamonds”, szefostwo ma do niej zaufanie, jest kompetentna, zna swoją robotę, doksztalca się regularnie na koszt pracodawców. Gdy z nią rozmawialiśmy, odniosłam wrażenie, że jest wobec nich lojalna, nie chciała gadać na ich temat. – Zosia podkreśliła grubą kreską dane asystentki. – A może po prostu nie ma o czym mówić? Nie każdy ma sekrety.

– Każdy – zapewniła Michalina.

– Okej, jaki mogłaby mieć motyw? – Maciejka potarła czubek nosa. – Kasa? – Zmarszczyła brwi. – Może jeszcze sprawdzę jej cefałkę? Teraz mnóstwo ludzi ma profil na portalach, które pośredniczą w szukaniu zatrudnienia, założyłam na kilku z nich fikcyjne konto, żeby mieć dostęp do baz danych.

– Sprawdź. I przejrzyj media społecznościowe, tę kopalnię wiedzy o wszystkich i wszystkim.

– No to odhaczone. – Młoda policjantka dopisała dwa punkty na swojej liście i spojrzała na Czaplińską. – Zostaje Alicja Sadej. Zgodnie z zasadą, że najciemniej jest po latarni i nikt nie będzie podejrzewać kobiety z rozbitą głową. Ale wtedy znaczyłoby to, że zleciła napad anonimowo, na

przykład przez internet i nie powiedziała, że chodzi o nią, albo współdziałała ze sprawcą, który jej przyłożył, żeby odsunąć od niej podejrzania.

– Jest takie prawdopodobieństwo – zgodziła się Miśka. – I wyjaśniałoby, dlaczego upierała się bez sensu, żeby jechać do Warszawy sama, dzień wcześniej. – Zabębniła palcami o blat.

– Wyjście ze szpitala na własne żądanie też nie przemawia na jej korzyść. Jednego dnia obrywa, a drugiego...

– Właśnie. Tylko pozostaje kwestia motywu... Obarski kupił diamenty za swoje prywatne pieniądze, przecież nie za kasę firmową. – Oparła łokcie na biurku i pochyliła się w stronę młodszej koleżanki. – Może Alicja chciała opylić diamenty i...

– Czyli Różańską odpuściłaś? – spytała Zosia.

– Niezupełnie – odparła Michalina. – Chcę się przyjrzeć Cyrkowi Oliviera.

– Słucham? – Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Bruno na fajce opowiedział mi historię o niewyjaśnionych kradzieżach, dokonanych według tego samego schematu. Podobno pomagałaś przy tamtej sprawie.

– Rzeczywiście, Zawisłak miał teorię, że to ktoś z cyrku, ale ja tego nie kupuję – powiedziała Maciejka, a jej usta wygięły się w grymasie powątpiewania.

– Nie jest ona taka całkiem od rzeczy. Oni przyjeżdżają na dwa, trzy dni, złodziej idzie na łowy, wraca na przedstawienie, potem odjeżdżają i szukają wiatru w polu. Mają warunki fizyczne, różne sztuczki robią, wyciągają króliki z kapeluszy, piłują skrzynie z ludźmi w środku i inne takie.

– To iluzjoniści.

– Co? – Miśka zamrugała.

– To działka iluzjonistów. W Cyrku Oliviera nie występują magicy, tylko akrobaci i zonglerzy. I kłowni. Nawet zwierząt tam nie ma.

– Skąd wiesz?

– Że nie ma zwierząt?

– Nie, to wszystko.

– Znam ten cyrk i wiele innych, od lat interesuję się sztuką cyrkową. Kiedyś chciałam... – Zosia ugryzła się w język. Nie zamierzała opowiadać Czapli o niespełnionym marzeniu, storpedowanym przez rodziców.

– To nie zmienia faktu, że ktoś od nich może być złodziejem. Kto go będzie podejrzewać? Nikt. Powiedziałaś, że akrobaci?

– Tak.

– A więc są dobrzy we wspinaczce i skokach. Zamierzam się im przyjrzeć, wszystkim po kolei, a zwłaszcza tym, którzy dobrze fikają.

– Kradzież diamentów pani Sadej nie pasuje do schematu – zauważyła Maciejka, gotowa bronić cyrkowców do upadłego.

– Dlaczego tak uważasz?

– Podczas tamtych rabunków nigdy nie zaatakowano ludzi.

– Kiedyś musi być pierwszy raz. Złodziej się rozkręcił, stawka była wysoka... Jeszcze nie znam zawartości tamtych akt, ale idę o zakład, że w poprzednich przypadkach łup nie był tak spektakularny jak teraz.

– Uhm – przyznała Zosia. – To prawda. Tamta biżuteria miała mniejszą wartość, oczywiście w porównaniu do niebieskich diamentów, bo generalnie też kosztowała kupę kasy.

– Jeśli założymy przez chwilę, że to jednak nikt z „Alice Diamonds”, tylko ktoś z cyrku, złodziej żyje w poczuciu bezkarności i jego pewność siebie wzrasta z kolejną udaną kradzieżą. Rośnie też apetyt na więcej doznań.

– Równie dobrze to może być ktoś trzeci, zupełnie inna osoba, której nie bierzemy pod uwagę.

– I to możliwe. Mam tego świadomość.

– Dobra, idę do Zawiślaka po akta – zdecydowała Zosia.

– Jeszcze jedno – zatrzymała ją Czaplińska. – Bruno mówił, że kradzieże skończyły się dwa lata temu. Kiedy Nadia Różańska uległa wypadkowi? No właśnie.

ROZDZIAŁ 18

Nadia źle spała tej nocy. Sen, jak rozkołysane morze, cyklicznie zagarniał ją w swoje objęcia, by po kilkudziesięciu minutach odpłynąć i zostawić ją z szeroko otwartymi oczami, wpatrzoną w odsłonięte okno, które zajmowało połowę ściany i którego nie musiała zasłaniać. Dzięki temu, zasypiając, mogła patrzeć na rozgwieżdżone niebo i rozjaśnione światłem księżyca chmury, odnajdywać w kształtach obłoków zarysy przedmiotów, sylwetki zwierząt, kontury ludzkich twarzy. Ale nie tym razem. Minionej nocy niebo było ciemne, złowrogie, pozbawione jaśniejszych punktów. O szybę uderzały krople deszczu, a podmuchy wiatru powodowały wewnętrzne drżenie. A może przyczyną dygotu był nawracający, znajomy sen, w którym słyszała muzykę, widziała blask reflektorów i migotanie cekinów, fizycznie czuła w dłoniach drążek trapezu? Zaciskała na nim palce, wprawiała w ruch swoje ciało i szybowwała w powietrzu w stronę kogoś, kto wisiał głową w dół na huśtawce i wyciągał do niej ręce. Twarz tej osoby skrywała maska kłowna, przyciągająca wzrok czerwonoustym, szyderczym uśmiechem. Nadia chwyciła podane jej dłonie, a po chwili wyślizgiwała się z ich uchwytu i spadała w czeluść, budząc się z krzykiem, przerażona.

Nad ranem poddała się i wstała dwie godziny przed budzikiem, nastawionym z przyzwyczajenia, mimo że była jeszcze na urlopie. Wychodząc z sypialni, spojrzała na Leona, który, leżąc zwinięty na kocu, rzucił jej zaspane, pełne zdziwienia spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, co sądzi o pobudce przed świtem. Upewniwszy się, że zwierzak ani myśli wychodzić o tej porze z domu, poszła do łazienki. Stała pod strugami gorącej wody do czasu, aż przestała odczuwać chłód i dreszcze, które, niczym uderzenia prądu, boleśnie nią wstrząsały. Dopiero wtedy Nadia włożyła treningowy strój i przystąpiła do codziennych ćwiczeń. Najpierw

zrobiła dwie serie tych zaleconych przez rehabilitanta, a później zestaw figur akrobatycznych, które powtórzyła na przytwierdzonym do sufitu trapezie.

Była gotowa do treningu pod kopułą, wiedziała o tym od kilku tygodni, ale również zdawała sobie sprawę, że jednej bariery nie pokonana: nie zdoła wykonać skoku. Ostatni zakończył się dla niej tragicznie i nie sądziła, by dała radę znów poszybować w powietrzu z wiarą w sercu, że w odpowiednim momencie jej dłonie splecą się z rękami partnera. Skąd Igor o tym wiedział? – spytała samą siebie, splukując zmęczone wysiłkiem ciało pod prysznicem półtorej godziny później. Skąd wiedział, że rozdziera ją tęsknota, którą bezlitośnie tłumiała, wmawiając sobie, że prowadzi idealne życie? Skąd wiedział, że jest w stanie pokonać strach?

Zakręciła kran i owinęła się ręcznikiem. Z przedpokoju dobiegły ją szmery i popiskiwanie, które wskazywały na to, że Leon jest gotowy do przechadzki.

– Zaraz, piesku – powiedziała, gdy zwierzak wtargnął do łazienki po otwarciu drzwi i zaczął podskakiwać radośnie. – Tylko wysuszę włosy. – Z czułością podrapała go za uszami, śmiejąc się, gdy czarny, wilgotny psi nos dotknął jej policzka. Podeszła do okna i zobaczyła, że już nie pada, ale wiatr wciąż szarpie ogołoconymi częściowo gałęziami, pozbawiając ich reszty kolorowych liści.

Olivier wstał rano z uczuciem, że lada dzień zrzuci z siebie ciężar, który nosił przez prawie dwa lata i który utrudniał mu swobodne oddychanie. Już w momencie, gdy podjął decyzję, że powie Nadii, co wie, i przekaże jej dowód na prawdziwość swoich słów, poczuł się znacznie lepiej. Podczas pierwszego po wielu miesiącach śniadania, gdy nie musieli nigdzie się spieszyć z racji sezonowej przerwy od występów, Adamski powiedział żonie, że spotkał Nadię.

– Wczoraj? Po przedstawieniu? – Ręka Tamary, w której tkwiła filiżanka, zatrzymała się w połowie drogi do ust. – Dlaczego nie zaprosiłeś jej do nas? Tak bym chciała ją uściskać. – Spojrzała rozjaśnionymi oczami na męża. – Wiedziałam, że wreszcie przyjdzie.

– Był już późny wieczór, prawie dziesiąta, musieliśmy posprzątać, pozamykać. Zaprosiłem ją, żeby wpadła któregoś dnia, i bądź spokojna, że dopilnuję tego. – Olivier posłał jej uśmiech, a potem spoważniał. Ugryzł kęs pieczywa i żuł w milczeniu, rozmyślając nad swoją decyzją.

– Oli, jest coś jeszcze, prawda? – Tamara położyła rękę na dłoni męża. – Widzę to i czuję.

Zawsze wiedziała lepiej od innych. Dysponowała szóstym zmysłem, nie można było jej omamić ani zbyć.

– Zaprosiłem Nadię, ponieważ wiedziałem, że sprawię ci radość – powiedział, przełknąwszy. – Ale również dlatego, że chcę jej wszystko powiedzieć i dać pendrive’a.

– Oszalałeś?!

– Nie. Po prostu nie mogę dłużej milczeć, Tamaro, to musi się skończyć.

– W takim razie idź na policję.

– Teraz już za późno, będą zadawać pytania, oskarżą mnie o... Nie. Chcę dać to Nadii i niech ona zdecyduje.

– Chcesz zrzucić na nią odpowiedzialność – stwierdziła Adamska surowym tonem. – Nie sądzisz, że już wystarczająco dużo przeszła? A co, jeśli ona wszystko zgłosi? I powie, skąd wie? Historia zatoczy krąg i przyjdą do ciebie.

– Wiem. To było koszmarnie głupie, powinienem od razu wszystko ujawnić.

– Więc zniszcz pendrive’a i zapomnij. Nadia się pozbierała, z tego, co wiem, jest zdrowa, sprawna i pracuje. Cieszy się życiem. Dlaczego chcesz rozwalić jej spokój?

– Chodzi o sprawiedliwość. – Olivier wziął dzbanek, który stał na podgrzewaczu, i dolał sobie herbaty. – I chcę naprawić swój błąd. Moja

decyzja spowodowała... Sam nie wiem, może wtedy Igor zostałby z nami.

– Złudzenie. – W głosie Tamary zabrzmiała pewność. – Kochał Nadię, zrobiłby dla niej wszystko. – Kobieta urwała na dźwięk pukania w drzwi wozu. Małżonkowie wymienili zdziwione spojrzenia i Olivier wstał od stołu, żeby otworzyć.

– Dzień dobry, jestem z policji, nadkomisarz Czaplińska. – Kobieta pokazała odznakę. – Możemy porozmawiać?

– Hmm... Właśnie jemy śniadanie.

– O tej porze? – Policjantka zerknęła na zegarek z pomarańczową tarczą.

– Czy prawo tego zabrania? – Tamara stanęła obok męża.

– Nie – odparła śledcza z pogodną miną. – Mogę zostawić wezwanie na komendę, państwa wybór.

Olivier spojrzał na żonę, a ona, westchnąwszy, przewróciła oczami.

– Proszę.

– Jak często zmienia się kadra w cyrku? – zaczęła Czaplińska, gdy usiedli.

– Różnie – odparła Tamara. – To zależy.

– Od czego?

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę zrobić mały wstęp – powiedziała i zaproponowała kawę, na co policjantka przystała z nieukrywaną radością.

Olivier uniósł brwi, zaskoczony. Wyczuwalną przed chwilą wojowniczość żony zastąpiła chęć współpracy. Najwyraźniej Tamara uznała, że takim sposobem prędzej się dowiedzą, jakie wiatry przygnały nadkomisarz Czaplińską w ich skromne progi, niż wchodząc z nią na wojenną ścieżkę.

– Problem, z którym boryka się w obecnych czasach chyba każdy cyrk, to słabnące zainteresowanie pokazami – zaczęła Tamara. – Nasz magiczny świat ma silną konkurencję w postaci nowoczesnych mediów: telewizji, internetu... Coraz częściej brakuje kompletu na widowni, a tym samym spadają zarobki artystów i nasze, rzecz jasna. To sprawia, że między

cyrkami trwa rywalizacja, podkupywanie artystów o znanych nazwiskach i parę innych rzeczy. Do tego społeczeństwo coraz energiczniej protestuje przeciwko trzymaniu zwierząt w naszych przybytkach i wykorzystywaniu ich do pokazów. Gdy cyrk przyjeżdża do miasta, ludzie organizują pikietę i próbują zablokować rozstawienie namiotu. – Tamara upiła łyk kawy i uzupełniła filiżankę Czaplińskiej.

– Państwa też dotyczą te problemy? – spytała nadkomisarz. – Słyszałam, że nie trzymacie czworonogów u siebie. – Powiodła spojrzeniem po twarzach małżonków.

– To prawda. – Olivier odzyskał spokój i postanowił wziąć udział w rozmowie. – Zresztą od początku istnienia naszej działalności postawiliśmy wyłącznie na pracę ludzi i teraz, dzięki takiemu podejściu, możemy występować tam, gdzie nie przyjmują innych. – Zrobił wdech i wydech. – Co oczywiście nie przysparza nam sympatii u konkurencji. Próbowano nam odebrać paru artystów, ale bez efektu.

– Owszem – potwierdziła Tamara. – W obliczu trudności, z jakimi boryka się branża, ludzie wolą być tam, gdzie im dobrze i gdzie jest większa szansa na pracę. Ale to nie wyczerpuje tematu.

– Tak?

– Widzi pani... – Kobieta obrysowała palcem brzeg filiżanki z kawą. – Moment, w którym ktoś zostaje przyjęty do zespołu, przypomina wejście do wieloosobowej rodziny. – Zawahała się na chwilę. – O, to jest sytuacja podobna do tej, gdy ktoś zawiera związek małżeński i jego druga połowa ma oprócz rodziców kilkoro rodzeństwa, gromadkę ciotek i wujków, a do tego babcie i dziadków. Członkowie ekipy dają sobie wsparcie, czują się odpowiedzialni za siebie nawzajem. Nie ma znaczenia, skąd pochodzą, ani to, jaki mają światopogląd i korzenie. Ważna jest ciężka praca, wytrwałość, umiejętności, zaufanie, szacunek i lojalność. Bez tego wszystkiego nie da rady zrobić dobrego przedstawienia i zapewnić bezpieczeństwa występującym.

– Rozumiem. – Czaplińska skinęła głową. – Gdzie tu jest odpowiedź na moje pytanie? – Uniosła brew.

– Ano w tym, że nasi ludzie odchodzą tylko wtedy, gdy wiek lub zdrowie stawiają im ograniczenia – powiedziała Tamara. – Jest mała rotacja. Na przykład kilka lat temu zrezygnowali Różańscy, ona tańczyła na linie, on żonglował. Założyli szkołę sztuki cyrkowej.

– W Warszawie – dokończył Adamski. – Nie ma też u nas ich córki, miała wypadek i spadła z wysokości. Przeżyła, ale już nie występuje.

– Jak pani powiedziała? Jak brzmi nazwisko tych ludzi?

– Różańscy – powtórzyła, zdziwiona. – A ich córka ma na imię Nadia.

– Wiem. – Policjantka przewróciła kilka kartek w notesie, a Tamara spojrzała na nią zdezorientowana.

– Wie pani?

– Tak. – Czaplińska wciąż wertowała zapiski. – Hmm, dobrze. – Podniosła oczy na właścicieli cyrku. – Czy ktoś jeszcze odszedł na emeryturę lub z innych powodów?

– Po wypadku Nadii zrezygnował z pracy również Igor Bielewicz, jej partner na scenie i w życiu, ale to naturalne, że chciał przy niej być.

– Przestał występować?

– Tak. Wszedł do spółki z Różańskimi i pracuje w ich firmie.

– Ach tak? – Nadkomisarz wbiła oczy w mężczyznę i znów coś zapisała w notatniku. – Czy zauważyli państwo, że komuś w zespole zaczęło się od pewnego czasu wyraźnie lepiej powodzić, ma więcej pieniędzy, kupuje drogie rzeczy?

Olivier mimowolnie parsknął śmiechem.

– Przepraszam – mruknął, próbując zapanować na wybuchem radości.

– Co pana tak bawi?

– Wie pani, jak żyją ludzie cyrku? Mieszkają w wozach, którymi przemieszczają się przez trzy czwarte roku, a ich odzież to stroje treningowe lub sceniczne. W normalnych ubraniach czasem kogoś widuję podczas przerwy zimowej, jeśli nie spędza czasu gdzieś w Polsce z rodziną. Niektórzy po latach dorobili się kawalerek. Nikt nie ma mercedesa ani diamentowej biżuterii.

– Dlaczego pan wspomniał o diamentach? – zaciekała się policjantka.

– Proszę? Chyba nie rozumiem.

– Powiedział pan coś o szlachetnych kamieniach.

– Tak po prostu. Pytała pani, czy komuś podniósł się poziom życia.

– Słyszeli państwo o napadzie na właścicielkę firmy jubilerskiej i kradzieży niebieskich diamentów? Przedwczoraj.

– Nie. – Olivier pokręcił głową.

– Ja słyszałam, mówili w telewizji – wtrąciła Tamara. – Dokąd prowadzi ta rozmowa? Chyba nie sugeruje pani, że napadu dokonał ktoś z naszej ekipy? Skąd taki pomysł?

– Proszę o listę nazwisk wszystkich linoskoków zatrudnianych przez państwa w ciągu ostatnich pięciu lat. – Czaplinska dopiła kawę i postawiła filiżankę na spodku. – I tych, no, akrobatów. Wszystkich, którzy potrafią się wspinać i skakać.

– Żartuje pani. – Olivier otworzył szeroko oczy.

– Nie. Przepraszam. – Wyjęła z kieszeni dzwoniącą komórkę. – Halo? Tak, wiem, że dzwoniłeś. Nie mogłam... Co takiego? Cholera!

Olivier zawisł spojrzeniem na twarzy policjantki, która słuchała w skupieniu swojego rozmówcy, rzucając co pewien czas „tak” i „rozumiem”, po czym dodała, że w takim razie przyjedzie, i zakończyła rozmowę.

– A więc proszę o listę – powtórzyła.

– Teraz? – Olivier miał nadzieję, że nieprzewidziane okoliczności, które najwyraźniej pojawiły się w życiu lub pracy nadkomisarz Czaplinskiej, sprawią, że śledcza pożegna się i wyjdzie.

– Tak. Poczekam, mam jeszcze trochę czasu. Państwo chyba też, zdaje się, że zaczęliście przerwę jesienno-zimową.

– Dobrze, muszę tylko wyjąć dokumentację – wtrąciła Tamara.

Olivier włożył rękę do kieszeni kamizelki i zacisnął palce na spoczywającym w niej pendrivie.

ROZDZIAŁ 19

Niewyczerpanym źródłem informacji na temat środowiska jubilerów była matka Zosi. Dlatego dziewczyna, gdy już ustaliła, że diamenty Alicji Sadej nie zostały ubezpieczone na wypadek kradzieży, zadzwoniła do rodzicielki i wprosiła się na drugie śniadanie. Jej decyzja została poprzedzona kilkuminutowymi rozważaniami, bowiem policjantka nie była pewna, czy zdoła ukryć przed Heleną emocje, które targały nią od chwili, gdy dowiedziała się o zakulisowych działaniach ojca. Piotr Maciejka zawsze uważał, że wie lepiej, co jest dobre dla jego córki, nie brał pod uwagę jej potrzeb, a pasje uważał za fanaberie. Ale tym razem przesadził i Zosia zamierzała mu o tym powiedzieć, gdy nadejdzie właściwy moment. Teraz jednak musiała skupić się za zadaniem, które wyznaczyła jej Czapla.

Pani Maciejka, uszczęśliwiona, że może porozmawiać na temat, który niezmiennie ją fascynował od lat, zgodziła się wesprzeć córkę swą wiedzą i przy tej okazji nakarmić. Kiedy Zosia weszła do rodzinnego domu, w powietrzu unosił się zapach świeżego chleba, znak, że mama specjalnie dla niej zeszła z obłoków na ziemię, by pójść do piekarni usytuowanej tuż za rogiem.

– Tylko wiesz, mamó – zastrzegła policjantka, pomagając Helenie przenieść z kuchni kubki z herbatą i talerze z kanapkami. – Nie mogę z tobą rozmawiać o śledztwie, więc...

– Dobrze, dobrze, nie zamierzam cię wypytywać. – Pani Maciejka usiadła po drugiej stronie stołu i oparła przedramiona na blacie. Po chwili upiła łyk gorącego napoju, sięgnęła po kromkę z pastą z jajka i uśmiechnęła się do córki. – Po prostu powiedz, co chcesz wiedzieć.

– Chodzi o niebieskie diamenty Alicji Sadej – zaczęła Zosia i ugryzła kawałek pieczywa z białym serem, papryką i sałatą. – Dowiedziałam się, że

kamienie nie były ubezpieczone, i jestem ciekawa dlaczego.

– Firmy ubezpieczeniowe w większości przypadków nie są zainteresowane współpracą z właścicielami salonów z biżuterią, jubilerzy nie są klientami z gatunku tych ulubionych i pożądanых.

– A to dlaczego? – zdziwiła się policjantka. – Przecież mają w ofercie ubezpieczenie na wypadek włamania, kradzieży i tak dalej.

– Za duże ryzyko – odpowiedziała Helena. – I liczne wymogi, które trzeba spełnić, kosztowne wymogi. Coś podobnego jak z polisą na życie. Najpierw sprawdzą, czy za dużo nie ryzykują. Poproszą cię o zrobienie badań, o jakich nigdy nie słyszałaś, że istnieją, a potem ocenią, czy im się opłaca cię ubezpieczyć. Ustalą, czy nie umrzesz za miesiąc na raka albo czy nie prowadzisz ryzykownego trybu życia i nie szukasz na siłę guza. Od ciebie oczekują idealnego stanu zdrowia, a od klientów obracających klejnotami, że uzbroją się po zęby jak najemnicy. – Umilkła, a po chwili podjęła wątek. – Wiesz, kraty, alarmy, drzwi antywłamaniowe, ludzie do ochrony i tak dalej. Im droższy towar w sklepie, tym większy nacisk w zakresie środków bezpieczeństwa. Często stawiają wymagania, na które tamci nie mogą sobie pozwolić, a nawet gdy się dogadają, miesięczne składki ubezpieczeniowe to rozbój w biały dzień. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Nie mówiąc już o tym, jak trudno później wyrwać od nich jakiegokolwiek pieniądze.

– Dlatego Alicja Sadej nie ubezpieczyła diamentów?

– Biorąc pod uwagę ich wartość, myślę, że nikt w Polsce by ich nie ubezpieczył.

– Rozumiem – powiedziała Zosia, przełknąwszy, i popiła herbatą, która już trochę wystygła. – Znasz ich, mamó? Właścicielei „Alice Diamonds”? – uściśliła.

– Tyle o ile. Obracamy się w tym samym środowisku.

– Słyszałaś coś ciekawego na ich temat?

– Masz na myśli plotki? – Helena uniosła brwi.

– Nie. Tak ogólnie, co się mówi o nich w branży – wyjaśniła córka. – To na pewno dość hermetyczne środowisko, jak każde, gdzie w grę wchodzi znawcy, specjaliści z jakiejś dziedziny.

– Czy są solidni? – upewniła się matka.

– Na przykład.

– Z tego, co wiem, płacą projektantom w terminie. Nie dotarły do mnie żadne informacje na temat nieuczciwości, a zwracam na to uwagę, ponieważ sama w przeszłości nacięłam się kilka razy na firemkach, od których miesiącami nie mogłam doprosić się zapłaty za wykonanie zlecenia. Wieści o nieuczciwości szybko się rozchodzą. Branża jubilerska to duże pieniądze, więc gdyby coś było nie tak z „Alice Diamonds”, myślę, że dotarłoby to do mnie prędzej czy później.

– No, dobrze. – Zosia przełknęła ostatni kęs kanapki. – A plotki? Podzielił się jakimś, jeśli są?

– Nic nie wiem. Obarski i Sadej pracują razem od lat i są parą też dosyć długo. Czasem pojawiają się na imprezach branżowych, wtedy ich zdjęcia trafiają do internetu, ale tylko w kontekście wydarzenia. Nigdy nie rzuciło mi się w oczy coś... Hmm, nietypowego. – Pani Maciejka potarła skórę między brwiami. – Robią wrażenie normalnej pary, nie kreują się na celebrytów, raczej chronią swoją prywatność. On jest szanowanym rzeczoznawcą, specjalistą od diamentów. Doradza przy inwestycjach, wycenia i pośredniczy przy zakupie kamieni.

– A wiesz coś na temat ich asystentki?

– Widziałam ją na zdjęciu w sieci, ktoś jej pstryknął fotkę przed wejściem do hali targowej, gdy przyjechała razem z Obarskim na drugi dzień po napadzie na panią Sadej.

– O, nie wiedziałam.

– To nic takiego, zdaje się, że dziennikarze ich dopadli – wyjaśniła Helena. – Kradzież kosztowności to niezły temat dla pismaków. Tak czy inaczej, nigdy nie spotkałam tej kobiety, ale wiesz, Zosiu, ona należy do

personelu salonu, nie jest na świeczniku, tak jak właściciele „Alice Diamonds”.

– Tak tylko spytałam. – Dziewczyna dopiła herbatę. – Dziękuję, mamuś, muszę lecieć dalej. – Poszła do przedpokoju i zdjęła z wieszaka kurtkę. – Zadzwoń. – Objęła Helenę za szyję.

– Mam nadzieję, że znajdziecie diamenty. – Pani Maciejka oddała uścisk, a potem przytrzymała córkę za ramiona. – Coś cię smuci, Zosiu?

– Nie, dlaczego? – Dziewczyna wytrzymała baczne spojrzenie matki.

– Obserwuję cię, odkąd przyszedłeś i...

Mogłam się tego spodziewać, pomyślała młoda sierżant. Jej twarz była jak otwarta księga z tekstem wydrukowanym dużą czcionką, emocje wyzierały z jej oczu, a usta wyginały się w grymasach.

– Usłyszałam dziś od kolegi, że... – Ściągnęła brwi. – Nie wiem, jak to powiedzieć... Że tata robi różne rzeczy za moimi plecami, żebym zrezygnowała z pracy w policji. – Zosia poczuła, że rośnie jej ciśnienie. – Mówiąc wprost, mam tego dosyć i zamierzam mu to powiedzieć, jak tylko będę miała okazję. Nie będę dłużej milczeć i żyć pod jego dyktando. – Umilkła, spostrzegłszy rumieniec wypływający w szybkim tempie na policzki Heleny. Na początku zdezorientowana, po chwili zdała sobie sprawę, w czym rzecz, klocki układanki zaczęły do siebie pasować. – Nie. – Cofnęła się odruchowo. – Nie mów, że to prawda. Mamuś?

– Może zdejmij kurtkę i usiądź jeszcze na moment – zaproponowała Helena.

– Muszę wracać do pracy – odparła Zosia, patrząc na zegarek. – I chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

– To ja go poprosiłam. Twojego ojca – wyznała Helena. – Nie mogę znieść myśli, że lata lecą, a ty marnujesz czas, biegając za jakąś patologią. Boję się o ciebie, narażasz się na niebezpieczeństwo, a mogłabyś obcować z pięknem. – Matce stanęły w oczach łzy. – Wszystkiego mogłabym cię nauczyć.

– A cyrk? – spytała Zosia, czując przenikliwy chłód, mimo że miała na sobie wierzchnią odzież. – Jak było z cyrkiem?

– To też z mojego powodu – przyznała Helena. – Mamy cię tylko jedną, umierałam ze strachu, że się uprzesz i... Tata obiecał mi, że zrobi, co tylko zdoła, żeby ten pomysł wybić ci z głowy jak najprędzej.

– Mamo... – Zosia ledwo mogła ruszać ustami. – A moje marzenia? Moje plany? Jakim prawem układacie mi życie? Tylko ja wiem, co jest dla mnie dobre! – podniosła głos. – Nikt, tylko ja. Ty się boisz, więc ja mam przestać robić to, co kocham? Tego chcesz? Nieważne, że będę nieszczęśliwa, istotne jest, że ty będziesz zadowolona, prawda?! – Drgnęła, usłyszawszy dźwięk domofonu. – Ojciec?

– Tak. Ma dziś wolne, był na mieście coś załatwić.

– Pójdę już, bo za chwilę się tutaj uduszę. – Zosia próbowała nabrać powietrza do płuc. – Nie mogę uwierzyć, że...

W progu stanął Piotr Maciejka.

– W co nie możesz uwierzyć?

– Że możecie być tacy okrutni, tato. Dziś dowiedziałam się, co robisz w pracy za moimi plecami, a teraz... – Machnęła ręką. – Muszę iść, ale powiem jedno: nikomu nie pozwolę wtrącać się w moje sprawy, nawet wam. Skończyłam dwadzieścia sześć lat, chcę żyć po swojemu, zbierać własne doświadczenia, nawet jeśli będzie bolało. – Spojrzała na Piotra. – W życiu tak się nie wstydziłam jak dziś, gdy usłyszałam o twoich konszachtach z naczelnikiem. Jak spojrzę ludziom w oczy? Może pół komendy śmieje się ze mnie albo z nas? – Wyszła na klatkę schodową. – To chore! – Zbiegła na parter, zanim matka lub ojciec zareagowali.

Godzinę później weszła do pokoju służbowego, który dzieliła z Czaplińską, i dopiero wtedy dała upust nagromadzonym łzom. Całe szczęście, że Michaliny jeszcze nie było; na myśl o tym, że Czapla byłaby świadkiem jej płaczu, Zosia wpadła w popłoch. Wytarła twarz i ciekący nos, a potem włączyła komputer i zalogowała się po kolei na trzech serwisach związanych z rynkiem pracy. Na jednym z nich znalazła profil Edyty Domeckiej. Przestudiowała jej krótki życiorys zawodowy i,

rozczarowana, że nie zawiera żadnych kluczowych dla sprawy faktów, wpisała dane asystentki do wyszukiwarki. Na szczycie listy otrzymanych wyników był link do konta na Facebooku. Pełna nadziei, Zosia zalogowała się na portalu, ale niestety, profil Domeckiej dostępny był tylko dla grona znajomych. Obejrzała więc oficjalną stronę dla fanów „Alice Diamonds”, a później próbowała odszukać profile Obarskiego i Sadej. Bezskutecznie.

– Okej – mruknęła do siebie i wzięła telefon. – Zobaczymy na Instagramie.

Kilkanaście minut zajęło jej znalezienie tej właściwej Edyty D., a później pozostało uzbroić się w cierpliwość. Domecka okazała się typem użytkownika, który fotografuje siebie we wszystkich możliwych okolicznościach i sytuacjach, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc, w których można zrobić zdjęcie, stojąc przed lustrem. Zosia westchnęła z bólem w sercu na myśl o tym, co ją czeka, jeśli nie stanie się cud, który pozwoli uniknąć studiowania kolekcji zdjęć z Edytą Domecką w roli głównej, po czym zaczęła przewijać ekran, czytając podpisy i komentarze przy wybranych fotografiach.

– Już jestem.

Głos Czaplińskiej zabrzmiał tak nagle, że Maciejce omal nie wypadł z ręki smartfon.

– Kurczę, nie słyszałam, jak weszłaś. – Odłożyła z ulgą aparat. – Właśnie siedzę na Instagramie asystentki i rzygam jej samouwielbieniem dalej, niż widzę.

– Masz coś? – Miśka postawiła na biurku dwa papierowe kubki z kawą, rzuciła kurtkę na jedno krzesło, usiadła na drugim. – Jedna twoja. Nie wiem, czy lubisz czarną i gorzką, w razie czego uzdatnij sobie.

– O, miło, że o mnie pomyślałaś. – Zosia poczuła wdzięczność i znów zapiekły ją oczy. Jeszcze tego brakuje, żeby ponownie zaczęła płakać jak dziecko. Pochyliła głowę nad komórką. – Co do zdjęć, jest ich od cholery, jeszcze nie skończyłam i oby to coś dało, bo na razie wszystkie w stylu: Domecka przodem, Domecka bokiem, fryzura, torebka, noga ugięta,

wypięty tyłek, rzut z góry na wydekoltowane cycki i tak dalej, i tak dalej. Czasem stół w knajpie, splecione dłonie albo drink z parasolką. A u ciebie?

– Gutkowski nie żyje – oświadczyła Czapla ponurym tonem.

– Nie żyje? – Zosia znieruchomiała z kubkiem w ręku. – Cholera! Jakim cudem? Przecież operacja się powiodła.

– W nocy wystąpiły niespodziewane komplikacje, reanimowali go, ale niestety. – Czapla rozłożyła ręce. – Filip... Doktor Rynkiewicz zadzwonił do mnie, gdy przesłuchiwałam właścicieli cyrku. Prosto od nich pojechałam do szpitala, żeby dopytać o szczegóły, ale tak czy inaczej, facet nie żyje.

– I co teraz?

– Nic. Robimy dalej to samo, tylko szukamy zabójcy. – Michalina zdjęła pokrywkę ze swojego kubka. – Dzwoniłam po drodze, żeby patrol zgarnął Różańską. Przesłuchamy ją na naszym terenie. – Spojrzała na zegarek. – Mam nadzieję, że zaraz będą.

– Ale po co?

– Zobaczysz. Pojawiły się nowe okoliczności. – Czapla upiła solidny łyk kawy, a później drugi. – Masz jeszcze jakieś wieści?

– Diamenty nie były ubezpieczone – odparła młoda policjantka i zrelacjonowała starszej koleżance treść rozmowy z matką.

– Hmm... Czyli ten wątek raczej wykluczony.

– Podpytałam ją o „Alice Diamonds”, właściciele mają dobrą opinię w środowisku i nie byli bohaterami żadnej afery. I tyle. Gdy wróciłam, zajęłam się Domecką. Na Facebooku ma profil niedostępny dla obcych, ale na Instagramie jest co oglądać. Jubilerzy mają tylko oficjalne profile salonu, prywatnie są nieobecni w mediach społecznościowych.

– W drodze do szpitala rozmawiałam z kolegą z Gdyni – odparła Czapla. – Poprosiłam, żeby zasięgnął języka na miejscu i przesłuchał klienta, z którym Obarski miał umówione spotkanie. Obiecał oddzwonić. Ustaliłam też, że nasz rzeczoznawca nie jest notowany, nigdy nie dostał nawet mandatu. – Michalina podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu. – Czaplinska, co tam? – rzuciła i podniosła do ust kubek. – Co? Dobrze,

dajcie ją do pokoju przesłuchań. Zaraz przyjdę. – Zakończyła połączenie i spojrzała na Zosię. – Jest już twoja ulubiona gwiazda cyrku.

ROZDZIAŁ 20

Nadia Różańska siedziała ze zgarbionymi plecami na krześle i skubała rękaw szarego swetra. Miała opuchnięte powieki i ślady łez na policzkach. Na widok policjantek z widocznym trudem przełknęła ślinę i zwilżyła czubkiem języka blade, wygięte w wyrazie smutku wargi. Wciągnęła powietrze do płuc, po czym zrobiła wydech i poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

– Dzień dobry. – Czaplińska usiadła naprzeciwko Nadii i zerknęła na Zośkę, która zatrzymała się przy drzwiach i dopiero po chwili zajęła miejsce obok starszej koleżanki. Od razu po powrocie zauważyła, że młoda płakała, ale postanowiła nie komentować tego faktu. Miała nadzieję, że przy okazji wizyty w domu rodzinnym dziewczyna wygarnęła porządnie Maciejkom, nawet jeśli potem musiała trochę odreagować. Miśka miała lepszy pomysł na rozluźnienie, ale na razie musiały przeczłogać Różańską. Na relaks przyjdzie czas później. – Chciałybyśmy jeszcze raz porozmawiać o napadzie w hotelu Pelikan, którego pani była świadkiem – zaczęła.

– Wszystko już powiedziałam – odparła Nadia, pociągając nosem.

– Pojawiły się nowe okoliczności – wyjaśniła Czaplińska i opowiedziała byłej artystce o wcześniejszych kradzieżach biżuterii. – Z naszych ustaleń wynika, że być może mamy do czynienia z tą samą osobą, ewentualnie dwiema osobami. Czy to nie dziwne, że za każdym razem w dniu dokonania rabunku w danym mieście stacjonował Cyrk Oliviera?

– Sugeruje pani, że to ktoś z moich dawnych kolegów? – Różańska uniosła brwi. – To absurd.

– Proszę spojrzeć. – Czaplińska, niezrażona, pokazała jej listę z nazwiskami. – Może coś się pani nasunie na myśl, może...

– Nie mam pojęcia, o co pani chodzi. Dwa lata temu miałam wypadek. Miesiącami walczyłam najpierw o życie, a później o zdrowie i sprawność. Od tamtego czasu nie występuję i nie utrzymuję kontaktu z ekipą.

– Otóż to! – zauważyła Michalina. – Kradzieże skończyły się właśnie dwa lata temu, po tym, jak oboje z Bielewiczem zrezygnowaliście z pracy w cyrku. Dwa lata przerwy i nagle mamy kolejny zuchwały rabunek, a pani znajduje się w centrum wydarzeń.

– Nie będę dłużej słuchać tych insynuacji. – Nadia wyprostowała plecy i przyłgnęła nimi do oparcia. – Jeśli mnie pani podejrzewa, proszę powiedzieć wprost, a ja wtedy skontaktuję się z jakimś prawnikiem. Jeśli nie, sugeruję zmienić obiekt zainteresowań. Ma pani coś jeszcze?

– Jedno pytanie. – Czapła świdrowała ją wzrokiem. – Czy to prawda, że Igor Bielewicz jest pani życiowym partnerem?

– Nie. Byliśmy parą przed wypadkiem.

– Z jakiego powodu państwo się rozstali?

– Nie muszę odpowiadać, ale zaspokoję pani ciekawość – odparła Nadia uszczypliwie. – Rzuciłam go, ponieważ nie wiedziałam, czy odzyskam pełną sprawność fizyczną. Nie chciałam być dla niego ciężarem, bałam się, że zostanie ze mną z litości. Wystarczy?

– Tak. Mam dla pani przykrą wiadomość – kontynuowała policjantka, zadowolona, jak zawsze, gdy zdołała doprowadzić przesłuchiwanego do granicy panowania nad sobą. – Kacper Gutkowski nie żyje.

– Wiem.

– Skąd pani wie? – zainteresowała się Miśka, zaskoczona.

– Pojechałam rano do szpitala, ponieważ wiedziałam, że przez telefon niczego się nie dowiem. Ten lekarz, z którym wtedy rozmawiałam... Rozmawialiśmy... Poznał mnie i powiedział, że to się stało w nocy, że nastąpiły jakieś komplikacje. – Nadia zacisnęła palce na pasku torebki. – Nie rozumiem, jak to możliwe, przecież operacja podobno się udała.

– Takie rzeczy się zdarzają. – Policjantka rozłożyła ręce w geście bezradności. – Jego stan był bardzo ciężki.

Po twarzy Różańskiej popłynęły łzy. Niepowstrzymywane, toczyły się po jej policzkach wielkimi kroplami, odbijały od podbródka i znikwały w szarości swetra. Michalina, czekając, aż kobieta da upust emocjom, poczuła coś na kształt współczucia.

– Przyjaźniła się pani z Gutkowskim? – spytała, gdy Nadia zaczęła spokojniej oddychać.

– To za dużo powiedziane, ale lubiliśmy się i często pracowaliśmy w parze na wysokości. – Z piersi Różańskiej wyrwało się jeszcze jedno bolesne westchnienie. – W takich sytuacjach powstaje więź, zaufanie do partnera, pojawia się bliskość. Ale nie byliśmy parą w sensie związku, chociaż...

– Chociaż? – podchwyciła Czapla.

– Miałam wrażenie, że Kacper liczył na coś więcej.

– Pani nie była zainteresowana?

– Nie.

– Kocha pani kogoś innego?

– Co to ma do rzeczy? – W oczach Różańskiej pojawił się błysk.

Na chwilę zapadła cisza i obie kobiety mierzyły się wrogim spojrzeniem.

– Czy w świetle tego, co się stało, chciałyby pani coś dodać do swoich wcześniejszych zeznań? – spytała Michalina. – Proszę dobrze pomyśleć, zanim pani odpowie na to pytanie.

– Co pani sugeruje?

– Myślę, że pani wie, kto dokonał tego napadu, a powód, dla którego ukrywa pani nazwisko sprawcy, który zabił Gutkowskiego, może być tylko jeden. – Czaplińska nie odrywała wzroku od twarzy Różańskiej.

– Nie rozumiem – wyjąkała Nadia, wycierając chustką ciekący nos.

– Od początku pani wiedziała, kto za tym stoi, i kryła złodzieja, a teraz i mordercę. – Michalina zaatakowała bez skrępowań. Czas naglił, więc nie zamierzała cackać się ze świadkami. – Mogę podciągnąć to pod utrudnianie wykonywania czynności i składanie fałszywych zeznań. Prokurator zatrze ręce z radości.

- Nie jestem pewna na sto procent. – Z ust Nadii wydobył się szept.
- Imię i nazwisko.
- Boję się, że to... – zaczęła i urwała.
- Imię i nazwisko tej osoby.
- Boję się, że to Igor. Igor Bielewicz.
- Dlaczego tak pani sądzi?
- Widziałam tatuaż sprawcy, na lewym nadgarstku. Mówiłam o tym policjantowi, z którym robiłam portret pamięciowy, narysowałam szkic. Gdy tamten facet złapał linę Kacpra, podwinął mu się rękaw i wtedy zobaczyłam tę runę.
- Runę?
- Taki symbol, runa Fehu.
- Coś jeszcze?
- Miał charakterystycję, ale widziałam tatuaż i... I nie znam nikogo, kto by się porwał na taki wyczyn, żeby z ósmego piętra zjechać na linie bez zabezpieczenia.
- Czyli nie rozpoznała pani jego twarzy?
- Nie. – Nadia się zmieszała. – Dlatego nie chciałam wcześniej mówić, nie byłam pewna, nadal nie jestem. Miałam nadzieję, że Kacper wyjdzie z tego, a teraz... – Potarła załamane oczy.
- Rozumiem. – Czaplínska skinęła głową. – Chciałaby pani dodać coś do swoich zeznań?
- Nie. – Nadia jeszcze bardziej ściągnęła skulone ramiona. – Tylko to. Mogę już iść?
- Tak. Koleżanka odprowadzi panią do wyjścia. – Miśka spojrzała na Zosię.

Prowadząc Różańską korytarzem w stronę schodów, Maciejka zerkała na nią spod oka, ale dopiero na dole, gdy miały się pożegnać, wyznała Nadii,

że była wielbicielką jej talentu i świadkiem wypadku przed dwoma laty.

– Bardzo mi przykro – dodała na zakończenie. – Wciąż mam nadzieję, i pewnie nie tylko ja, że wróci pani kiedyś do cyrku i znów będziemy mogli podziwiać te cudowne skoki i salta w pani wykonaniu.

Urwała, dochodząc do wniosku, że jej zachowanie jest pozbawione profesjonalizmu i właściwie powinna zostać odsunięta od śledztwa. To nie była sytuacja, która pozwalała na wybuchy emocji skierowane pod adresem osób, które Czaplińska uważała za podejrzane. Zosia zacisnęła usta, ale Nadia w tym samym momencie podniosła głowę i spojrzała na nią smutnymi oczami.

– Dziękuję, jest mi bardzo miło, że pani tak uważa – powiedziała. – Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze o mnie pamięta, cyrk to obecnie rzadko wybierana rozrywka.

– Może i tak, ale na pewno ponadczasowa – zaproponowała policjantka. – Wciąż trwa i ma fanów, mimo rozwoju technologii i licznych pokus. Naprawdę wierzę, że kiedyś pani wróci na arenę. Będę zaglądać na stronę Cyrku Oliviera.

– Dziękuję – powtórzyła Różańska, a jej twarz na chwilę rozjaśnił uśmiech. – Dla mnie to zamknięty rozdział, ale są tam inni wspaniali artyści. – Kobieta spojrzała na zegarek. – Przepraszam, jestem umówiona, więc...

– Oczywiście – zreflektowała się Maciejka. – Do widzenia.

Wróciła do pokoju dzielonego z Czaplińską i zastała Miśkę nad aktami, które zajmowały całą powierzchnię jej biurka.

– Co sądzisz o zeznaniach Różańskiej? – spytała nadkomisarz, omiatając dziewczynę wzrokiem. – Wyczuwam drugie dno, a ty?

– Nie wiem. – Zosia czuła się wewnętrznie rozdarta. – Nie za bardzo wierzę, że ci ludzie z cyrku mają coś wspólnego z tamtymi włamaniami i napadem na Alicję Sadej. – Skrzyżowała ramiona na piersi.

– To nie jest kwestia wiary – zauważyła Michalina. – Mamy szereg niewyjaśnionych kradzieży biżuterii, które łączy ten sam *modus operandi*

i obecność w danym mieście Cyrku Oliviera, zgodnie z tym, co ustalił Zawiaślak. I nagle, dwa lata temu wszystko się kończy. Ciekawe, prawda?

– Czy ja wiem? Może złodziej się nasycił i odpuścił.

– Albo okoliczności go zmusiły.

– Nie rozumiem. – Maciejka zmarszczyła brwi.

– Dwa lata temu Nadia Różańska miała wypadek, z którego cudem ocalała. Wtedy z pracy w cyrku zrezygnował Igor Bielewicz. Okazało się, że byli parą również w życiu prywatnym. Bielewicz wszedł do spółki z rodzicami Różańskiej i zaczął pracować w ich firmie, żeby być przy Nadii. Dowiedziałam się tego od właścicieli cyrku.

– Ach tak? – zdziwiła się Zosia. – Nie miałam pojęcia, jednak w dalszym ciągu nie rozumiem, jaki to ma związek.

– Po wypadku kradzieże się skończyły.

– Eee tam.

– Żeby dostać się do miejsc, w których dokonano rabunku, trzeba było wykazać się nie tyle zręcznymi palcami, co przede wszystkim sprawnością fizyczną, umiejętnością pracy z liną i tego typu rekwizytami. – Czapla wciągnęła powietrze do płuc, a potem zrobiła spokojny wydech. – Czy to nie dziwne, że napad na Alicję Sadej miał miejsce wtedy, gdy Nadia Różańska wróciła do formy? A ostatni tuż przed jej wypadkiem na trapezie? Sprawdziłam daty. – Miśka stuknęła długopisem w plik kartek.

– A który uważasz za ostatni?

– Ten, którego byłaś świadkiem i przy którym pracowałaś. – Czaplińska rzuciła jej spojrzenie z ukosa. – Napad na jubilera na parkingu przed halą, również podczas targów jubilerskich.

– Sprawca był jeden – zauważyła Maciejka. – Biegłam za nim i...

– I nagle zniknął między budynkami. – Czaplińska zajrzała do akt. – Tak zeznałaś.

– Tak było. Musiał znać teren, przejścia przez podwórka albo coś.

– Nadia mogła mu pomagać w ucieczce, przejąć po drodze łup, pomóc w charakteryzacji. To cyrkowcy, znają się na makijażu scenicznym.

– Okej, przyjmijmy, że była współniczką. – Zosia zaczęła spacerować po pokoju, pokonując krótki odcinek od drzwi do okna i z powrotem. – Doniosłaby na Bielewicza, ryzykując, że on w obronie własnej zrzuci winę na nią?

– Nie wiem, Maciejko, głośno myślę. Nie pasuje mi to wszystko. Uważam, że Różańska nie powiedziała nam całej prawdy, a jej wyznanie tylko częściowo wynika z powodu tego, że Gutkowski nie przeżył, a częściowo z pobudek osobistych.

– Załóżmy przez chwilę, że masz rację, że Igor i Nadia są złodziejami i kradli przez kilka lat, do czasu, aż wypadek Różańskiej stanął im na przeszkodzie. Jak chcesz im to udowodnić?

– Zacznę od przesłuchania Bielewicza. Na naszym terenie.

ROZDZIAŁ 21

Nadia minęła się z prawdą, mówiąc młodej, rudowłosej policjantce, że jest umówiona. Chciała skończyć rozmowę, której każde, pełne uwielbienia słowo raniło ją do żywego, dowodząc, że pancierz, którym się otoczyła, nie jest tak twardy, jak przypuszczała. Przez chwilę pożałowała, że wzięła krótki urlop i miała zbyt dużo czasu na myślenie. Teraz skupienie na ciężkiej, fizycznej pracy wpłynęłoby korzystnie na jej wewnętrzne rozedrganie, nad którym nie mogła zapanować.

Po wyjściu z komendy poszła w stronę placu Bankowego. Doszedłszy do skweru przed kinem Muranów, usiadła na ławce przed żeliwną fontanną z figurami trzech chłopców. Omiatając wzrokiem ustawione wokół jej trzonu postacie, walczyła z pokusą zaszyca się w ostatnim rzędzie siedzeń sali kinowej i oderwania się na kilka godzin od rzeczywistości. Do domu nie chciała jeszcze jechać, do rodziców tym bardziej nie, ponieważ mogła natknąć się na Igora. Zdecydowana, żeby spędzić trochę czasu w towarzystwie dziesiątej muzy, przypomniawszy sobie o zaproszeniu Oliviera oraz ich krótkiej rozmowie i niepokoju widocznym w zachowaniu mężczyzny. Dlaczego nie, miło będzie odwiedzić ludzi, którzy wciąż są dla niej jak rodzina, powspominać i sprawdzić, jak im się wiedzie, uznała i godzinę później wpadła w ciepłe ramiona Tamary. Najpierw została wyściskana, następnie zlustrowana uważnym wzrokiem, wreszcie usadzona na kanapie i poczęstowana gorącą pomidorową z ryżem.

– Jedz – poleciała żona Oliviera. – Później, przy herbacie, opowiesz nam, co u ciebie. Teraz rozgrzej się porządnie, bo cała dygoczesz, chociaż nie wiem dlaczego, bo jesień tego roku mamy naprawdę ciepłą, mimo deszczu.

– To chyba nerwy – stwierdziła Nadia i nabrała łyżką porcję smakowicie pachnącej zupy.

– Nerwy?

– Słyszeliście o napadzie w hotelu Pelikan? – spytała, przełknąwszy. – Byłam tam, gdy mój kolega z pracy został postrzelony na moich oczach i... – Nadii załamał się głos. – Dziś się dowiedziałam, że mimo operacji nie udało się go uratować.

– Wiemy o kradzieży. – Tamara usiadła obok niej przy stole. – Policja była u nas w tej sprawie.

– U was? – Różańska poczuła, że oczy jej się szeroko otwierają ze zdziwienia. – A co wy macie z tym wspólnego?

– Jedz – ponagliła starsza kobieta, a gdy Nadia posłusznie spełniła jej polecenie, odpowiedziała: – Podejrzewają, że to ktoś z artystów cyrkowych.

– Chodzi im o kogoś konkretnego? – Dziewczyna z trudem przełknęła jedzenie przez zaciśnięte z emocji gardło.

– Bielewicza.

– A więc jednak.

– Co masz na myśli? – Olivier pierwszy raz zabrał głos w rozmowie.

Nadia milczała przez chwilę, kończąc jeść, a gdy opróżniła talerz i podziękowała za posiłek, wyjaśniła:

– Ten mężczyzna miał taki sam tatuaż jak Igor i zrobił coś, na co zdobyłby się tylko wariat nie z tej ziemi, zjechał na linie z ósmego piętra, bez zabezpieczenia. Wcześniej strzelił do mojego kolegi, a później uczeplił się go, wiecie, owinał wokół niego nogi, ręce zaplątał w uprząż... Wiem, że to dziwnie brzmi, ale widziałam na własne oczy.

– Nie wierzę. – Tamara sprzątnęła naczynia i włączyła czajnik.

– Ale w co? Że to się zdarzyło? – Nadia spojrzała na nią zdezorientowana.

Adamska wsypała do dzbanka dwie łyżki herbacianych liści, przygotowała filiżanki, zaczęła kroić ciasto.

– Nie wierzę, że Igor mógł coś takiego zrobić – oświadczyła, układając kawałki sernika na paterze. – Może jest nadpobudliwy i życie go nie rozpieszczęło, ale, do licha, nie jest mordercą. – Kobieta podeszła z tacą do stołu i rozłożyła talerzyki deserowe. – Brakuje cię w naszej ekipie. –

Wróciła do aneksu kuchennego po herbatę. – Igora również. – Napełniła filiżanki i jedną podała Olivierowi, który siedział nieruchomo w fotelu, przysłuchując się rozmowie.

Nadia upiła łyk gorącego napoju.

– Ja też tęsknię, Tamaro – wykrztusiła. – Ale... To zamknięty rozdział. – Zaczerpnęła powietrza i spojrzała na Oliviera. – Chciałeś mi coś powiedzieć.

– Tak. – Mężczyzna wstał i sięgnął do kieszeni. – Popełniłem błąd i bardzo chcę go naprawić.

– Jaki błąd?

– Pamiętasz, że czasem nagrywam filmy z występów? Nie tylko akrobatów, ale i kłownów, żonglerów, linoskoczków...

– Pamiętam.

– Potem wykorzystuję fragmenty, żeby zmienić coś na naszej stronie internetowej, odświeżyć jej treść. Wiesz, jak to działa.

– Tak. – Nadia zwilżyła czubkiem języka nagle wyschnięte wargi i poczuła, że nie ma ochoty na wysłuchanie opowieści Oliviera, że gdy to nastąpi, wszystko się zmieni i już nie będzie odwrotu.

– Tamtego wieczoru też nagrywałem. Nie miałem dotąd sfilmowanego twojego potrójnego salta, a pękałem z dumy za każdym razem, gdy je robiłaś. Później, po wypadku, wiadomo, był szok, zamieszanie, przyjechało pogotowie. Zawiadomiłem też policję. Gdy na nich czekaliśmy, już po tym, jak zabrali cię do szpitala, podszedł do mnie Robert i spytał, czy kręciłem występ. Potwierdziłem, a wtedy on zasugerował, że lepiej nie pokazywać filmu, żeby nie zaszkodzić komuś z zespołu. Powiedział mniej więcej coś takiego: „Wiesz, jak jest, policja potrafi doszukać się nie wiadomo czego tam, gdzie nic nie ma, i ludziom kłopotu narobić. Wypadki się zdarzają, okropne, że padło na Nadię, ale byłoby tak samo, gdyby padło na kogokolwiek innego”. – Olivier napił się z filiżanki i obrzucił żonę przelotnym spojrzeniem. – Pomyślałem, że w sumie ma rację w tym, co mówi. – Ponownie wbił wzrok w Różańską. – Tobie nie pomożemy,

a oprócz ciebie na górze był on, Igor i pomocnicy, którzy rzucali trapez i pilnowali konstrukcji. Po co narażać ludzi na jeszcze większy stres? Dlatego gdy policja przyjechała, nie wspomniałem o nagraniu. Przesłuchali wszystkich i dali nam spokój. – Znow przerwał i wciągnął powietrze do płuc. – Dopiero kilka miesięcy później... Zadzwonili do mnie z telefonii komórkowej, że kończy mi się umowa. Chciałem zmienić telefon, bo wciąż się zawieszał, i któregoś dnia usiadłem z tym starym i zacząłem sprawdzać, co na nim mam, żeby czegoś nie stracić. Poprzednim razem zginęło mi wiele kontaktów, przepadły zdjęcia... Nagle, ni w pięć, ni w dziewięć przypomniała mi się kamera, wiesz, ta moja mała cyfrowa. Wydałem na nią sporo pieniędzy, ale zależało mi na dobrym sprzęcie, żeby kręcić to, co robicie na wysokości. Dotarło do mnie, że jest w niej film z tamtego wieczoru. Wtedy, w ferworze, zapomniałem go obejrzeć, a później już nie rejestrowałem żadnego występu. Ten fakt też sobie przy okazji uświadomiłem. Te dwa lata... – Olivier popatrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Oli? – Nadia czuła, że za chwilę usłyszy coś strasznego.

– Wyjąłem kamerę i obejrzałem wasz numer kilka razy. Miałem wrażenie, że coś mnie zmusza do tego, mimo że odczuwałem coraz większe przygnębienie. Na początku myślałem, że wszystko jest w porządku. Dopiero za którymś razem coś przestało mi pasować. Powiększyłem, zwolniłem tempo i znow zacząłem oglądać. Raz, drugi, trzeci. Im dłużej to robiłem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że... Że nie miałaś szansy.

Nadkomisarz Czaplińska stanęła po drugiej stronie lustra weneckiego i przez kwadrans obserwowała czekającego w pokoju przesłuchań Igora Bielewicza. Patrol przywiózł go pół godziny wcześniej, ale Michalina, mimo że każda minuta była na wagę złota, postanowiła dać mu trochę czasu na przemyślenie swojej sytuacji.

– Może już wystarczy? – spytała Maciejka, która zamierzała towarzyszyć koleżance podczas przesłuchania.

– Chodźmy – zdecydowała Czapla i wkrótce usiadła naprzeciwko artysty, wbijając w niego nieruchome spojrzenie.

– Co pan robił w czwartek rano, między ósmą a dziesiątą?

– W czwartek? – Mężczyzna zastanawiał się, błędząc wzrokiem po ścianie. – Byłem w domu.

Zosia drgnęła jak ukłuta szpilką. Dźwięk głosu Bielewicza wywołał napięcie w jej mięśniach. Zaskoczona reakcją ciała, w pierwszej chwili doszła do wniosku, że chodzi o emocje związane z przesłuchiwaniami kolejnej gwiazdy cyrku. Później jednak uznała, że to fałszywy trop. A zatem jaka była przyczyna drżenia, które opanowało jej organizm? Policjantka zawiesiła wzrok na twarzy akrobaty w nadziei, że znajdzie tam odpowiedź na swoje pytanie.

– Wziął pan urlop? – kontynuowała Miśka.

– Nie. O jedenastej miałem zajęcia warsztatowe w jednej ze szkół podstawowych – odpowiedział.

– Czego dotyczyły?

– Nauki żonglowania.

– Hę? – Michalina uniosła brwi. – Szkoły robią teraz takie zajęcia? Dzieciaki bawią się piłkami, zamiast siedzieć w ławkach i ćwiczyć ułamki?

– Żonglowanie przynosi wiele korzyści, między innymi rozwija zręczność, refleks, poprawia koordynację i zdolność skupienia, zwiększa cierpliwość... Mam dalej mówić?

– Która to szkoła?

– Na Ochocie.

– Proszę zapisać adres placówki. – Czapla podsunęła mu notes i długopis.

Zosia słuchała rozmowy z rosnącym niedowierzaniem. To niemożliwe, pomyślała w pewnym momencie, lustrując twarz mężczyzny, to przecież nie może być prawda.

– Proszę. – Bielewicz skreślił kilka słów. – Mogę wiedzieć, jaki jest cel tego przesłuchania?

– Co pan robił dzień wcześniej, w środę w południe? – Policjantka zignorowała jego prośbę.

– W środę w południe? – Igor potarł czoło i zerknął na wpatrzoną w niego Maciejkę. – Wracałem do domu z porannych zajęć dla dorosłych.

– Skąd?

– Ze szkoły Różańskich na Gocławiu. – Spojrzał jeszcze raz i Zosia ujrzała w jego oczach błysk. Spotkali się już, bez dwóch zdań, doznała olśnienia. Do zerwania pozostała jeszcze jedna zasłona, za którą kryła się odpowiedź na pytanie: gdzie.

– Jakim środkiem lokomocji?

– Czteryście jednaście do Politechniki i dalej metrem na Wierzbno.

– Nie korzystał pan z auta?

– Nie.

– Z jakiego powodu?

– Złamałem prawo?

– Dlaczego pan tak uważa?

Maciejka zauważyła, że ping-pong słowny z Czapłą zaczyna irytować Bielewicza. Jeszcze trochę i mężczyzna powie coś nieprzemyślanego albo wybuchnie.

– Tylko spytałem. Jakie ma znaczenie, czym wracałem z pracy?

– Słyszał pan o napadzie na właścicielkę firmy jubilerskiej? Sprawca ukradł jej karty dostępu do skarbca i wyniósł z targów biżuterii niebieskie diamenty warte trzy miliony dolarów.

– Chyba każdy słyszał. – Igor uniósł brew. – Media się postarały, żeby nikomu nie umknęła ta wiadomość.

– Niech pan sobie wyobrazi, że ta kradzież bardzo przypomina kilka innych z przeszłości, z tą różnicą, że pierwszy raz zaatakowano człowieka.

Tutaj nawet dwoje, ponieważ nie tylko kobieta została ranna, ale również pracownik firmy, która świadczy usługi mycia okien na wysokości.

– Wiem, o tym też mówiono w telewizji.

– O niewyjaśnionych kradzieżach?

– Nie, o postrzelonym mężczyźnie.

– No właśnie. Problem w tym, że on nie przeżył, zmarł mimo przeprowadzonej operacji. I wiele wskazuje na to, że tamtych kradzieży oraz tej, która miała miejsce w czwartek, dokonała ta sama osoba. – Czapła wbiła wzrok w Bielewicza.

– Po co pani mi to mówi? – spytał Igor.

– Żeby dokonać takich kradzieży, trzeba mieć, oprócz lepkich rąk, dużą sprawność fizyczną, większą, niż ma przeciętna wysportowana osoba. Rzekłabym, coś więcej niż sprawność, umiejętności wręcz akrobatyczne. Otóż proszę sobie wyobrazić, że we wszystkich przypadkach, które mam na myśli, wtedy gdy dokonano kradzieży, w danym mieście stacjonował Cyrk Oliviera.

– Co pani sugeruje? – spytał Bielewicz, a Zosia zauważyła, że pobladł na twarzy.

– Nic. Po prostu się zastanawiam. Bo wie pan, jeden raz, nawet dwa, to mógłby być zbieg okoliczności, ale nie siedem czy osiem, prawda? – zastanawiała się głośno, nie spuszczać oczu z Igora. – Mam tutaj listę nazwisk akrobatów i linoskokczków pracujących w ciągu ostatnich kilku lat w Cyrku Oliviera. – Czapła położyła przed Bielewiczem kartkę. – Proszę spojrzeć i zastanowić się, czy któraś z tych osób nie zaczęła nagle żyć ponad stan, kupiła sobie cenne rzeczy, mieszkanie, drogi samochód, coś innego?

– Nie pracuję tam od dwóch lat, skąd mam wiedzieć, kto...

– To są ludzie, których pan zna, z którymi spędzał wtedy dużo czasu – przerwała Czapła.

– Nie wiem.

– Słucham?

– Moja odpowiedź brzmi: nic nie wiem. Nie mam pojęcia na temat tego, o co pani pyta, ale widzę, że pani z kolei nie ma pojęcia o tym, jak żyją cyrkowcy. Prowadzą wędrowny tryb życia, mieszkają w urządzonych wozach. Od zasobności kieszeni zależy, co w nich jest, jednak w dalszym ciągu są to wozy, a nie dwustumetrowe mieszkania na osiedlach z ochroną.

– Czyli zaprzecza pan, jakoby wiedział coś na temat dokonywania kradzieży podczas stacjonowania cyrku w poszczególnych miastach?

– Zaprzeczam jak najbardziej. – Bielewicz przyłgął plecami do oparcia krzesła.

– Czy to prawda, że Nadia Różańska jest pana życiową partnerką?

– Nie.

– Nie? Słyszałam co innego.

– Ma pani nieaktualne informacje. Już nie jesteśmy parą.

– Z jakiego powodu państwo się rozstali?

– To nasza prywatna sprawa.

– Czy dlatego, że dowiedział się pan, że Różańska jest złodziejką klejnotów?

– Słucham? – Bielewicz parsknął śmiechem.

Zosia znów drgnęła. „Słucham? Przepraszam, ale to pani na mnie wpadła” – zabrzmiało w jej uszach. – „Słucham? Przepraszam, ale to pani na mnie wpadła”... „Słucham? Przepraszam, ale to pani na mnie wpadła”... Boże, to był on, dotarło do niej. Dwa lata temu na targach jubilerskich. Prawie ją staranował, nie chciał przeprosić, a później okradł jubilera na parkingu. Maciejka wciągnęła powietrze do płuc, próbując zapanować nad emocjami.

– Przepraszam, ale większej bzdury dawno nie słyszałem – odparł Igor, rozbawiony.

– Czy pan wie, że Nadia Różańska była na miejscu zdarzenia podczas napadu na właścicielkę salonu jubilerskiego? Że sprawca postrzelił jej kolegę z pracy i użył jego liny, żeby uciec? Czy to nie dziwne, biorąc pod uwagę, że również pracowała w Cyrku Oliviera?

– Ja swoje powiedziałem. Uważam, że podejrzewa pani niewłaściwą osobę. Znam Nadię i ręczę za jej uczciwość.

– To wręcz przeciwnie niż ona w przypadku pana – rzuciła Czaplińska, a na jej twarz wpłynął uśmiech pełen triumfu.

– Nie rozumiem. – Bielewicz zamrugał, zdezorientowany.

– Nadia Różańska jest przekonana, że to pan jest sprawcą wspomnianego napadu. – Policjantka otworzyła akta. – Mam tutaj jej zeznanie.

Igor wytrzeszczył oczy i wpatrywał się przez długą chwilę w śledczą. Później potrząsnął głową.

– Czy potrzebuję adwokata? – spytał.

– Jeszcze nie. Czy mogłabym zobaczyć pana lewy nadgarstek? – poprosiła Miśka.

– O co tu, do cholery, chodzi? – zirytował się mężczyzna.

– Sprawca miał wytatuowany w tym miejscu od wewnątrz symbol runy Fehu.

– Mam taki tatuaż. – Igor odsunął pasek od zegarka. – Czy to na tej podstawie jestem podejrzany?

– Na razie jeszcze nikt pana nie podejrzewa – powiedziała Czaplińska i wstała. – Dziś to wszystko, ale proszę nigdzie nie wyjeżdżać bez powiadomienia.

– Odprowadzę pana – zaproponowała Maciejka, starając się zachować spokój. Nie miała pojęcia, jak udowodnić Bielewiczowi, że to on był osobą, którą spotkała na targach jubilerskich dwa lata temu, że to on zwinął podręczny sejf z biżuterią i że to on zrobił ją na szaro, gdy próbowała go ścigać. Rozpoznanie głosu to za mało, zwłaszcza gdy nie miała materiału porównawczego.

Wróciwszy na górę, chciała powiedzieć Miśce o tym odkryciu, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język. Nie miała żadnych dowodów na pokrycie swoich słów. Postanowiła poczekać i zobaczyć, co wydarzy się później.

– Co robisz dziś po pracy? – spytała Czapla, gdy Maciejka usiadła przy komputerze.

– Nic, nie mam planów.

– W takim razie zapraszam cię na wino czy co tam lubisz wypić dla rozluźnienia. Znam fajne bistro niedaleko kina Atlantic, moja kumpela jest tam właścicielką.

– Że co? – spytała głupio Zosia. – To znaczy... Chętnie, dziękuję. Skąd ten pomysł, i to tak nagle?

– Pora na wieczór integracyjny – odparła Czaplińska. – Skoro mamy dalej razem pracować... – Wbiła surowe spojrzenie w Zosię. – Chyba nie zamierzasz rzucić roboty?

– Chodzi ci o mojego ojca? Nie.

– Słuszna decyzja. W takim razie trzeba to opić, trochę procentów dobrze ci zrobi – zdecydowała.

ROZDZIAŁ 22

Nadia wpatrywała się w Oliviera szeroko otwartymi oczami.

– Co to znaczy, że nie miałam szansy? – spytała. – Nie skoczyłam wystarczająco daleko? Rozwinęłam zbyt małą prędkość przed saltem? To mi chcesz powiedzieć?

– Nie. Wszystko zrobiłaś prawidłowo. On cię nie złapał.

– Kto? Robert?

– Tak.

– W takim razie on popełnił błąd, to masz na myśli? Za mało rozbijał huśtawkę?

– Nie.

– No to co, Oli, mów wreszcie, skoro zacząłeś ten temat.

– Robert... On odsunął rękę, przekręcił dłonie. Dlatego tylko otarliście się palcami.

– Sugerujesz, że on specjalnie to zrobił? – Nadia zamrugała.

– Tak. – Olivier położył przed nią na stole mały przedmiot.

– Co to jest? – Spojrzała zdziwiona.

– Pendrive z waszym numerem.

Nadia wzięła nośnik w kształcie klucza i obróciła go w dłoni kilka razy.

– Filmik?

– Tak – odparł Olivier. – Przepraszam, że zwlekałem tak długo. Byłem zszokowany, nie wiedziałem, co zrobić z tym odkryciem. Powiedziałem tylko Tamarze. Zastanawialiśmy się, czy iść z tym na policję, ale baliśmy się, że oskarżą nas o ukrywanie dowodów, że chroniliśmy Roberta albo jeszcze coś innego wymyślą. Przecież powinienem od razu zgłosić, że mamy nagranie wypadku mimo sugestii Wójcickiego.

– Takie są fakty – potwierdziła dotąd milcząca Adamska. – Uznałam, że już jest za późno, że na szczęście przeżyłaś, więc lepiej zostawić to tak, jak jest. Poza tym... – Kobieta zagryzła wargi. – Trudno mi przechodzą przez gardło takie słowa, gdy dotyczą kogoś, o kim myślałam, że świetnie go znam, ale... Jeśli założymy, że dobrze interpretujemy to, co się nagrało, mamy do czynienia z usiłowaniem zabójstwa.

– Co? – Nadii zabrakło powietrza. – Sugerujecie, że Robert chciał mnie zabić?

– Tak.

– Skąd wiedział, że przy upadku nie trafię w siatkę?

– Tego pewnie nie wiedział, mógł tylko liczyć na to, że przy pędzie potrzebnym do wykonania potrójnego salta będziesz zbyt wytrącona z równowagi, zgubisz środek ciężkości i...

– Nie wiem, co powiedzieć, co o tym myśleć. – Nadia przyłożyła dłonie do czoła. Poczowała pulsujące ciepło rozlewające się od głowy na ramiona i stopniowo ogarniające całe ciało aż do stóp. Odpięła dwa guziki swetra i próbowała zrobić głęboki wdech. – To... To przecież niemożliwe – wyjąkała po długiej chwili.

– Weź i sama oceń. – Olivier zamknął jej dłoń, na której leżał pendrive. – I zdecyduj, co dalej.

– Dobrze. – Schowała nośnik do torby i wstała. – Pójdę już. Wybaczcie, muszę pobyć sama i poukładać wszystko w głowie. Na razie jestem oszołomiona i chyba nie dowierzam. Dlaczego Robert miałby to zrobić? Lubiliśmy się, byliśmy przyjaciółmi.

Pytanie to natrętnie wracało do Nadii podczas drogi do domu, ale dziewczyna nie znalazła na nie odpowiedzi. W drzwiach przywitał ją, popiskując, Leon, i w tym momencie Różańska uświadomiła sobie, że pies zbyt długo był sam w domu. Wzięła smycz i wyprowadziła uszczęśliwionego zwierzaka. Spacerując alejkami osiedla, zdała sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy – że czworonóg zostanie z nią na stałe. Na myśl o śmierci Kacpra poczuła w gardle ucisk. Pies, jakby wyczuwając jej nastrój, natychmiast do niej podbiegł, niosąc w pysku piłkę znaną

w krzakach. Nadia poklepała go po boku, przyjęła ubrudzoną ziemią zabawkę i, ku radości zwierzęcia, rzuciła ją daleko na trawnik. Leon pognął przed siebie, a ona wznowiła spacer i dopiero godzinę później usiadła przy komputerze, by uruchomić nagranie z występu. Obejrzała krótki filmik kilka razy i z jednej strony wciąż nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła, a z drugiej dotarło do niej, że wiedziała o tym od początku, czuła to, była doświadczoną akrobatką. Nie popełniła błędu, skok był udany, salta wykonane co do sekundy. Patrząc na licznik czasu, upewniła się, że ma rację. To był ten brakujący element z jej snu. Moment pomiędzy skokiem a upadkiem, przysłonięty senną mgłą. Jej ciało stało się zimne jak kawałek lodu. Odeszła od komputera i wzięła długi, gorący prysznic, a potem włożyła bluzę i dzinsy. Poczwała, że zaraz się udusi. Musiała znów wyjść na powietrze. Teraz. Natychmiast.

– Chodź, Leon, pójdziemy na spacer. – Zdjęła kurtkę z wieszaka.

Psu nie trzeba było powtarzać dwa razy.

Nadia zbiegła po schodach, ignorując windę, a potem ruszyła między bloki. Chodziła w tę i z powrotem, bijąc się z myślami, aż wreszcie podjęła decyzję i wybrała numer z listy kontaktów.

– Igor?

– Nadia? – W jego głosie usłyszała zaskoczenie.

– Możesz do mnie przyjechać? Wiem, że już późno, ale...

– Co się stało?

– To nie na telefon – powiedziała.

– Będę za jakieś pół godziny, pasuje?

– Tak. Jestem na spacerze z Leonem. Chodzimy w pobliżu mojego bloku, na rogu Belgradzkiej i Rosoła.

– Z Leonem?

– Tak. Przyjedź, muszę ci coś pokazać.

Nadia schowała aparat do kieszeni i oparła się plecami o drzewo. Kilka godzin wcześniej zasugerowała policji, że Igor mógł być sprawcą napadu, teraz prosiła go o pomoc. Możliwe, że była uosobieniem niekonsekwencji,

ale nie chciała mieszać w sprawę rodziców, a koleżanek nie miała. Wcześniej przyjaźniła się tylko z ludźmi z cyrku, po wypadku zaś była długo skupiona na ratowaniu zdrowia. Brakowało czasu na zawieranie znajomości. W pracy nawiązała więź z Kacprem, ale teraz on nie żył. Został jej tylko Igor. Musiała obdarzyć zaufaniem kogoś, kogo podejrzewała o kradzież i zabójstwo. Kogoś, kto ją wielokrotnie zawiódł. Kogoś, kogo od dwóch lat próbowała wyrzucić ze swojego serca. W głowie miała mętlik, czuła się zagubiona i bezradna.

Igor zastanawiał się, czy nadkomisarz Czaplińska blefowała, czy naprawdę zdobyła dowody na poparcie swojej teorii. Wcześniej Bielewicz nie zastanawiał się nad napadem w hotelu. Interesował się zdarzeniem jedynie dlatego, że była tam wtedy Nadia. Pierwszy raz usłyszał, że jest podejrzewany o udział w zajściach w Pelikanie, podsłuchując rozmowę Różańskiej z rodzicami, ale nie potraktował słów dawnej partnerki poważnie. Wierzył, że sprawa zostanie wyjaśniona, a Nadia sama się przekona, że popełnia błąd.

Teraz pomyślał o kradzieży w innym kontekście. Jeśli policjantka się nie myli, możliwe, że on wie, kto był sprawcą kradzieży. Nie pasował mu, co prawda, motyw przemocy, której dopuścił się rabuś, ale wiedział też, że ludzie żyjący w poczuciu bezkarności lubią testować granice i sprawdzać, jak daleko mogą je przesuwać. Bielewicz postanowił zasięgnąć języka. Wciąż miał kontakty w diamentowym podziemiu, mógł popytać, ustalić, co i jak. A jeśli jego podejrzenia się potwierdzą, spróbować odzyskać kamienie i w ten sposób zadośćuczynić za swoje dawne postęпки.

O niespodziewanym spotkaniu z sierżant Maciejką, w której rozpoznał rudowłosą dziewczynę z targów jubilerskich sprzed dwóch lat, oraz o ewentualnych konsekwencjach tego, że on również został zdemaskowany, nie chciał na razie myśleć. Teraz interesowała go tylko Nadia. Był gotowy wdrzeć się siłą do jej mieszkania i zażądać, by patrząc mu w oczy, powtórzyła to, co zeznała policji. Po wyjściu z komendy postanowił do niej

zadzwoić, tylko najpierw dał sobie czas na ochłonięcie. Nie chciał z nią rozmawiać, kipiąc ze złości, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będzie później żałować. A gdy już zyskał przekonanie, że panuje nad sobą, ona zadzwoniła do niego.

Igor wiedział, że mężczyzna, który został postrzelony, nie był facetem Nadii. Żywił przekonanie, że Różańska nie związała się z nikim od czasu wypadku, ponieważ, zajęta rehabilitacją i wracaniem do normalnego życia, nie miałyby przestrzeni na budowanie nowego związku. Ile było w tym pewności, a ile nadziei, nie potrafił określić. Jednak bez wiary, że uczucie, które ich łączyło, wciąż się tli, i podobnie jak w dogasającym palenisku, tak i między nimi można jeszcze wzniecić ogień, nic nie miałyby dla niego sensu. Dlatego na dźwięk męskiego imienia Bielewicz poczuł ogarniającą go falę uczuć: od zaskoczenia, poprzez rozczarowanie aż do zazdrości spalającej serce i umysł. W drodze na Belgradzką wielokrotnie miał ochotę wziąć telefon, zadzwonić i powiedzieć, że coś mu stanęło na przeszkodzie. Wyobrażał sobie, że Nadia będzie na niego czekać, trzymając za rękę jakiegoś mężczyznę albo tamten będzie ją obejmował władcym gestem, demonstrując swoje prawa wszem i wobec. Wyświetlając w wyobraźni kolejne kadry prawdopodobnych zdarzeń, zaparkował przed blokiem, w którym mieszkała Różańska. Kiedy wysiadł z samochodu, od razu ją zobaczył. Stała sama i wodziła wzrokiem po okolicy. Wygląda na to, że sukinsyn gdzieś poszedł, pomyślał Igor i postanowił, że nie podda się tak łatwo, nie ustąpi bez walki pola przybłędzie, który nie ma pojęcia, jaka naprawdę jest Nadia, co lubi, czego pragnie, o czym śni.

– Cześć. – Gdy stanął naprzeciwko niej, ciężko wypracowany podczas jazdy spokój prysł jak bańka mydlana. Miał ochotę chwycić Nadię za ramiona i nią potrząsnąć, ale zobaczył, że z jej oczu wyziera strach. Z trudem powstrzymał emocje i wcisnął ręce do kieszeni.

– Cześć. – Zerknęła ponad jego ramieniem. – Dziękuję, że przyjechałeś, zaraz pójdziemy na górę, okej? Tylko muszę poczekać chwilę na Leona.

A więc będzie ich troje, jak nazwa zespołu, który święcił triumfy, gdy Igor chodził do szkoły podstawowej, a szybowanie pod kopułą namiotu

w obecności setek widzów pozostawało w sferze marzeń.

– Dobrze – mruknął.

– Jest wreszcie! – zawołała w tym samym momencie Nadia i pochyliła się, poklepując uda. – Leon, do mnie! – wydała polecenie, a Igor zamrugał, zdezorientowany. – Dobry piesek. – Wytarosiła zwierzaka, który dopadł jej nóg i kręcił się, podskakując, pełen psiej radości. Różańska przypięła mu smycz do obroży i spojrzała na Igora. – To jest właśnie Leon – powiedziała i ruszyła w stronę klatki schodowej. – Co masz taką minę? – spytała, gdy wsiedli do windy.

– Nie, nic. – Igor zagryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Na szczęście Nadia nie potrafiła czytać w myślach i dzięki temu on wydurnił się tylko sam przed sobą. – Nie miałem pojęcia, że masz psa.

– To zwierzak Kacpra, kolegi z pracy, który został postrzelony podczas napadu – wyjaśniła, a po jej policzku potoczyła się łza. – Wzięłam go do siebie do czasu, aż Kacper wyzdrowieje, ale teraz... – Jej głos się załamał. – On nie żyje, więc Leon zostanie ze mną.

Winda stanęła na dziesiątym piętrze i mogli wysiąść. Nadia otworzyła drzwi, a Leon dał susa w głąb mieszkania i, znacząc podłogę brudnymi łapami, przypadł do miski z wodą. Przy akompaniamencie chleptania zdjęli buty i kurtki pokryte wilgocią.

– Wiem od policji, że twój kolega nie przeżył – powiedział Igor. – Właśnie wracam z przesłuchania, na którym się dowiedziałem, że oskarżasz mnie o napad i zabójstwo. Nadia, do cholery, skąd ci to przyszło do głowy?

– Widziałam tatuaż – wyszeptała, przylegając plecami do ściany.

– To też już wiem od policji. – Przez jego twarz przebiegł grymas niechęci. – Jesteś niekonsekwentna, z jednej strony podejrzewasz mnie o najgorsze zbrodnie, a z drugiej dzwonisz i zapraszasz mnie do swojego domu. – Uniósł brew. – A co będzie, jeśli wypchnę cię przez okno albo zaaranżuję tutaj „nieszczęśliwy” wypadek, żeby cię uciszyć. – Spojrzał jej w oczy, ale tym razem nie zobaczył w nich strachu, tylko niedowierzanie. – No właśnie, sama uważasz, że to bez sensu. Czujesz w głębi duszy, że się mylisz, inaczej nie zadzwoniłabyś do mnie. – Oparł ręce na jej barkach. –

Coś ważnego się wydarzyło – bardziej stwierdził, niż zadał pytanie. – Na tyle ważnego, że uznałaś mnie za jedyną osobę, której możesz zaufać. – Rozejrzał się po przedpokoju. – Nikogo innego tu nie widzę.

– Już nie wiem, w co mam wierzyć, a w co nie – odparła i zrobiła wdech.

– Nadia, to nie ja, to nie mnie widziałaś. Przysięgam. Skąd ci to przyszło do głowy? – powtórzył.

– Masz ochotę na coś do picia? Może rozgrzewającą herbatę?

– Proszę.

– W takim razie rozgość się tam. – Machnęła ręką w stronę pokoju. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Igor zajrzał do pierwszego pomieszczenia i omiół spojrzeniem jego wnętrze. W środku stała nieduża sofa i dwa fotele, mały stolik ze szklanym blatem, pod którym była półka wypełniona czasopismami i kilkoma egzemplarzami książek. W głębi widniały niedomknięte drzwi harmonijkowe, dzięki czemu dostrzegł fragment łóżka z niedbale odrzuconą kołdrą. Ten widok go zaciekawił. Kto urządza salon i sypialnię w jednym pokoju, mając do dyspozycji drugi? Zdając sobie sprawę, że narusza prywatność Nadii, cofnął się i nacisnął klamkę następnych drzwi, a potem wstrzymał oddech na widok tego, co zobaczył. Wygląd wnętrza przywodził na myśl jedną z sal w szkole Różańskich. Oprócz drabinek, dużej piłki i materacy były tam również trapez, szarfa i lina, a także kilka innych przydatnych przyrządów.

– Nie zabłądziłeś przypadkiem?

Igor odwrócił się na dźwięk głosu za plecami. Nadia stała przed nim z nieodgadnioną miną i trzymała w rękach imbryk na podgrzewaczu.

– Przepraszam – powiedział i wziął od niej pękate naczynie. – Pomogę ci z tym. – Poszedł za nią do „salonosypialni” i usiadł na sofie. – Trenujesz w domu? – spytał, gdy Różańska zaczęła napełniać kubki.

– Tak. Codzienne ćwiczenia zawsze były elementem mojego życia, nie potrafiłabym bez nich żyć, nie ma znaczenia, że już nie występuję w cyrku.

– Wtedy gdy się spotkaliśmy po spektaklu, trochę poniosły mnie emocje, ale nie cofam tego, co powiedziałem. Powinnaś pomyśleć o powrocie, nie wierzę, że...

– Przestań, Igor. – Palce Nadii zacisnęły się na łyżeczce. – Nie dam rady, nie wyobrażam sobie, że mogłabym wypuścić z rąk drążek i skoczyć. A po tym, czego się dowiedziałam... Jak mogłabym komukolwiek zaufać? – W jej oczach znów błysnęły łzy.

– Czego się dowiedziałas? – Bielewicz ściągnął brwi. – Co się stało? O tym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Najpierw coś ci pokażę, zaczekaj chwilę.

Wyszła z pokoju i wróciła z włączonym laptopem. Usiadła obok Igora, a w ślad za nią na sofę wskoczył Leon i umościł się między nimi. Przyłgnął grzbietem do biodra Nadii, jemu zaś zarzucił łapy na udo. Różańska włączyła nagranie. Na początku Bielewicz nie mógł się zorientować, w czym rzecz, dopiero po kilkunastu kadrach zdał sobie sprawę, że to film nagrany podczas ich ostatniego występu. Napiął mięśnie, wiedząc, że nieuchronnie zbliża się chwila, gdy zobaczy, jak postronny widz, zapis tego, co się wtedy zdarzyło. A jednak wiedza, którą posiadał jako uczestnik pokazu, nie pomogła mu, gdy na ekranie zobaczył Nadię: jej ręce na próżno wyciągnięte w stronę dłoni Roberta, wyraz jej twarzy, gdy zdała sobie sprawę, że spada. Świadomość i pamięć wypadku nie zapobiegły uczuciu fizycznego bólu, który poraził go, gdy ciało Nadii uderzyło o ramę siatki, odbiło się i spadło na arenę. Igorowi zabrakło w płucach powietrza. Przycisnął plecy do oparcia fotela i zrobił głęboki wdech.

– Jasna cholera, Nadia, skąd to masz? – Ledwo mógł mówić.

– Później ci powiem – odparła i położyła rękę na jego dłoni. – Okropne wrażenie, kiedy się to ogląda z boku, prawda?

– Okropne? Łagodnie powiedziane, zwłaszcza gdy dotyczy zdarzenia, w którym brało się udział i bliskiej osoby, którą...

– Proszę, skup się teraz. Czy jesteś w stanie obejrzeć to jeszcze raz?

– Jestem, ale dlaczego?

– Proszę – powtórzyła.

– Okej. – Igor uruchomił nagranie i przeszedł przez wszystkie etapy występu. – Już.

– I co? – spytała Nadia z napięciem w głosie.

– Miałem coś zauważyć? – zorientował się wreszcie. – Dlaczego nie powiesz mi wprost, o co chodzi, tylko bawisz się w zgaduj-zgadulę?

– Dlatego, że to bardzo delikatna sprawa i łatwo popełnić błąd.

– W porządku.

Igor, coraz bardziej zaintrygowany, dwukrotnie obejrzał filmik, a potem zwolnił jego bieg i powiększył obraz. Wtedy dopiero dostrzegł coś, co spowodowało ponowny skurcz mięśni. Wrócił do tego fragmentu, wbił wzrok w jeden punkt.

– Nie mogę bardziej powiększyć, bo ginie ostrość, ale... – Spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Robert... On odchylił dłonie. – Tak? O to ci chodzi?

Nadia skinęła głową.

– Cholera, nie wiem, co powiedzieć. – Bielewicz zaczął spacerować po pokoju, a później stanął przy oknie i uderzył pięściami w parapet. – Ten skurwiel chciał cię skrzywdzić – wyrzucił z siebie po chwili. – Nie ma co owijać w bawełnę. Zrobił to specjalnie, może nawet liczył, że nie przeżyjesz upadku.

– Wiem i jestem tym przerażona. Nie wiem, co myśleć, nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie. Byliśmy przyjaciółmi, jak wszyscy w zespole. Jedna wielka rodzina. Miałam bezgraniczne zaufanie do każdej osoby, z którą pracowałam, bo bez tego, sam wiesz, nie ma dobrego spektaklu. Jak, twoim zdaniem, miałabym wrócić? Przecież on tam występuje. Mam robić układ z potencjalnym mordercą, który może chcieć dokończyć swojego dzieła? – Umilkła i również podeszła do okna. Stała obok Igora, patrząc w ciemność, a później zaciągnęła zasłony i odwróciła się do niego, opierając biodrem o parapet. – Nie wiem, co mam zrobić – powiedziała. – Nie rozumiem tego, co zobaczyłam, jestem w szoku. Jeszcze trzy dni temu żyłam sobie spokojnie i nagle wszystko się na mnie zważyło

w tym samym czasie: napad, postrzelenie Kacpra, teraz ten filmik. A do tego wrażenie, że napastnik z hotelu miał w sobie coś znajomego.

– Znajomego? – Igor poczuł przeszywający go dreszcz.

– Tak. Może coś w ruchach albo w spojrzeniu... – Nadia potarła miejsce między brwiami. – Dlatego w pierwszej chwili pomyślałam, że to ty. Później też. Miał taki sam tatuaż, był zwinny jak małpa i emanował bezczelnością. Potem dowiedziałam się, że ukradł niebieskie diamenty, o których ty zawsze marzyłeś. – Umilkła, żeby po chwili kontynuować wątek. – Przepraszam. Teraz dopiero do mnie dotarło, że oskarżyłam cię, ponieważ nie byłam w stanie ci wybaczyć. W głębi duszy nie wierzyłam, że mógłbyś zaatakować drugiego człowieka, ale odrzuciłam odczucia i skupiłam się na tym, co widziałam.

– Nadia...

– Nie, poczekaj. – Oparła dłoń na jego piersi. – To prawda, czasem tęsknię za cyrkiem tak bardzo, że odczuwam fizyczny ból. Ale strach, który czuję, jest równie silny jak tęsknota. Obwinałam cię o mój wypadek, myślałam, że byłam za mało skoncentrowana przez naszą kłótnię, że mnie oszukałeś, złamałeś obietnicę. Gdy dowiedziałam się, że Kacper umarł, zalały mnie emocje. Pomyślałam, że nie będę dłużej cię chronić. Chciałam, żebyś cierpiał tak jak ja, żebyś zrozumiał, że nie można bezkarnie krzywdzić innych. – Nadia odsunęła włosy z twarzy i szyi. – Gdy obejrzałam filmik, zdałam sobie sprawę, że wszystko zrobiłam dobrze, że byłam skupiona, a każdy ruch, skok czy salto wykonałam co do minuty, co do sekundy, że nie spadłam przez ciebie, z powodu kłótni. – Przygryzła dolną wargę. – Sprawca miał intensywnie niebieskie oczy, nigdy nie widziałam u nikogo takiego koloru. – Niespodziewanie się uśmiechnęła. – Jak te diamenty, które ukradł. Tak czy inaczej, barwa tęczęwek niespotykana, ale spojrzenie jakby znajome...

Igor miał ochotę przyciągnąć ją do siebie, otoczyć ramionami i pocałować tak, by zabrakło jej tchu, ale wiedział, że jest jeszcze za wcześnie na kolejny krok. To był dopiero początek drogi do pojednania, nie chciał czegoś zepsuć przez pośpiech i nieprzemyślany gest. Dlatego wrócił

na sofę pod pretekstem dolania sobie herbaty, a potem upił trochę z kubka i założył ręce na kark. Ostatnie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Nadii brakowało kilku elementów, żeby ułożyć pełny obraz, on dysponował wszystkimi. Przez chwilę wahał się, czy grać z nią w otwarte karty, ale postanowił postawić na szczerłość. W przeszłości kilkakrotnie ją oszukał. Jeśli chciał zawalczyć o ich związek, nie mógł zaczynać od kłamstw i niedomówień. Nabrał powietrza do płuc.

– Robert chciał cię uciszyć z mojego powodu – rzucił niespodziewanie i poczuł podobną ulgę, jak wtedy, gdy się okazało, że Leon jest psem, a nie rywalem do pokonania. – Pamiętasz naszą kłótnię przed występem?

– Oczywiście, dobrze wiesz, że pamiętam każde słowo.

– To była nasza wspólna bizuteria – oświadczył Igor. – Jego i moja.

– Jak to wasza? – Nadia wbiła w niego zaskoczone spojrzenie.

– Nie mogłem wtedy ci wyjaśnić, miałem za mało czasu, zaraz zaczynaliśmy pokaz, musieliśmy wracać do namiotu. Chciałem zrobić to po przedstawieniu, ale... Gdy wybiegłaś, grożąc, że zawiadomisz policję... – Igor urwał i cofnął się pamięcią do minionych zdarzeń.

Rok 2017

Na ustach Igora zawisły niewypowiedziane słowa. Najpierw Nadia nie dała mu dojść do głosu, a chwilę później przyszedł Wójcicki. Różańska odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami wozu, na schodach rozległ się tupot jej nóg.

– Co jest grane? – spytał Robert. – Powiedziałaś jej o nas? O tym, co robimy?

– Przyłapała mnie, gdy oglądałem bransoletę.

– No to, kurwa, brawo!

– Słuchaj, kończę z tym, już dawno powinienem to zrobić.

– Co ty pieprzysz, człowieku?

– Mówię ci, że kończę z tym. Nie dlatego, że Nadia mi grozi policją, tylko dlatego, że jej obiecałem i nie dotrzymałem słowa. Czuję się jak gówniarz przyłapany z ręką w cudzej kieszeni.

– Stary, jesteśmy przyjaciółmi i partnerami w biznesie, żadna kobieta nie powinna stać się powodem rozbicia męskiej przyjaźni.

– Robert, naszej przyjaźni nic nie zagraża, po prostu nie będę dłużej kraść. Zależy mi na Nadii, kocham ją i nie mogę budować związku na wiecznych kłamstwach, jasne? – Igor wbił wzrok w Wójcickiego. – Jak się zakochasz, zrozumiesz.

– Jestem zakochany.

– Masz kogoś? – wyjąkał Bielewicz, zaskoczony. – Nic mi nie powiedziałaś? Ktoś z cyrku?

– Nie, spoza środowiska. Jednak w przeciwieństwie do twojej dziewczyny, moja nie ma nic przeciwko temu, co robię. Zależy jej na godnym życiu i chce być bogata. To nic złego. Ma kontakty z różnymi ludźmi, już nam pomagała w przeszłości.

– Szkoda, że dopiero teraz się o tym dowiaduję.

– Ty też mi nie mówisz o wszystkich swoich znajomych.

– W porządku, nie chcę się kłócić. – Igor odzyskał równowagę. – W takim razie nie zostawiam cię samego, będziesz, że tak powiem, w dobrych rękach. Jestem ostatnią osobą, która mogłaby cię oceniać, ale kraść z tobą już nie będę. I nie mieszaj mnie do tego. Po występie zabierz bransoletę i całą resztę. Nadia powiedziała, że pójdzie na policję, jeśli to nie zniknie z naszego wozu.

– Wiem, darła się tak, że trudno było jej nie słyszeć.

– Czyżby? – Igor uniósł brew.

– Dobra, byłem już prawie pod waszymi drzwiami. Wcześniej zorientowałem się, że was nie ma za kulisami, i poszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku – odparł Robert.

Igor spojrzał na zegarek.

– Musimy iść, bo Olivier będzie szalał. Później pogadamy – zaproponował. – Źle, że Nadia wróciła do wozu, nikt z nas nie powinien denerwować się przed występem.

ROZDZIAŁ 23

Bielewicz opuścił ręce i spojrzał na Nadię.

– Byliśmy z Robertem partnerami, razem kradliśmy. Po rozmowie przed występem wróciliśmy do namiotu, Wójcicki wszedł na górę konstrukcji, a ja przyszedłem do ciebie za kulisy – dokończył swoją opowieść. – Zgodnie z ustaleniami.

– Pamiętam.

– Czułem, że jesteś zdenerwowana i próbowałaś się uspokoić. Miałem wyrzuty sumienia i później obwinałem siebie, że to wszystko przez moją głupotę, że byłaś rozproszona i źle oceniłaś prędkość, długość skoku, wychylenie trapezu. Nie przyszło mi do głowy, że on... że Robert postanowi... Uzna cię za takie zagrożenie, że zdobędzie się na złamanie wszelkich zasad. Zawsze mi się wydawało, że bez względu na okoliczności, kłótnie czy nieporozumienia w zespole... W końcu jesteśmy wszyscy ludźmi... Jednak naczelną wartością jest dla nas bezpieczeństwo i wzajemne zaufanie. Nigdy w życiu tak się nie pomyliłem. Nigdy też nie wróciliśmy do tematu. Odszedłem z cyrku i nasze kontakty się rozluźniły. Wygląda na to, że trzymał nas przy sobie jedynie złodziejski biznes, a ja myślałem, że to coś więcej, że mam prawdziwego przyjaciela, takiego na dobre i na złe.

– A co teraz myślisz?

– Nie wiem, Nadia, potrzebuję trochę czasu, żeby to spokojnie ogarnąć. Robert musi zapłacić za to, co zrobił tobie, mnie, twoim rodzicom, Oliemu i Tamarze... Przecież on chciał cię zabić. – Igor umilkł i przez długą chwilę siedzieli w ciszy, nim podjął wątek: – Wyślesz mi ten film w załączniku?

– Tak. – Różańska zalogowała się do swojej poczty elektronicznej. – Podaj adres – poprosiła.

– Nie zmienił się od tamtej pory, jeśli masz go jeszcze w kontaktach.

– Mam – rzuciła, przebijając palcami po klawiaturze.

– Od kogo dostałaś pendrive? – spytał, gdy odsunęła od siebie laptop.

– Od Oliviera.

– Wiedział o Wójcickim? – zdziwił się Igor.

– Nie od razu, ale gdy się zorientował, uznał, że już za późno, myślał, że policja oskarży go o ukrywanie dowodów.

– Pójdę już, muszę pomyśleć. – Kręcąc z niedowierzaniem głową, Bielewicz poszedł do przedpokoju. Gdy Nadia do niego dołączyła, położył dłonie na jej barkach. – Wiem, że jeszcze za wcześnie, żeby rozmawiać o nas.

– Tak.

– Ale wrócimy do tematu? Czy w świetle tego, czego się dowiedziałaś, jest o czym rozmawiać? A przede wszystkim, czy wierzysz mi, że to nie ja napadłem na tamtą kobietę i strzelałem do twojego kolegi?

– Tak – powtórzyła.

– To odpowiedź na które pytanie?

– Na każde. Tak, porozmawiamy. Tak, wierzę ci, a ty wiesz, kto to zrobił, prawda?

Igor wcisnął ręce do kieszeni i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

– Po wypadku, później, gdy czułaś się lepiej, próbowałem ci powiedzieć, że to ostatni raz, ale nie dopuszczałaś mnie do głosu, mówiłaś, że mam zniknąć z twojego życia. Gdy znów nie udało mi się z tobą pogadać, postanowiłem odpuścić i poczekać, aż opadną emocje, aż wyzdrowiejesz, aż... Sam już nie wiem, na co później czekałem. Może przestałem wierzyć, że to ma jakiś sens? Że jeszcze mnie kochasz? U mnie nic się nie zmieniło.

– Porozmawiamy, gdy wszystko się wyjaśni.

– Dobrze, poczekam.

Wyciągnął z rękawa szalik i włożył kurtkę. Nadia otworzyła drzwi i ściągnęła windę, a gdy metalowe drzwi się rozsunęły, poprosiła:

– Igor, nie rób głupstw. Wiesz, kto to zrobił – powtórzyła. – To Robert, prawda?

– Tak.

– Dlaczego tak uważasz?

– Zbyt wiele elementów do siebie pasuje.

– Nie rób niczego beze mnie. Proszę.

– Spróbuję – odparł z niechęcią, bowiem właśnie wybierał się na Bemowo, gdzie stacjonował Cyrk Oliviera, a nie chciał kłamać.

– To sprawa dla policji, trzeba jutro wszystko powiedzieć tym, co prowadzą śledztwo. Obiecuj.

– Obiecuję.

Skoro wymogła to na nim, nie wyciągnie Roberta z jego wozu i nie wybije mu zębów, ale chciał chociaż porozmawiać z Olivierem i Tamarą. To mógł zrobić bez obawy, że nie dotrzyma danego Nadii słowa. Obietnica dotyczyła tylko Wójcickiego.

Na placu panowały egipskie ciemności. Bielewicz podciągnął wyżej suwak kurtki i ruszył w kierunku wozu właścicieli cyrku. Kiedy mijał lokum Roberta, chcąc, nie chcąc zauważył światło w oknie. W chwili, gdy walczył z pokusą wtargnięcia do środka i zrobienia miazgi z dawnego kumpla, sącząca się przez zasłoniętą szybę jasna poświata zniknęła, a do uszu Igora dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Bielewicz cofnął się i ukrył w ciemnościach. Robert wyszedł z wozu, nucąc melodię z *Czarnoksiężnika z Oz*:

– *Somewhere over the rainbow, bluebirds fly / Birds fly over the rainbow / Why, then / Oh, why can't I?* ⁷ – zaśpiewał półgłosem, podnosząc kołnierz kurtki, i ruszył w stronę ulicy. Igor naciągnął czapkę na czoło i poszedł jego śladem. Wójcicki stanął przy krawężniku, rozejrzał się i wszedł do czekającej taksówki.

– Cholera! – Bielewicz wrócił w te pędy do swojego auta, zaparkowanego nieopodal. Uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Na szczęście godziny szczytu minęły, więc istniała szansa, że taksówka, którą

jechał Robert, nie zniknie w powodzi aut. Po kilku minutach Igor zorientował się, że zjeżdżają w stronę centrum. Taksówkarz prowadził spokojnie, nie szarżował, stawał przy zmianie świateł. Najwyraźniej pasażer go nie ponaglał. Bielewicz odetchnął głęboko i rozluźnił ciało. Po dwudziestu minutach zatrzymali się przed hotelem Pelikan. Wójcicki wysiadł z samochodu i podszedł do stojącej w drzwiach kobiety, objął ją i pocałował, a później razem wsiedli z powrotem do pojazdu.

– A więc to jest ukochana Roberta. – Igor wcisnął sprzęgło i przesunął dźwignię biegów.

Trzymał się blisko nich do momentu, gdy taksówka ponownie stanęła na poboczu, tym razem w pobliżu wejścia do restauracji. Bielewicz znalazł miejsce do zaparkowania, zlustrował swój wygląd i podążył za ludźmi, których obserwował. Wewnątrz znalazł miejsce przy barze, zamówił piwo bezalkoholowe i od niechcienia omiół spojrzeniem wnętrze sali. Wójcicki i jego partnerka siedzieli mniej więcej w środku pomieszczenia, otoczeni przez innych biesiadujących. Po złożeniu zamówienia pochylili ku sobie głowy, pograżając się w rozmowie. To był dobry moment na zrobienie zdjęcia. Igor wyjął smartfon i najpierw sfotografował swoją szklanekę z napojem. Później zrobił sobie selfie na tle ściany półek z alkoholami i sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. W lokalu grała zbyt głośno muzyka, którą goście, zajęci swoimi sprawami, próbowali przekrzyczeć, a między stolikami przemykali kelnerzy. Nikogo nie obchodził kolejny amator dokumentowania każdego fragmentu swojego życia, by zaktualizować status w mediach społecznościowych. Igor, uspokojony, ustawił od niechcienia aparat i zrobił kolejne zdjęcie, na którym uwiecznił twarz kobiety towarzyszącej Robertowi. Miał szczęście. Partnerka Wójcickiego akurat odchyliła się na oparcie krzesła i wzięła do ręki szklanekę z wodą. Nie odrywała rozkochanego spojrzenia od oblicza siedzącego naprzeciwko mężczyzny, nie zwróciła więc uwagi na wycelowany w jej kierunku smartfon. Później Igor schował telefon do kieszeni i spojrzał na barmana, ale ten zajęty był przygotowaniem kolejnego drinka. Bielewicz wypił piwo, zostawił kilka monet na blacie i ruszył do wyjścia. Usiadł

w samochodzie i czekał cierpliwie, aż obserwowana para skończy posiłek, a gdy wsiedli do zamówionej taksówki, znów pojechał za nimi.

Tym razem minęli hotel Pelikan i pojechali dalej, w stronę Wilanowa. Apartamentowiec, przed którym wysiedli, składał się z dwóch czternastopiętrowych brył, połączonych ze sobą przezroczystym przejściem, a bezpieczeństwa mieszkańców strzegła agencja ochrony. Robert i jego partnerka, obejmując się, poszli w stronę wejścia do pierwszego z budynków. Nikt poza nimi nie wszedł do środka, Igor nie zauważył też nikogo, kto wjeżdżałby do podziemnego garażu. Jeśli będzie miał szczęście i okna mieszkania, do którego szli, wychodzą na ulicę, zobaczy blask zapalnego światła. Bielewicz skanował skupionym wzrokiem wszystkie szyby. W momencie, gdy stracił nadzieję, na ostatnim piętrze rozbłysło jedno z okien. Chwilę później światło pojawiło się też w dwóch innych.

– Szlag by trafił! – mruknął Igor i wyjął z kieszeni smartfona.

Bliźniacza budowla była jedną z najbardziej okazałych inwestycji, jakie Bielewicz widział w Warszawie. Wpisał do wyszukiwarki nazwę i po chwili otrzymał kilkadziesiąt wyników, zawierających nie tylko szczegółowe opisy, ale również schemat wieżowców. Dzięki temu dowiedział się, że przezroczyste przejście służy do przemieszczania się z jednego budynku do drugiego, że apartamentowce mają siłownię i basen i że każdy z nich zbudowany jest na planie kwadratu, wewnątrz którego mieści się patio z placem zabaw dla dzieci i kącikami wypoczynkowymi dla dorosłych. To pozwalało mieszkańcom, jak informował inwestor, na odpoczynek w środku miasta, w cieniu drzew, w izolacji od zgiełku ulic, a ich dzieciom bezpieczną zabawę pod czujnym okiem rodziców. Mimowolnie Igor przypomniał sobie swoje zabawy z okresu dzieciństwa. Należał chyba do ostatniego pokolenia, które za młodu spędzało czas, wspinając się na drzewa, skacząc po hałdach piachu na kiepsko zabezpieczonych budowach czy snując się po dzikich, zarośniętych krzakami działkach. Nikomu nigdy nic się nie stało, za to wszyscy wracali brudni, uśmiechnięci i przyjemnie zmęczeni. To były radosne momenty w jego ponurym, dziecięcym życiu,

podczas których czuł się wolny i zapominał na kilka godzin o tonącym w oparach wódki domu.

Bielewicz odsunął od siebie wspomnienia i skupił się na wyświetlanych informacjach. W apartamentowcu wciąż można było kupić mieszkania o różnym metrażu i liczbie pokoi. Ich ceny przyprawiały o zawrót głowy. Jeśli kobieta rezydowała w hotelu, lokum należało do Roberta. Musiało mu się nieźle powodzić. Igor opuścił auto i poszedł w kierunku bloku. Przy wejściu drogę zagroził mu ochroniarz.

– Dobry wieczór, ja do Roberta Wójcickiego – rzucił Bielewicz, zerkając na zegarek.

– Numer mieszkania?

– Nie pamiętam. Wiem, które drzwi, ale numer?

– To pan się dowie i przyjdzie raz jeszcze. – Osilek zaczepił kciuki o pasek spodni.

– Zrobiłbym to, ale bateria w telefonie mi padła. Bądź pan człowiekiem, sprawę mam pilną.

– Dobra, pan zaczeka – mruknął mężczyzna i podszedł do komputera. Postukał w klawisze i wybrał numer w telefonie. – Imię i nazwisko? – spytał Igora.

– Jakub Zakrzewski – zmyślił Bielewicz na poczekaniu.

Ochroniarz rozmawiał przez chwilę przyciszonym głosem, a później rozłączył się i rzucił Igorowi groźne spojrzenie.

– Wypad stąd, bo wezwę policję – ostrzegł.

– Ale o co chodzi?

– Pan Wójcicki cię nie zna, więc albo wychodzisz po dobroci, albo dam ci kopa w dupę na rozpęd.

– Dobra, dobra, wyluzuj, człowieku. – Bielewicz podniósł dłonie na znak pokojowych zamiarów. – Nie, to nie. Tacy są ludzie, jak powąchają trochę forsy, zapominają o starych znajomych.

– Idź płakać gdzie indziej – doradził ochroniarz, wychodząc z powrotem zza swojego pulpitu. – Wypad, ale już.

Igor opuścił budynek i wrócił do auta. A więc Robert jest właścicielem luksusowego apartamentu, pomyślał znużony całodziennymi atrakcjami. To był długi dzień, pełen nieoczekiwanych wieści i zdarzeń. Bielewicz marzył, żeby położyć się spać.

NIEDZIELA

Czwarty dzień targów jubilerskich

ROZDZIAŁ 24

Sierżant Maciejka z trudem podniosła się rano z łóżka. Poprzedni wieczór, zgodnie z zapowiedzią, spędziła w towarzystwie Czapli.

Miśka zaprowadziła ją do pubu i zadbała, żeby dziewczyna rozluźniła się po pełnym emocji dniu. Rozmawiały o życiu i facetach, unikając wątków związanych z pracą.

– Określ granice swojego terytorium – doradziła Czaplińska Zosi, gdy dziewczyna poruszyła kwestię rodziców. – Jeśli tego nie robisz, inni ludzie chętnie cię w tym wyręczają, również bliscy. I wchodzą ci na głowę. Wiem coś o tym, miałam męża, który latami próbował mi dyktować, jak mam żyć.

– A doktor Rynkiewicz? Może wreszcie się z nim umówisz? – spytała Zosia z uśmiechem.

– Rynkiewicz to stary przyjaciel – odparła Czapla wymijająco, ale na jej twarz wypłynął rumieniec zakłopotania.

– Ee tam, przecież widać, że na ciebie leci.

– Nie zmieniaj tematu. – Miśka pogroziła jej palcem. – Krzyki i płacz nie są najlepszą metodą w twojej sytuacji, porozmawiaj z rodzicami jak osoba dorosła z dorosłymi. Masz prawo wybierać po swojemu, zbierać kopniaki od życia i kolekcjonować doświadczenia. Nikt nie może przeżyć za ciebie co twoje, nawet najbliżsi.

Teraz, siedząc w komendzie przy biurku i popijając herbatę z cytryną, którą kupiła po drodze, Zosia pomyślała, że Czapla prywatnie daje się lubić, jest wesoła i ma cięty dowcip. Maciejka była jej wdzięczna za wsparcie i postanowiła, że któregoś dnia zadzwoni do matki albo ojca

i pojedzie do nich, by porozmawiać. Jak tylko poczuje, że jest na to gotowa. Teraz jednak chciała dokończyć poszukiwania w mediach społecznościowych, a także zastanowić się, jak powiedzieć Michalinie o swoich podejrzeniach względem Bielewicza i wyjaśnić, dlaczego nie wspomniała o tym wczoraj. Zanim jednak zebrała myśli i ułożyła wiarygodną historię, do pokoju weszła Czapla i, przeklinając deszczową aurę, oświadczyła od progu:

– Musimy dziś przycisnąć nasze gwiazdy cyrku.

Powiesiła mokrą kurtkę i włączyła czajnik.

– Miałaś rację, że chyba coś jest na rzeczy – zaczęła ostrożnie Zosia. – Chcę ci o czymś powiedzieć, to dotyczy Bielewicza.

– Hę? – Miśka wyjęła kubek i puszkę z kawą.

– Powinam była zrobić to wczoraj, ale...

– Wał, co ci leży na sercu. – Czaplinska, czekając na gorącą wodę, oparła się pośladkami o brzeg biurka.

– Chodzi o tę kradzież dwa lata temu na parkingu.

– No? Co z nią?

– Wydaje mi się, że to był on, Igor Bielewicz. Rozpoznałam jego głos. – Maciejka zrelacjonowała koleżance przebieg zdarzeń, począwszy od spotkania złodzieja na targach, poprzez obserwowanie jego zachowania, a skończywszy na pościgu, gdy uciekł ze skradzionym sejfem, zanim zdołała go dopaść. – Wczoraj, gdy roześmiał się i powiedział „słucham”, zdałam sobie sprawę, że to on – powiedziała na zakończenie. – Brzmiał tak samo jak wtedy. Wiem, że to żaden dowód, ale jestem pewna, że się nie mylę.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Miśka zalała zmielone ziarna wrzątkiem i zamieszała. – Czułam, że trop Zawisłaka jest dobry, ufam jego osądom. – Zawiesiła wzrok na twarzy Zosi. – Jeśli przyjmujemy, że to on, dlaczego zrobił sobie dwuletnią przerwę? A teraz nagle bum! – Czapla pstryknęła palcami. – Spektakularny powrót.

– Nie miałam na myśli, że to on napadł na Alicję Sadej – sprostowała Zosia. – Chodziło mi o tamte kradzieże sprzed dwóch lat.

– Maciejko. – Czapla oparła ręce na blacie i pochyliła się w stronę dziewczyny. – Jeśli ktoś kradł i to kochał, tak łatwo nie zrezygnuje. Pamiętaj, że nie chodzi o batonik ze spożywcza, ani nawet telewizor, ale o cenną biżuterię. To są emocje, adrenalina, miłość do szlachetnych kamieni. Znasz się trochę na błyskotkach, tak?

– Przecież wiesz.

– No właśnie. – Miśka skinęła głową. – Zobacz, to spis klejnotów, które ukradziono w tamtym czasie. – Policjantka położyła przed nią listę. – Bransoleta z białego złota z szafirami, złote kolczyki z perłami, brosza z platyny z rubinami, wisior z ametystem, bransoleta z akwamarynami, zegarek biżuteryjny ze szmaragdami i tak dalej, i tak dalej. Cecha wspólna? Wszystkie kamienie z dodatkiem diamentów, w niektórych przypadkach jest ich od kilkudziesięciu do ponad dwustu. Widać, że złodziej je kocha.

– A może to zbieg okoliczności? Szlachetne kamienie często występują w otoczeniu diamentów.

– Jak zatem wyjaśnisz, że zostawiał w spokoju pierścionki z fantazyjnymi diamentami, którym poprawiono kolor?

– O! – Maciejka spojrzała na starszą koleżankę z uznaniem. – Widzę, że pogłębiłaś wiedzę.

– Obarski mi powiedział o poprawianiu barwy kamieni i że ten zabieg powoduje automatycznie spadek ich ceny. Dla znawców i wielbicieli liczą się tylko diamenty naturalne, przy których interwencja człowieka ogranicza się do wykonania perfekcyjnego szlifu. Prawda?

– To znaczy, że złodziej wcześniej robił rekonesans i dobrze wiedział, co jest w ofercie danego sklepu.

– Tak. Ale wracając do tego, co mówiłam, chodzi mi o to, że ktoś, kto kradnie w tak przemyślany sposób, to wielbiciel, pasjonat. Nie zrezygnuje ot tak, po prostu – powiedziała Czaplińska. – Dobrze wiesz, że kolorowe diamenty rozpalają wyobraźnię, zwłaszcza gdy kolejny zostaje sprzedany

na aukcji za pieniądze, za które można wyżywić setki ludzi przez długi czas.

– Fakt – przyznała Maciejka. – Pamiętam, jak wszystkie gazety pisały o wydobywaniu w Botswanie niebieskiego diamentu. Surowy kamień miał masę trochę ponad czterdzieści karatów. Nazwano go Okavango Blue i oddano w ręce najlepszych szlifierzy. Podobno jeszcze w tym roku zostanie wystawiony na aukcję i ma szansę pobić rekord w wysokości wylicytowanej kwoty. To może podkreślić emocje – zgodziła się Zosia. – Każdy miłośnik diamentów chciałby mieć choć namiastkę takiego luksusu. Tak jak partnerka Obarskiego.

– A ci, których nie stać na obcowanie z kosztownym pięknem, mogą pokusić się o kradzież.

– To jaki masz pomysł? – spytała Zosia, ale zanim dostała odpowiedź, zadzwonił telefon na biurku. Odebrała i w milczeniu wysłuchiwała oficera dyżurnego, a później spojrzała na Michalinę. – Zgłosił się taksówkarz, który wiózł z hali targowej mężczyznę podobnego do tego z portretu pamięciowego. Czeka na dole.

– Dawaj go tutaj – odparła Czapla, ożywiona.

– Słyszałeś? – rzuciła Zosia do słuchawki.

– Taa – mruknął rozmówca i zakończył połączenie.

– A co z mediami społecznościowymi? – spytała Miśka, stając w drzwiach. – Sprawdziłaś wszystko?

– Jeszcze nie, wczoraj nie dałam już rady. Ta kobieta codziennie wrzuca kilka zdjęć, to jakaś paranoja. Ale sprawdziłam właścicieli „Alice Diamonds”, mają tylko profil firmowy, i na Facebooku, i na Instagramie. Prywatnych nie.

– Dobrze, w takim razie dalej przeglądaj, żeby niczego nie przeoczyć, a ja sprawdzę, czy kierowca ma dla nas coś konkretnego.

Tej nocy Nadii śnił się Robert. Zaczepiony nogami, wisiał na huśtawce głową w dół i wystawiał do niej ręce z rozłożonymi na podobieństwo szponów palcami. W tle jak zawsze brzmiała muzyka, a ona czuła w rękach gładkość drążka trapezu. Stała na platformie i nie mogła zdobyć się na skok, a Wójcicki, na przemian zbliżając się do niej i oddalając, wołał wabiącym tonem:

– Nadia, skacz, czekam na ciebie!

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale na dole siedziała wpatrzona w nich publiczność, której nie mogła zawieść. Skoczyła więc, chwyciła ręce Roberta i poczuła, że jego nadgarstki są naoliwione. Jej dłonie zaczęły się zsuwać, a ona, wpatrzona w oczy Wójcickiego, które przewiercały ją na wskroś, prosiła, żeby jej pomógł.

– Jesteś przeszkodą, Nadia, a przeszkody należy usuwać – powiedział, a jego usta rozciągnął szatański uśmiech.

Tym razem, zamiast własnego krzyku, obudził ją dzwonek do drzwi. Roztrzęsiona, zaczęła stopą o łapy psa, który razem z nią poderwał się jak na komendę i pognął do przedpokoju. Nadia owinęła się szlafrokiem i poszła za nim. Za drzwiami czekał Igor, witany z entuzjazmem przez Leona.

– Wszedłem do klatki z jakimś lokatorem – powiedział Bielewicz, poklepując boki zwierzęcia. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. – Spojrzał na jej twarz. – Obudziłem.

– Przerwałeś koszmar, który śniłam, więc należy ci się kawa w podzięcie – powiedziała Różańska. – Ale najpierw muszę wyprowadzić Leona.

– Daj smycz – powiedział, omiatając wzrokiem jej strój. – Wyjdę z nim, a ty się ogarnij w tym czasie – zaproponował. – Pada jak cholera, totalna zmiana pogody.

Teraz dopiero zobaczyła, że jego kurtkę pokrywa wilgoć.

– Dobrze, dziękuję.

Umyła twarz i zęby, odkładając wzięcie prysznic na później, wyjęła karmę dla psa, przygotowała filiżanki. W tym momencie usłyszała dźwięk

domofonu i niebawem do przedpokoju wbiegł Leon. Stanął na środku pomieszczenia i otrzepał sierść, zanim Nadia zdążyła zareagować.

– Leon, wariacie! Mam całe nogi mokre. – Wzięła ścierkę i wytarła psa, który zniósł zabieg z cierpliwością, a uwolniony, pobiegł sprawdzić zawartość miski.

– Regularnie śni mi się tamten wypadek. – Nadia gestem zaprosiła Igora do kuchni. – Ale dopiero tej nocy pojawiła się w nim twarz Roberta. To pewnie pod wpływem twojej wczorajszej opowieści. – Podstawiła filiżankę pod dysze ekspresu i po chwili pomieszczenie wypełnił aromat parzonej kawy. – Coś się stało, prawda? – spytała, gdy usiedli przy małym drewnianym stole. – W przeciwnym razie nie przyszedłbyś tak wcześnie albo najpierw zadzwoniłbyś.

– Tak. – Bielewicz podniósł do ust filiżankę. – Wczoraj po wyjściu od ciebie miałem pracowity wieczór – wyjaśnił. – Pojechałem pogadać z Tamarą i Olivierem, ale Robert niespodziewanie pokrzyżował mi plany.

Nadia, przestraszona, że Igor w emocjach zdradził dawnemu przyjacielowi zbyt wiele, wysłuchiwała jego relacji, a gdy skończył, odetchnęła z ulgą.

– Pokażesz mi tę fotkę?

– Właśnie po to tu jestem. – Wyjął z kieszeni telefon. – Nie mam zamiaru czekać, aż policja mnie zamknie za coś, czego nie zrobiłem – powiedział, przewijając ekran smartfona. – To jest kobieta Wójcickiego.

– Znam ją. – Ciałem Nadii wstrząsnął dreszcz chłodu.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Widziałam jej zdjęcie w internecie. Zaczekaj chwilę. – Różańska, nie czekając na odpowiedź, przyniosła z pokoju laptop. – Zobacz. – Odwróciła monitor w stronę Bielewicza. – Tutaj jest razem z Julianem Obarskim.

ROZDZIAŁ 25

Maciejka obejrzała kilkadziesiąt kolejnych zdjęć, które różniły się jedynie tłem lub postaciami drugoplanowymi, ponieważ na pierwszym planie niezmiennie widniała Edyta Domecka. Gdy policjantka, znużona, postanowiła pobudzić się kofeiną, jej uwagę przyciągnęła fotografia podpisana słowami „Nowa praca” i oznaczona hasztagiem #tymonszaaryjewellery. Przedstawiała asystentkę stojącą przed witryną salonu z biżuterią, z rękami opartymi na biodrach i szerokim uśmiechem na twarzy. Zosia gwizdnęła pod nosem i wróciła do wcześniej przeglądanych selfie. Teraz dopiero zobaczyła, że jest tam kilka zrobionych również w Gdyni, z oznaczeniem salonu „Alice Diamonds”, na których Edyta prezentowała swoje dłonie ozdobione kosztownymi pierścionkami.

Zosia, podekscytowana, odnalazła w aktach numer telefonu jubilera z Wrocławia. Mężczyzna zgłosił się w momencie, gdy pomyślała, że czeka ją wyprawa do hali targowej.

– Tymon Szary, słucham.

– Dzień dobry, sierżant Maciejka z komendy stołecznej – powiedziała, próbując przebić się przez szum, odgłosy rozmów i dźwięki muzyki, dobiegające z głośnika aparatu. – Pamięta mnie pan? Ja i nadkomisarz Czaplínska rozmawialiśmy z panem po napadzie na Alicję Sadej.

– Tak, pamiętam, tylko proszę mówić głośniej, straszny tu dziś hałas. Zawsze najwięcej ludzi przychodzi w sobotę i w niedzielę, ale dziś to już prawdziwy armagedon.

– Chciałabym tylko spytać, czy pracowała u pana Edyta Domecka? – Zosia podniosła głos.

– Tak, pamiętam ją dobrze – odparł mężczyzna. – Zwolniłem ją po kilku miesiącach.

– Z jakiego powodu?

– Podejrzewałem ją o kradzież.

– Miał pan dowody?

– No właśnie nie, ale wiele na to wskazywało. Wie pani, potem zastanawiałem się, czy jej nie skrzywdziłem, ponieważ klienci niekiedy również kradną, ale niełatwo jest kogoś dalej zatrudniać, gdy straciło się zaufanie.

– Mieli państwo później jakiś kontakt ze sobą?

– Nie. Przepraszam, muszę kończyć, klient przyszedł.

– Jeszcze tylko jedno, miał pan kiedyś włamanie do salonu?

– Tak. Skąd pani wie?

– Nie wiem, pytam. Czy to było w okresie, gdy zatrudniał pan Edytę Domecką?

– Tak. Chce pani powiedzieć, że ona ma coś z tym wspólnego?

– Nie wiem – powtórzyła Zosia. – Prowadzimy śledztwo, sprawdzamy różne wątki.

– Rozumiem.

– Dziękuję za pomoc, do widzenia. – Maciejka odłożyła telefon i spojrzała w stronę otwierających się drzwi.

– Taksówkarz zeznał, że w czwartek rano zabrał pasażera spod hali – oświadczyła Michalina, wchodząc do pokoju. – Rysopis odpowiada temu z portretu. Już zleciłam sprawdzenie, do kogo należy telefon, z którego zamawiano przewóz. Kierowca powiedział, że pasażer miał eleganckie ubranie, pachniał drogą wodą i miał nieduży, czarny neseser. Jechał na Bemowo.

– Na Bemowo? – Maciejka potarła nos. – Tam stacjonuje Cyrk Oliviera.

– Wiem i też się ucieszyłam, ale nie na długo. Taksówkarz siedział przez kwadrans w zaparkowanym wozie, ponieważ zadzwoniła jego dziewczyna z Irlandii. Uciał sobie dłuższą pogawędkę, a tym czasie patrzył przez szybę i widział, że jego klient po opuszczeniu auta gdzieś zadzwonił. Po dziesięciu minutach przyjechała po niego następna taksówka, z innej firmy.

Znalezienie drugiego kierowcy nie sprawi nam trudności, ponieważ mamy miejsce, godzinę i nazwę korporacji, tylko że...

– Tylko że sprawca pewnie zrobił sobie rundkę po mieście, żeby utrudnić komuś, kto chciałby węszyć, namierzenie docelowego miejsca – dokończyła Zosia.

– Otóż to. Mała jest szansa, że drugi taksówkarz też wpatrywał się w swojego pasażera i zobaczył to samo co pierwszy. – Czapla położyła na biurku Maciejki kartkę i włączyła czajnik. – Ale i tak trzeba sprawdzić – powiedziała. – Masz tutaj wszystkie dane, jedź do nich ustalić co i jak. Przyciśnij taksówkarza, niech sobie przypomni, co widział.

– Okej. – Zosia odsunęła papiery i wcisnęła telefon do kieszeni. – Ustaliłam, że Edyta Domecka pracowała w salonie Tymona Szarego – rzuciła, wkładając kurtkę.

– Co? – Czapla zmarszczyła brwi. – I nic nie mówisz?

– Nie chciałam ci przerywać – mruknęła Maciejka, kryjąc uśmiech, i zrelacjonowała starszej koleżance treść rozmowy z jubilerem z Wrocławia. – Zobacz. – Wyjęła z powrotem komórkę i wyświetliła zdjęcie. – Nie wykazała tego w swoim życiorysie zawodowym, pewnie się boi, że podejrzenie o kradzież może wypłynąć i pogrążyć ją na rynku pracy.

– To bardzo ciekawe. – Miśka zrobiła sobie drugi kubek ulubionego napoju. – I pasuje do reszty. – Wbiła wzrok w dziewczynę.

– Owszem. – Zosia zdjęła czapkę i rozpięła kurtkę. – Jest blisko Sadej i Obarskiego, wiedziała o transporcie diamentów... – Urwała na dźwięk dzwonnka aparatu.

– Czekaj. – Czaplinska spojrzała na wyświetlacz. – Mój kumpel z Gdyni. Halo? – Zamieszała zawartość pękatego naczynia i przeniosła je na biurko. – No? Masz coś dla mnie? – spytała i w milczeniu wysłuchiwała rozmówcy. – Rozumiem. Możesz mi wysłać kopię protokołu? Dobra, dzięki, jestem twoją dłużniczką. – Odłożyła telefon. – Trzeba będzie tutaj przywieźć Domecką i ją przycisnąć. Okazało się, że to nie klient zmienił datę spotkania, ale asystentka Obarskiego. – Miśka posłała Zosi triumfalne spojrzenie znad kubka. – Mężczyzna zeznał, że zadzwoniła, bardzo

przepraszała, mówiła, że niechcący zapisała dwa spotkania na tę samą godzinę, że jest jej głupio i takie tam. Prosiła klienta o dyskrecję, że niby się boi, że straci pracę za taki brak profesjonalizmu. Jednym słowem odegrała spektakl głosem nabrzmiałym łzami. Facetowi zmiękło serce, tym bardziej że nie miał planów w proponowanym terminie. I już.

– No to się układa – stwierdziła Zosia, czując napięcie w mięśniach. – Domecka przekazała informacje dotyczące właścicieli „Alice Diamonds” i tego, jak funkcjonuje zaplecze targów, o co chodzi z kartami dostępu, jakie są procedury i tak dalej. Przełożyła Obarskiemu spotkanie, co świadczy o tym, że dobrze zna swoich pracodawców. Wiedząc, że pani Alicja jest samodzielna, założyła, że szefowa poleci sama, i miała rację w tej kwestii. Później już tylko wystarczyło potwierdzić wspólnikowi... – Maciejka włożyła czapkę i owinęła szyję szalikiem. – No właśnie, jest ich dwoje, prawda?

– Kobieta i mężczyzna.

– W takim razie jadę, żeby szybko wrócić – powiedziała Zosia. – Mam nadzieję, że nie ominie mnie wielki finał – dodała, kładąc rękę na klawisze.

– Nie zapomniałaś o czymś? – Czaplą rzuciła jej kluczyki do samochodu. – Zaraz wyślę radiowóz po Domecką, myślę, że znajdą ją w hali targowej.

Nadia siedziała w milczeniu nad drugą filiżanką kawy, próbując poukładać w głowie zdobyte informacje. Na monitorze laptopa wciąż widniało zdjęcie asystentki właścicieli „Alice Diamonds”, które zrobili jej dziennikarze przed wejściem do hali targowej. Różańska, podobnie jak Igor, nie miała wątpliwości, że Domecka i Robert działali w zespole. Ona wystawiła Wójcickiemu swoją szefową, a on zrobił resztę. I zabił Kacpra. Omal nie zabił Alicji Sadej. Chciał zabić mnie, pomyślała na koniec i poczuła szczypanie pod powiekami. Odchyliła głowę i zamrugała, próbując powstrzymać łzy.

– Co chcesz zrobić? – Spojrzała na Igora.

– Pójdę na policję – oświadczył Bielewicz.

– I co im powiesz? Że to Robert i jego dziewczyna? Spytają, skąd wiesz, a ty im powiesz, że widziałeś ich w restauracji?

Mężczyzna przesunął dłonią po włosach.

– Powiem prawdę. O wszystkim.

– Co takiego?

– Przyznam się do tamtych kradzieży i odbędę karę, którą wyznaczy mi sąd.

– Oszalałeś, Igor! – Nadia poczuła, że brakuje jej tchu. – Nie chcę, żebyś trafił do więzienia. I moi rodzice. Nikt im nie uwierzy, że nie wiedzieli, że przepuszczasz lewą forszę przez ich szkołę.

– Aż tyle tego nie było – pocieszył ją Bielewicz. – To nie knajpa z alkoholem ani hotel, zbyt duże kwoty nie wchodziły w grę, byłem ostrożny, nie chciałem narażać Norberta i Baśki.

– Mam być wdzięczna? – Nadia wzniosła oczy do sufitu. – Igor, nie chcę ci prawić kazań, ale...

– Nadia! – Wziął ją za rękę. – Dotrzymałem słowa. Od wypadku nie ukradłem nawet jabłka z cudzego sadu. Wiele razy myślałem o tym, co mi powiedziałaś tuż przed spektaklem. Byłem głupi i tyle. – Ścisnął lekko jej dłonie. – Nie chcę budować nowego życia bez załatwienia spraw z przeszłości, które stanęły między nami. Zgłoszę się na policję, oddam kasę, którą mam w skrytce, i zrobię to, czego będą ode mnie chcieli. I pomogę odzyskać diamenty. Jest szansa, że wciąż są u Wójcickiego, w tym wypasionym mieszkaniu – powiedział. – Zrobiłem małe rozpoznanie, popytałem tu i tam, wygląda na to, że nie pojawiły się nigdzie na czarnym rynku. Są certyfikowane, żeby puścić je dalej, trzeba przeszlifować. O kradzieży było głośno, myślę, że Robert się przyczaił i czeka, aż będzie ciszej. Dopiero wtedy poszuka dobrego specjalisty, który przyjmie trefne zlecenie.

– Igor...

– Moment, Nadia, chcę dokończyć. – Położył rękę na jej dłoni. – Obejrzałem sobie dokładnie te bloki, gdzie mieszka Robert. Sprawdzalem, jak się do niego dostać z dachu, tam jest takie przejście między budynkami albo można...

– Oszalałeś – powtórzyła Różańska, czując ucisk w piersiach.

– Nie, po prostu zrezygnowałem z tego pomysłu. Może gdy normalnie pomogę w odzyskaniu kamieni, sąd spojrzy na mnie łaskawszym okiem. I gdy zwrócę chociaż część pieniędzy okradzionym ludziom.

– Nie. Nie zgadzam się na to – zaprotestowała Nadia. – Przyślij mi zdjęcie, które zrobiłeś w knajpie, pójdę do tej młodej policjantki, ona wydaje się normalniejsza od tamtej drugiej. Załatwię tę sprawę.

– Nie zamierzam chować się za plecami kobiety.

– Igor, to nie jest sytuacja, w której możesz unosić się honorem.

– Mowy nie ma. Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze.

– Tamto już się stało, nie cofniesz czasu, nie naprawisz tego, co zrobiłeś. Poza tym było was dwóch. Nie masz tyle środków, żeby zapłacić za siebie i Roberta.

– Zapłacę za siebie. Za Wójcickiego nie biorę odpowiedzialności. Nie martw się na zapas, zrobię wszystko, żeby ochronić twoich rodziców. – Wstał i poszedł do przedpokoju. – Nie ma na co czekać, dzisiaj wieczorem kończą się targi. Domecka wyjedzie, a Wójcicki ma zimową przerwę, więc po weekendzie może być za późno. – Igor włożył kurtkę i położył rękę na klamce. – Dam ci znać, co i jak – obiecał. Stojąc w otwartych drzwiach, przyciągnął Nadię do siebie i przycisnął wargi do jej ust. Nie odepchnęła go, przeciwnie, zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem, jak kiedyś.

Później przekręciła zamek i poszła do łazienki. Zdjęła szlafrok i nocną koszulę, weszła do kabiny. Odkręciła kran i usiadła w brodziku, podciągając kolana pod brodę. Zimne dreszcze, które nią wstrząsały, ustąpiły pod wpływem gorącej wody, która spadając kaskadą na plecy, głowę i twarz, mieszała się ze łzami, nieprzerwanie płynącymi po mokrych

policzkach. Nadia nie miała pojęcia, jak długo siedzi pod prysznicem, straciła rachubę czasu, ale gdy stanęła bosymi stopami na złożonym ręczniku i wytarła fragment zaparowanego lustra, podjęła ostateczną decyzję. Chciała spojrzeć w oczy Robertowi i spytać go, co czuł, gdy postanowił ją zabić. I co czuł, gdy strzelał do Kacpra. Musiała to zrobić, zanim go aresztuje policja. Włożyła ubranie i przygotowała sobie kanapkę. Jedząc, sięgnęła po komórkę. Numer Wójcickiego wciąż miała na liście kontaktów. Po namyśle napisała wiadomość:

Wiem, co zaszło podczas przedstawienia dwa lata temu. Będę za półtorej godziny w cyrku. Mam nadzieję, że Olivier jeszcze nie złożył namiotu.

W żaden sposób się nie podpisała, ponieważ wierzyła, że Robert nie usunął z telefonu jej numeru. Odpowiedź przysłała po dziesięciu minutach:

Nie złożył. Będę. Pogadamy.

Nadia siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, dopóki nie poczuła na skórze wilgotnego dotyku psiego nosa. Spojrzała na Leona, a zwierzak wydał z siebie krótkie szczeknięcie i poruszył ogonem.

– Chcesz mnie pocieszyć? – spytała, drapiąc go za uszami. – Kochane z ciebie psisko.

Dokończyła posiłek, sprzątnęła i podeszła do okna. Wciąż padało. Włożyła kalosze i wyjęła płaszcz przeciwdeszczowy.

– Pójdziemy na spacer, bo nie wiem, kiedy wrócę – powiedziała do kręcącego się pod nogami czworonoga.

Przemierzając osiedlowe alejki, wysłała jeszcze jednego SMS-a.

Począwszy od czwartkowego poranka, gdy zjechał na linie przed nosem zdumionej Nadii, Robert wiedział, że ich drogi ponownie się skrzyżują.

Miał świadomość, że nawet jeśli dziewczyna w pierwszej chwili będzie podejrzewać Igora, zacznie drażnić temat i dojdzie do jedynego możliwego wniosku. Myślał, że zawiadomi policję albo przyjdzie do niego i powie wprost, że go rozpoznała. Snuł różne scenariusze, ale nie przewidział, że powodem ich spotkania nie będzie jego brawurowy wyczyn, jak eufemistycznie nazywał napad na Alicję Sadej, ale kulisy „wypadku” sprzed dwóch lat.

Robert zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia Olivier obejrzy nagranie z przedstawienia, ale nie sądził, że dopatrzy się w nim czegokolwiek. Nie docenił Adamskiego. Starego pewnie ruszyło sumienie, gdy zobaczył Różańską na widowni. Robert też ją widział. Za każdym razem, gdy cyrk dawał pokazy w Warszawie, Wójcicki lustrował poszczególne rzędy miejsc zajętych przez miłośników sztuki cyrkowej i czekał na przyjście tej, którą kiedyś pokochał nieodwzajemnioną miłością. Nieświadoma jego uczuć, wybrała Bielewicza, a Robert nigdy się z tym nie pogodził. Targany trudną do okiełznania zazdrością o to, że nawet w miłosnym układzie tanecznym wracała od niego wprost w ramiona Igora, coraz gorzej radził sobie z ukrywaniem uczuć. Jednak gdy wtedy, dwa lata temu, usłyszał ich kłótnię i dotarło do niego, że Nadia o wszystkim wie, pomyślał, że nie może ryzykować. Stawką była wolność, znacznie cenniejsza od miłości, przynajmniej dla Wójcickiego.

Robert podszedł do okna, z którego miał doskonały widok na drogę prowadzącą do namiotu. Na polanie nie było żywego ducha. Po kilkunastu ciepłych dniach w nocy spadła temperatura powietrza, a niebo zasnuły ciężkie chmury, z których od rana nieprzerwanie padał deszcz. Chłód, wilgoć i porywy wiatru sprawiły, że kto nie musiał, ten nie wychodził z domu. Idealna pogoda dla załatwienia starych porachunków. Bez obawy, że obecność przypadkowych świadków zniweczy plany. Nie odrywając wzroku od targanych podmuchami gałęzi, Robert wybrał w telefonie numer Edyty. Po siódmym sygnale połączenie zostało przerwane.

Wójcicki podwinął rękaw i odwzorował palcem kształt runy Fehu, która widniała na jego nadgarstku. Podobnie jak pomarańczowe okulary, miała

odwrócić uwagę rozmówców od innych szczegółów wyglądu. Biorąc pod uwagę, że wyrzucił niebieskie soczewki kontaktowe, ściął włosy i zgolił zarost, runa była jedyną nitką łączącą go z napadem. Namalował ją henną; gdy zniknie, nikt nie udowodni mu, że kiedykolwiek zbliżył się do hotelu Pelikan. Poszedł do łazienki i przygotował szczotkę i pumeks. Umył ręce ciepłą wodą z mydłem, a potem zaczął trzeć skórę do czasu, aż po rysunku został jasny, ledwo widoczny ślad, który zamierzał ukryć pod szerokim paskiem zegarka.

Sierżant Maciejka wróciła do komendy zziębnięta i bez dobrych wiadomości. Zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami, drugi taksówkarz odjechał natychmiast po rozliczeniu się z pasażerem i nie potrafił odpowiedzieć, co ów zrobił po opuszczeniu auta.

– Ale za to wiemy, do kogo należy komórka, z której dzwoniło po pierwszą taksówkę – pocieszyła ją Czaplińska. – Do niejakiego Roberta Wójcickiego. Jest ich naprawdę wielu w Polsce, ale...

– Tak się nazywa akrobata, który występował w układzie z Różańską i Bielewiczem.

– Wiem, od razu sprawdziłam na liście z nazwiskami, tej od Adamskich.

– Miśka wyglądała na zadowoloną. – Teraz pozostaje nam tylko wziąć w obroty Edytę Domecką.

– Jak chcesz wycisnąć z niej prawdę?

– Zobaczysz już niedługo.

Zosia miała ochotę na kubek gorącej herbaty i przyniesioną z domu kanapkę, której nie zdążyła zjeść, ale tylko przełknęła ślinę i poszła za starszą koleżanką.

Bielewicz spacerował w pobliżu komendy stołecznej, na tyle blisko, żeby widzieć, co się dzieje przed wejściem, i na tyle daleko, żeby nie rzucić się

w oczy. I zastanawiał się, co zrobić. Kwadrans wcześniej na placu zaparkował radiowóz, z którego wysiadła Edyta Domecka, eskortowana przez umundurowanego funkcjonariusza. Widok, którego Igor był świadkiem, wskazywał, że policja jest na tropie sprawców, a on sam uznał zdarzenie za nagrodę od losu. Jeśli śledczy jeszcze nie wiedzieli o Robercie, na pewno mieli swoje sposoby, żeby wydusić prawdę z ust asystentki okradzionych jubilerów. Igor postanowił zadzwonić do Nadii, a później wejść do budynku i poprosić o spotkanie z jedną ze śledczych. Wyjął aparat i zobaczył, że dostał SMS-a. Nie słyszał wcześniej dźwięku zwiastującego jego nadejście. Wiadomość była od Różańskiej:

Chcę spojrzeć Robertowi w oczy i spytać, dlaczego próbował mnie zabić.

Igor zmarszczył brwi i przeczytał tekst jeszcze raz. Dopiero wtedy dotarło do niego, co zamierza Nadia.

– Rany boskie, dziewczyno, nie rób tego – rzucił półgłosem, zdenerwowany, i wybrał jej numer. – Odbierz, do cholery – powtarzał raz za razem, gdy w głośniku wybrzmiewał kolejny sygnał, a później wcisnął telefon do kieszeni spodni i wrócił do samochodu. Dylemat, czy rozmawiać z policją teraz, czy później, rozwiązał się sam.

ROZDZIAŁ 26

Nadia, naciągając mocniej kaptur na głowę, przemknęła w stronę namiotu. Rozsupłała gruby sznur, który, przeciągnięty przez metalowe obręcze, jak sznurowadło przez dziurki w bucie, bronił dostępu do wnętrza. Weszła i po kilku krokach stanęła, żeby wzrok przywyknął do ciemności. Wszystko wyglądało tak jak wkrótce po przedstawieniu. Nadia wiedziała, że w najbliższych dniach konstrukcja zostanie rozebrana, a namiot złożony, ale teraz mogła wejść na scenę i dotknąć wiszącej szarfy. Nabrała powietrza do płuc i, krok po kroku, pokonała odległość dzielącą ją od desek areny. Podeszła do sięgającej ziemi tkaniny i owinęła nią nadgarstki. Delikatnie szarpnęła. Uwolniła ręce, zdjęła kurtkę i buty. Po chwili namysłu zrezygnowała też ze skarpetek. Ponownie zamotała szarfę wokół nadgarstków, uniosła nogi i biodra powyżej głowy. Zrobiła szpagat, a następnie owinęła materię wokół kolan i kostek. Opuściła ramiona i zawisała nad deskami areny. W tym momencie rozległ się dźwięk i mechanizm, do którego była przytwierdzona szarfa, zaczął wciągać Nadię pod kopułę. Strach ścisnął ją za gardło. Siłą mięśni podniosła górną część ciała i chwyciła dłońmi tkaninę, mocno zaciskając na niej palce.

– Robert? To ty? – zawołała, zawieszona kilka metrów nad ziemią. – To nie jest śmieszne.

– Jak za dawnych, dobrych lat. – W namiocie rozbłysły reflektory, a na scenie pojawił się Wójcicki i uniósł głowę ku Nadii. – Pamiętasz jeszcze nasz ostatni numer? – Klepnął się w czoło, robiąc zmartwioną minę. – Przepraszam, zapomniałem o muzyce.

– Opuść mnie i porozmawiajmy – poprosiła, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

– Oboje wiemy, że na to już za późno.

– Co chcesz zrobić?

– Dokończyć robotę, którą spaprałem. – Robert ponownie uruchomił mechanizm i wkrótce Nadia znalazła się na wysokości ostatniego poziomu konstrukcji.

Jedną ręką trzymając szarfę, drugą złapała poręcz i dotknęła stopami zimnego podłoża.

– Oszalałeś! – zawołała. – Nie ujdzie ci to na sucho. Wiem, że to ty napadłeś na Alicję Sadej i ukradłeś niebieskie diamenty. Ty i jej asystentka razem to uknuliście. Policja już o wszystkim wie.

Robert zaczął wchodzić po drabinie umiejscowionej po niewidocznej dla publiczności stronie.

– To dlatego chciałeś się ze mną spotkać?

– Chciałam spojrzeć w oczy komuś, kogo uważałam za przyjaciela, a kto próbował mnie zabić i zastrzelił moją koleżkę z pracy.

– Wszedł mi w drogę, nie miałem wyjścia. – Wójcicki był coraz wyżej.

– Tak jak ja dwa lata temu? Dlatego pozwoliłeś, żebym spadła?

– Kochałem cię. – Robert stanął na drugim podeście.

– Co? – Nadia znieruchomiała.

– Kochałem – powtórzył. – Dawałem ci znać na wszelkie możliwe sposoby, ale ty wolałaś Igora. Jakoś to przełknąłem, jednak później próbowałaś zagrozić naszej męskiej przyjaźni.

– Chyba złodziejskiej? – zauważyła Różańska i zaczęła iść w przeciwnym kierunku, ponieważ Wójcicki zmierzał w jej stronę.

– Nigdy tego nie zrozumiesz.

– Masz rację. Nigdy nie pojmę, że można zabierać sobie coś, co należy do kogoś innego. Możliwe, że brakuje mi jakiejś klepki w głowie, która pozwala to ogarnąć – zakpiła, mimo że czuła coraz większy strach. – Jesteś mordercą, Robert – powiedziała, prowokując go z rozmysłem. Bała się reakcji Wójcickiego, ale przecież przyszła tutaj w konkretnym celu: powiedzieć mu, kim jest, i nazwać po imieniu to, co zrobił. – Zabiłeś

Kacpra, próbowałeś zabić mnie i Alicję Sadej. Jak myślisz, ile lat posiedzisz w pudle, jeśli sąd doliczy ci wyrok za wcześniejsze kradzieże?

Krok po kroku zbliżała się do podestu, przy którym tkwił przymocowany trapez. To w tym miejscu stała, gdy skoczyła ostatni raz. Przed nią była czeluść, a za nią Wójcicki, który odcinał jej drogę powrotną.

Igor zaparkował przy krawężniku i puścił się pędem w stronę namiotu. Z daleka wszystko wyglądało normalnie, jednak kiedy podbiegł, od razu dostrzegł rozsznurowane wejście. W pierwszej chwili myślał, że w środku nikogo nie ma, lecz gdy jego wzrok podążył ku górze, zobaczył Nadie stojącą na krawędzi platformy i podchodzącego do niej Wójcickiego. Chciał krzyknąć, ale bał się, że ją wystraszy, więc zacisnął szczęki i myślał, ogarnięty paniką, co zrobić. Po chwili, która zdawała się nieskończenie długa, podjął decyzję. Rzucił kurtkę na deski i postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny prowadzącej do podestu z huśtawką. Gdy dotarł na górę, stanął i wciągnął powietrze do płuc. Minęły dwa lata, pomyślał. Co prawda, on też, jak Nadia, codziennie wykonywał zestaw akrobatycznych ćwiczeń, trenował na szarfie, trapezie i linie, jakby wiedział, że kiedyś wróci na scenę, ale teraz, gdy spojrział w dół, poczuł cień strachu. Był wiele metrów nad ziemią, bez zabezpieczenia. Jeszcze raz głęboko odetchnął, a potem stanął na ramie huśtawki i wprowadził ją w ruch. Wtedy tamci zdali sobie sprawę z jego obecności.

– Igor! – krzyknęła Nadia.

– Proszę, proszę, nasze trio w pełnym składzie – zawołał Wójcicki. – A więc przedstawienie czas zacząć.

– Nadia, złap trapez! – polecił Bielewicz, bujając się coraz mocniej, z odwróconą w ich stronę głową. Zobaczył, że Robert jest już bardzo blisko Różańskiej; jeszcze krok i będzie mógł dotknąć jej pleców. Igor poczuł, że jego dłonie wilgotnieją. Wytarł je po kolei o spodnie i mocniej ścisnął

boczne pręty huśtawki. – Nadia! Skacz! – Usiadł na tylnej ramie, zablokował stopy o przedni pręt, odchylił się i wyciągnął ramiona w dół.

Podczas przesłuchania Edyta Domecka przyznała się do zaplanowania napadu na Alicję Sadej i kradzieży diamentów, ujawniła też nazwisko współnika. Przygnieciona faktami, które przedstawiła jej Czapla, oraz przestraszona, że odpowie za współudział w zabójstwie, szybko pękła i przestała udawać, że nie wie, o co chodzi.

– To nie tak miało być – powiedziała z płaczem.

– A jak?

– Nie było mowy o strzelaniu. Nie mam pojęcia, skąd Robert wziął broń. Czy on... Ten mężczyzna...

– Nie żyje – odparła sucho Michalina.

Teraz, czekając, aż Czapla zaparkuje na placu, gdzie stacjonował cyrk, Maciejka odtwarzała w myślach zeznanie asystentki Obarskiego. Chciwość to jeden głównych motywów dokonywania zbrodni, pomyślała, i przez chwilę zrobiło jej się żal młodej kobiety. Trafi do więzienia na co najmniej kilka lat i wyjdzie na wolność jako zupełnie inna osoba. Nigdy już nie dostanie pracy w branży jubilerskiej, ale to będzie najmniejszy z problemów, które ją czekają po odbyciu kary, gdy rozpocznie budowanie swojego życia od nowa.

Zosia wysiadła z auta, odetchnęła wilgotnym powietrzem i poszła za Miską w stronę wozu Adamskich. Czaplińska zapukała do drzwi i po chwili w progu stanął starszy mężczyzna.

– A, to pani znowu? – mruknął na jej widok, a na jego twarzy odmalował się wyraz niechęci.

– Gdzie znajdę Roberta Wójcickiego? – spytała policjantka bez wstępów.

– Zaprowadzę panią, tylko włożę buty i coś na siebie. – Spojrzał ponad jej ramieniem i zmarszczył brwi. – Tamara! – zawołał w głąb wozu do żony.

– Co tam? – Kobieta po chwili stanęła u jego boku i skrzywiła się na widok Czaplińskiej. – Znów policja? – Powiedzieliśmy już wszystko, co mieliśmy do...

– Szukają Roberta – wyjaśnił mąż. – Zobacz, chyba ktoś jest w namiocie.

Zosia i Miśka podążyły spojrzeniem w kierunku, w którym patrzył Adamski.

– Trzeba to sprawdzić – zdecydowała żona Oliviera. – Mogą panie chwilę tu zostać?

– Pójdziemy z wami – powiedziała Czapla i ruszyła pierwsza, nie czekając na innych.

Zosia przyspieszyła kroku. Intuicja jej podpowiadała, że zaraz weźmie udział w czymś niezwykłym, ale to, co zobaczyła, przerosło jej wyobraźnię. Pod kopułą, na huśtawce, z głową w dół, bujał się Igor, a po drugiej stronie stała Różańska z jakimś mężczyzną. To Wójcicki, pomyślała Maciejka.

– Rany boskie – rozległ się w tym momencie głos Tamary. – On chce zepchnąć Nadie.

– Kto?

– Robert.

– Co możemy zrobić? – Maciejka ścisnęła ją za rękę, ale zanim kobieta zareagowała, rozległ się krzyk Bielewicza.

– Nadia, skacz!

– Może pan ich ściągnąć na dół? – Czaplińska wbiła wzrok w Oliviera.

– Igora nie, huśtawka jest przytwierdzona do górnej części konstrukcji. Nadii i Roberta też nie, stoją na nieruchomym podeście – odparł mężczyzna. – Jeśli Różańska nie skoczy z trapezem, możemy iść tam tylko po drabinie.

– Proszę prowadzić. – Miśka położyła dłoń na kaburze z bronią.

– Nie! Stójcie! – zatrzymała ich żona Adamskiego. – Najpierw siatka. Musimy rozłożyć zabezpieczenie, wszystko może się zdarzyć.

Nadia, trzymając kurczowo boczne uchwyty konstrukcji, zerknęła przez ramię na Wójcickiego. Dzielił ich teraz dystans około dwóch metrów. Brakowało jej tchu, ale niewidzialna obręcz ściskająca jej klatkę piersiową utrudniała zaczerpnięcie powietrza. Różańska zwilżyła językiem wyschnięte wargi i zauważyła, że Robert zrobił mały krok do przodu.

– Nadia, skacz! – Kolejny raz dotarł do niej krzyk Igora.

Jak miała skoczyć, skoro umierała ze strachu, jej mięśnie były boleśnie skurczone, dłonie pokryte wilgocią, a oczy piekły od cisnących się łez, mimo że nie mogła sobie teraz pozwolić na płacz? Zamrugnęła. Wysunęła stopę, potem drugą, i spojrzała w dół. Wydawało się jej, że widzi ludzi, ale pewnie uległa złudzeniu. Uwolniła jedną dłoń, wytarła ją o spodnie na udzie, następnie zrobiła to samo z drugą i chwyciła nią drążek trapezu. W tym momencie załapała ją fala mdłości.

– Nie dam rady – szepnęła do siebie i poczuła na karku oddech Roberta.

– Miłego lotu. – Jego głos był nabrzmiął śmiechem.

Nie wiedziała, czy ją popchnął, czy sama odbiła się stopami od podestu. Wszystko odbyło się błyskawicznie i teraz szybowiała nad sceną w stronę Igora. Bielewicz wyciągnął do niej ręce na znak, że jest gotowy, by ją złapać. Nadia zaczęła wprowadzać trapez w coraz większą prędkość i nagle zrozumiała, że Igor miał rację w tym, co mówił. Wszystko było w niej, w jej ciele, w każdej tkance i każdej komórce. Stopniowo przejmowała kontrolę nad pracą bioder i nóg, wyczuwała pęd powietrza, była w stanie ocenić odległość, wychylenie ciała i dystans dzielący ją od Igora. Teraz wszystko zależało od niej. Bielewicz ponownie dał jej znak, że czeka. Nadia wykonała jeszcze kilka sekwencji ruchu, odbiła się od drążka trapezu i przez ułamek sekundy zawisała w przestrzeni. Potem jej nadgarstki zniknęły w obręczach dłoni Igora, a jej palce oplótły przeguby jego rąk. Razem wzlecieli w powietrze, a po chwili Nadia automatycznie przyciągnęła kolana i zrobiła przewrót, lądując plecami do Bielewicza, który w tym samym czasie zmienił pozycję na siedzącą. Jedno za drugim

wspięli się po szczelach konstrukcji i usiedli bezpiecznie na podeście. Nadia poczuła otaczające ją ramiona Igora, ich mocny chwyt. Wtedy dopiero z jej oczu popłynęły łzy ulgi.

Kilka miesięcy później

EPILOG

Wieść o odnalezieniu niebieskich diamentów i pojmaniu sprawców napadu na Alicję Sadej przedostała się do mediów i przez kilka dni społeczeństwo żyło kolejnymi doniesieniami o sprawie, do czasu, gdy świat obiegła wiadomość o włamaniu do słynnej galerii sztuki w Dreźnie i kradzieży bezcennych zestawów biżuterii z osiemnastego wieku, w większości wysadzanej diamentami i stanowiącej dziedzictwo historyczne i kulturowe Niemiec.

Wkrótce po zatrzymaniu Domeckiej i Wójcickiego Igor przyznał się do udziału w kradzieżach biżuterii w okresie poprzedzającym wypadek Nadii. Złożył obszerne wyjaśnienia w prokuraturze i miał odpowiadać przed sądem z wolnej stopy. Groził mu wyrok pozbawienia wolności od trzech miesięcy do lat pięciu, więc sierżant Maciejka poprosiła znajomego adwokata o pomoc. Mecenas Litewnicki zgodził się reprezentować Bielewicza przed obliczem wymiaru sprawiedliwości i zawalczyć o warunkowe zawieszenie kary. Nazajutrz był ten szczególny dzień, gdy sąd orzeknie o winie Igora, by później oznajmić swój werdykt.

O tym myślała Nadia, stojąc za kulisami i czekając na swój występ. Miała na sobie identyczną jak wtedy, białą, połyskującą cekinami sukienkę, którą dostała w prezencie od rodziców, a jej włosy były upięte w ciasny kok. Teraz zbliżyła oko do szczeliny w kurtynie i zobaczyła matkę i ojca siedzących w drugim rzędzie na widowni. Wiedziała, że przyjdą; za nic na świecie nie darowaliby sobie obejrzenia pierwszego od czasu wypadku występu córki, zwłaszcza że nikt, na czele z Nadią, nie przypuszczał, że

kiedykolwiek nastąpi taka chwila. Różańska poczuła, że kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu. Zrobiła głęboki wdech i długi wydech.

– W porządku? – Igor stanął z tyłu i położył ręce na jej ramionach.

Nadia poczuła płynące z jego ciała ciepło.

– Chyba tak – powiedziała, przechylając głowę i opierając policzek na jego dłoni.

– Chyba?

– W porządku.

– Zaraz wchodzicie – uprzedził inspicjent. – Po kłownach.

Nadia ponownie zerknęła przez szczelinę i zobaczyła kolegów w charakterystycznych makijażach. Ubrani w barwne koszule i spodnie na szelkach biegali po scenie, żartując ku uciesze zebranych widzów. Różańska pomyślała, że to stałość jest jednym z czynników, które wpływają na utrzymanie fascynacji sztuką cyrkową. Widz zawsze wiedział, czego może się spodziewać we wnętrzu okazałego namiotu, i to dostawał: oderwanie się od codzienności, wejście do magicznego świata pełnego przygód, długą chwilę zapomnienia, zachwyt, wstrzymywanie oddechu, blask światła i chwytającą za serce muzykę. A także śmiech pełną pierśią, jak teraz.

Rozmyśleniom położyły kres gromkie brawa.

– Nadia, twoja kolej – powiedział półgłosem inspicjent. – Raz... Dwa... Wchodzisz.

Wszystko było identyczne jak tamtego wieczoru. Jakby niezmiennością choreografii i rekwizytów chcieli zakopać przepaść czasu i połączyć przeszłość z teraźniejszością w jeden ciąg tak, by „ponad dwa lata temu” zmieniło się we „wczoraj”. Różańska weszła na spowitą mrokiem scenę. Stała na środku i poczuła ogarniającą ją nieskrępowaną radość i pełne przyjemnego napięcia oczekiwanie na moment, gdy Igor zamknie ją w swoich objęciach. Blask reflektorów wyłonił z mroku ich postacie. Nadia, jak wtedy, odrzuciła maskującą szatę i zaprezentowała się

publiczności w zwiewnej, migoczącej ozdobami sukience, a z głośnika popłynęły pierwsze takty „ich” piosenki:

Nights in white satin

Never reaching the end....⁸

Nadia poczuła, że spływa na nią błogi spokój. Zrobiła piruet, podskok i znalazła się nad ziemią, podtrzymywana siłą rąk Bielewicza. Później wykonali serię figur na podłodze i pobiegli w kierunku zwisających spod kopuły szarf.

Letters I've written

Never meaning to send...

Unoszeni coraz wyżej przez mechanizm, zbliżając się do siebie, to znów oddalając, z zapamiętaniem malowali tańcem swe uczucia do chwili, gdy znaleźli się poza zasięgiem światła. Nadia poczuła drzenie w piersi, które próbowała zredukować spokojnym oddechem. Pod kopułą zajaśniało, więc chwyciła w dłonie rzucony jej z przeciwka trapez i poszybowała w stronę drugiej platformy. W ciągu ostatnich miesięcy robiła to kilkanaście razy dziennie, a jednak, mimo świadomości, że zabezpiecza ją przez upadkiem dwa razy większa niż poprzednio siatka, omal nie spanikowała ze strachu. Wróciła na podest i ponownie wzbiła się w powietrze.

Sierżant Maciejka przyłożyła lornetkę do oczu i skierowała ją na Igora. Nazajutrz miała zeznawać w sądzie jako świadek w jego sprawie o współudział w kradzieżach. Westchnęła i przeniosła spojrzenie na postać Nadii Różańskiej. Akrobatka właśnie stanęła na zawieszonych między metalowymi drążkami desce, oparła dłoń na poręczu i obserwowała bujającego się na huśtawce Bielewicza. Zosia próbowała dostrzec wyraz

twarży artystki, ale odległość między górnym podestem a widownią była zbyt duża, by wyrokować o emocjach tkwiących na wysokości ludzi. Igor usiadł na ramie siedziska, odchylił się, zsunął i zawisł głową w dół. Nadia złapała trapez, odbiła się stopami od platformy i poleciała w stronę mężczyzny. Po kilku sekwencjach huśtania i przelotu Bielewicz wyciągnął do niej ramiona, wtedy Różańska puściła drążek trapezu i chwyciła przeguby jego rąk. Maciejka wstrzymała oddech i przycisnęła mocniej lornetkę do twarzy. Trzymając się za ręce, akrobaci płynęli razem pod kopułą, a później Nadia zrobiła obrót, złapała nadlatujący trapez i wróciła na swoją platformę. Zosia z ulgą wciągnęła powietrze do płuc.

Nadszedł moment, którego Nadia najbardziej się bała, mimo że poprzedziły go dziesiątki godzin treningu. W dole siedziała wpatrzona w nią publiczność, czekająca na kulminacyjny punkt występu, a ona nie mogła jej zawieść. Zrobiła wdech i wydech. Przyjęła lecący w jej stronę trapez i znów poszybowała w stronę Igora, który, wciąż na huśtawce, ponownie opuścił górną część ciała, dając jej znak swej gotowości.

,Cause I love you

Yes I love you

Oh how I love you...

Po serii akrobacji przyszła pora na potrójne salto. Nadia nie widziała oczu Bielewicza, ale miała świadomość, że na nią patrzy i w myślach dodaje jej odwagi. Wciąż uczepiona trapezu, oceniła prędkość i podjęła decyzję. Puściła drążek i zwinęła się w kłębek. Raz. Dwa. Trzy. Rozwinęła się z powrotem jak kwiat i złapała ręce Igora. W tym samym momencie poczuła jego dłonie zamykające się na jej nadgarstkach. Dała radę. Pokonała strach.

Przyciągnęła kolana do piersi, zrobiła przewrót i znalazła się w pozycji siedzącej przed Igorem. Razem wspięli się na platformę i owinęli kończyny szarfami. Opuszczani powoli w stronę ziemi, wykonali ostatnią sekwencję tańca, pełnego zmysłowych i harmonijnych ruchów, aż ich stopy dotknęły desek sceny.

Od Autorki

Pomysł na fabułę tej powieści powstał w mojej głowie podczas wizyty w sklepie z pamiątkami Johanna Wannera w Bazylei, gdy oczarowana nastrojowym wnętrzem tego miejsca, słuchałam sączących się z głośnika dźwięków *Nights in White Satin*, jednej z moich ulubionych piosenek.

Inspiracją podczas pisania była również słynna kradzież diamentów w Gdańsku, w marcu dwa tysiące siódmego roku, podczas Międzynarodowych Targów Amberif. Rozmawiają o niej bohaterowie na kartach książki. Sprawca zrabował wówczas kamienie należące do firmy z Antwerpii warte półtora miliona dolarów. W toku śledztwa ustalono, że złodziej ukradł jednemu ze strażników kartę elektroniczną, która otwierała drzwi do pomieszczenia ze skrytkami, a następnie przebrał się za pracownika ochrony i, przez nikogo niezatrzymywany, oddalił się z walizką zawierającą dwieście trzydzieści diamentów. Mimo szeroko zakrojonych poszukiwań i wyznaczonej nagrody, sprawcy kradzieży do dziś nie ustalono.

Inne wplecione w fabułę historie słynnych kradzieży diamentów również miały miejsce w rzeczywistości.

Okavango Blue naprawdę istnieje i nazywany jest dumą Botswany. Wydobyty w maju dwa tysiące osiemnastego roku, jest największym niebieskim diamentem, na jaki kiedykolwiek trafiono w tym kraju. Surowy kamień trafił w ręce szlifierzy, by po kilku miesiącach stać się niezwykłym, owalnym brylantem o doskonałej jakości i masie przekraczającej dwadzieścia karatów. Znaczący przewidują, że ma szansę osiągnąć na aukcji zawrotną cenę sprzedaży.

Chciałabym z całego serca podziękować Pani Klaudii Siemieniec, kierownicze galerii Desa Bizuteria w Warszawie (<http://desabizuteria.pl/>)

za przeczytanie fragmentów powieści, w których jest mowa o fantastycznych diamentach, zweryfikowanie zebranych przeze mnie informacji i opatrzenie ich garścią bezcennych komentarzy.

Dobry redaktor jest największym przyjacielem pisarza. Słowa wdzięczności kieruję do Moniki Orłowskiej, która bezlitośnie tropiąc rymy, powtórzenia oraz inne potknięcia w tekście, doprowadzała mnie do szału i białej gorączki. Uwielbiam z Tobą pracować J.

Dziękuję również Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi z wydawnictwa Skarpa Warszawska, którzy od razu dostrzegli mój entuzjazm związany z *Ostatnim skokiem* i powiedzieli: „tak”, mimo że nie byłam w stanie wyartykułować więcej niż dwa zdania na temat fabuły, oprócz tytułu, rzecz jasna.

Ewentualne podobieństwo do istniejących osób lub rzeczywistych zdarzeń jest dziełem przypadku.

[1](#) *Dwa serca, dwa smutki* (1985) sł. Beata Kozidrak, muz. Jarosław Kozidrak, oryg. wyk. Bajm.

[2](#) *Co mi, Panie, dasz?* (1982) sł. Beata Kozidrak, muz. Jarosław Kozidrak, oryg. wyk. Bajm.

[3](#) Łac. na gorącym uczynku.

[4](#) Tutaj i dalej: *Nights in White Satin* (1967), sł. i muz. Justin Hayward, oryg. wyk. The Moody Blues.

[5](#) Wisława Szymborska, *Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej*.

[6](#) oryg.: *Singin' in the Rain* (1952)

[7](#) *Over the Rainbow* (1939) Harold Arlen i E.Y. Harburg, oryg. wyk. Judy Garland.

[8](#) Tutaj i dalej: *Nights in White Satin* (1967), sł. i muz. Justin Hayward, oryg. wyk. The Moody Blues.